

5074/82
17911
ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

WOJENNE PRZYGODY STAŚKA ŚLĄZAKA

POWIEŚĆ POPULARNA.



NAKŁADEM I DRUKIEM „KATOLIKA”, SPÓŁKI
WYDAWNICZEJ Z OGR ODPOW. · BYTOM G.Ś.

== SKŁAD GŁÓWNY DLA POLSKI: ==
GEBETHNER & WOLFF — WARSZAWA

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

WOJENNE PRZYGODY STAŚKA ŚLĄZAKA

POWIEŚĆ POPULARNA.



NAKŁADEM I DRUKIEM „KATOLIKA”, SPÓŁKI
WYDAWNICZEJ Z OGR. ODPOW. - BYTOM G.-S.

== SKŁAD GŁÓWNY DLA POLSKI: ==
GEBETHNER & WOLFF — WARSZAWA

SLM 61d

420602

I

Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.
Copyright 1924 by „Katolik“, sp. wyd. z ogr. odp.
w Bytomiu G.-Śl. (Beuthen O.-S.) — Katowice.

K-82/5041
166/ 3001



*Towarzyszom broni,
ochotnikom z roku 1920
— powieść tę poświęca
Autor.*

CZĘŚĆ I

I.

Tajemniczy strzał.

Czerwcowy, ciepły dzień miał się ku schyłkowi. Zachodzące słońce złościło czuby sosen, wysoko wybiegłych ku górze. Wielkie, ciche bory, przysypane gęstwą olszyn, osin, brzoź i krzaczastej leszczyzny, powlekały coraz głębsze cienie.

Z łąk, pachnących świeżo skoszonym sianem, wstawały tęgie, rzeźwe wonie: w lekkim oparze wieczornym dymiły się wilgotne smugi...

Zapadała noc.

Wzdłuż czarnej ściany odwiecznego lasu, drożyną krętą, ledwo widną wśród łąkowych traw, przemykał się jakiś cień. Gęsty mrok nie pozwoliłby rozpoznać z oddalenia:

— Zwierz — li to, czy człowiek?

Była cisza. Czasem tylko, zrzadka, odzywał się jakiś głuchy szum w głębi boru... Czasem załopotał skrzydłami cietrzew... Bystry, bezszelestny nietoperz mignął czasem nad kopami siana...

Cień zatrzymał się. Znieruchomiał. Zda się, wrósł w ziemię.

Jednocześnie, gdzieś, bardzo blisko, rozległ się tentent końskich kopyt. Po chwili wyjechało z leśnej gęstwy trzech jeźdźców. Oстрыm kłusem,

człapiąc miękko po wilgotnej łące, ruszyli prosto na rozłożystą olszynę, rosnącą na skraju boru.

— Et, zdawało ci się — odwrócił się do młodszego z towarzyszy człowiek, kłusujący na przedzie: — Żadnego trzasku nie słyszałem!

Słowa te wypowiedziane były po rosyjsku.

— Nie, towarzyszu! — Odpowiedział w tym samym języku wysoki jeździec: — Wyraźnie było słychać!

Mówiąc to, dał ostrogę koniowi i dopadł w kilku susach starszego. Mówił, wskazując przed siebie.

— Słuch, to ja mam, towarzyszu, dobry! Ja-keśmy stali w lesie, zaczajeni koło drogi, wyraźnie słyszałem, że coś koło mnie w gęstwinie trzeszczy. Ale w tej samej chwili mój Wańka, czort by go brał! — parsknął nie w porę.

Ledwo to powiedział, nachylił się nagle na siodle i zdarł konia. Wańka zarył wszystkimi czterema kopytami w miękki grunt łąki.

— Czego?

Starszy również osadził konia na miejscu.

— Ot, tam! Człowiek!...

— Gdzie?

— A pod olszyną! Zaczaił się, bestja!

Tymczasem dogonił ich trzeci, gruby jeździec. Zaczęli się wpatrywać w noc.

— Et, przywidziało ci się... Nikt tam nie stoi!...

— Stoi, towarzyszu, stoi! A, ot daj, poślę mu kulkę z Mauzera, zaraz się okaże, czy jest tam kto, czy nikogo niema...

W głosie mówiącego odezwał się jakiś okrutny akcent. Począł odpinać futerał, w którym miał broń.

— Poczekaj, durny! Tylko spłoszysz... Jeżeli tam naprawdę ktoś się kryje, musimy go zajechać od lasu. Na łące nam nie ujdzie. A wśród drzew, po nocy, nic mu nie zrobisz! Ej, Iwanow, okrążaj z lewej! Doroszenko! Ty z prawej! A ja na niego pojedę wolno, wprost. —

Rozmowa ich toczyła się szeptem. Ledwo starszy wydał rozkazy, już i ruszyli się obaj podkomendni: Iwanow, tak, jak mu kazano, rysią, na lewo, a Doroszenko, wskok, naprawo. Zanim jednak zdążyli w połowie bodaj wykonać swój chytry manewr, pod olszyną coś zachrząściło. Cień, bystry, jak strzała, rzucił się w stronę lasu, oddalonego o jakieś pięćdziesiąt kroków.

— Trzymaj! Trzymaj!

Starszy spiął konia, wyrwał w galopie szablę z pochwy, i runął z krzykiem za uciekającym. Choć do pierwszych drzew lasu było bliźutko, zdawało się, że jeździec na rączym koniu dopadnie uciekającego. Już, już miał go dosięgnąć, już nawet zamachnął się długą, kozacką szablą, ale uciekający, czując grożące mu niebezpieczeństwo, upadł naraz na ziemię, jak długi. To go ocaliło. Jednocześnie bowiem spadła ze świstem szabla — i przecięła powietrze! Zanim starszy skrzył koniem — ścigany człowiek — bo człowiek to był! — dał szczupaka w gęste krzaki leszczyny.

— Trzymaj!

Dopadli tamci dwaj, na zdyszanych koniach.

— Strzelaj za nim, strzelaj!

Ciszę nocną rozdarł strzał. Doroszenko zmierzyl drugi raz z Mauzera, na chybił — trafił. Starszy wściekły, chwycił go za rękę.

— Daj spokój! Co mu, łajdakowi, zrobisz w tej gęstwie?

Doroszenko w milczeniu schował broń do pochwy.

Teraz, po nieudanej obławie, każdy przeżuwał złość. Zaczęli się klócić między sobą...

— Jak należało zajeżdżać? Jak należało strzelać? Podkomendni nie wymówili wprost, co mieli na myśli. Jeżeli ten czowiek uszedł, stało się to za winą starszego, bo poco było rozdzielać się? Gdyby byli skoczyli nań wprost, dostaliby go... Napewno dostali! A tak starszy go wypuścił przez zbytek chytrłości...

Postali, postali, poczem ruszyli zwolna wzdłuż lasu...

Tymczasem tajemniczy zbieg przedzierał się przez leśne gąszcze. Gdy huknął strzał, upadł jeszcze raz na ziemię... (nieraz już zawdzięczał temu prostemu fortelowi swoje życie). — Potem jednak zaraz porwał się na nogi i zaczął biedz. ile miał sił, starając się nie zmylić kierunku. Trudno to było, bo w głębokich ciemnościach leśnych trzeba było co chwila zbaczać to w prawo, to w lewo... Tu mu zastępowały drogę jakieś gąszcze, tam zuów musiał się cofać prędko, bo czuł, że zapada się w błoto powyżej kostek. Stary las był wilgotny, miejscami do tego stopnia wilgotny, że uciekający

grzęznął w wodzie pod kolana. Wiedział jednak, że o chwili wytchnienia nie może myśleć. Wytchnie, tam, po polskiej stronie, jeżeli Bóg mu pozwoli się przedostać... Słyszał, że za rzeczką będzie już Polska! Więc aby do rzeczki... Aby do rzeczki!... — Tylko, czy dobrze biegnie? Może zeszedł w bok? Może natknie się znów na tamtych?...

Zadyszany, zlany potem, czuł, że jeszcze kwadrans takiej wściekłej gonitwy — a opuszczą go siły zupełnie. Serce tłukło się w nim, jak szalone. Brakowało tchu. Ubranie miał podarte, twarz pokaleczoną, ręce podrapane...

Naraz — stanął, jak wryty.

Tuż u jego nóg bełkotała woda.

Wyteżył wzrok. Było nieco jaśniej. Wciągnął w umęczone płuca wielki haust powietrza. Pachniało sitowiem i wodą. Rosły tu widać gęste iwy, bo gdy nachylił się, poczuł miękkie muśnięcie po skroni: listki były sperlone nocną rosą. Zdawało mu się, że oto po twarzy jego spływa łza litościwa... Może to już Ojczyzna go wita, zraszając jego pałające czoło — łzami?

Nasłuchiwał. Dookoła panowała głęboka cisza. Żaden dźwięk nie mącił milczenia. Noc rozpostarła nad ziemią swój czarny płaszcz. I tylko plusk fali rzecznej, szybko spieszącej w dal, i leciutki szmer nadbrzeżnych łóz, świadczyły o tem, że ta woda, rozgraniczająca dwa obce sobie światy, że te zarosła, kryjące zbiega — żyją. Tak! To była granica polsko-bolszewicka! Za tą wodą leżał kraj, do którego tęsknił przez długie miesiące, przez lata całe — Polska!

Przysiadł na korzeniu obalonego wiatrem drzewa, wtulił się w wykrot ciemny — i rozważał.

— Iść w bród?

Słyszał, że choć wąskie ma koryto pograniczna rzeka, prąd ma bystry i wiele zdradliwych głębin, w których łatwo można utonąć. Zwłaszcza w nocy. Gdzieindziej ponoć dno stanowi grząskie bagno... Iść — czy nie iść?

— Zatem czekać do świtu?

Tak, ale wówczas mogą go spostrzedz — Bolszewicy. Wzdrygnął się nagłym dreszczem. Wiedział co go czekało w razie schwytania..

Zsunął się z wykrotu, na którym siedział i nachylił się nisko nad wodą. Cóż? Z brzegu wydaje się dość płytko... Woda, iak woda...

Zdecydował się. Pójdzie! Lepsza już śmierć w nurtach rzecznych, niż męczarnie bolszewickiej turmy, katusze fizyczne i moralne, straszna śmierć w Czerezwyczajce...

Miał przecież okazję skorzystania z usług przemytników. Obiecywali mu, że go przeprowadzą przez granicę suchą nogą... Nie zaufał im. Jakże ufać ludziom, którzy handlują z jednej strony wódką, z drugiej zaś — złotymi pierścionkami i klejnotami na których jeszcze nie obeschła krew? Owszem, chcieli go przeprowadzić przez granicę i godzili się nawet, że im zapłaci po polskiej stronie. ale — kto wie? — jakby przyszło co do czego, możeby go wydali bolszewikom na samej granicy, dla kilku złotych rubli nagrody?...

— Jak iść, to iść! Nie pierwszy raz w życiu ryzykuje. Pewnie też nie ostatni! Z największymi

ostrożnościami wylał sporą gałąź olszyny. Kiedy mimowoli wywołał głośniejszy nieco trzask, odrywając gałąź od pnia, zamarł: zdawało mu się wśród mroku, że sto par oczu wpatruje się w niego, że dziesiątki ludzi czołga się aby go pochwycić.

Tedy, już nie zwlekając ani sekundy, przeżegnał się szybko — i zsunął się do wody. Przejęło go odrazu zimno. Do kości. Pierwsze trzy kroki uczynił w ten sposób, że najprzód namacał grunt przed sobą, a dopiero potem stąpił.. Nie widział prawie nic. I to było straszne! Gdyby choć w przybliżeniu mógł zmiarkować, jak daleko do przeciwnego brzegu. Choć oko wykół! Noc, jak sadze...

Posuwał się coraz dalej od brzegu, uszedł może z pięć metrów, może sześć? — Raptem, sięgając przed siebie gałęzią, poczuł, że dno dziwnie ucieka.. Jednocześnie prąd, w tem miejscu bardzo bystry, zaczął go spychać na niewidzialną głębię, która czyhała obok... Chciał się cofnąć i wracać do brzegu, aby szukać lepszego brodu w innem miejscu. Ale czy to, że się zmylił, czy też dno rzeki było w tem miejscu takie nierówne — uczyniwszy ze trzy kroki, zapadł się nagle w rwącą wodę po same pachy. Mimo lodowatego zimna, jakie go przejęło, poczuł kroplisty pot na czole. Zawahał się. Obejrzał... Nie zobaczył już nic. Ani tamtego brzegu, ani wykrotu. A woda, wzięwszy go pod pachy, parła i pchała niepowstrzymanie na głębię. Na domiar złego, grunt, odrazu trochę grząski, usuwa się teraz zupełnie wyraźnie pod nogami...

Tak.. tonie...

Wówczas. z determinacją rozpaczy, postanowił płynąć. Zapomniał o tem, że pływa bardzo źle, że zresztą w nasiąkniętym wodą ubraniu i ciężkich butach żaden pływak nie da rady prądowi... Ostatkiem sił odtrącił od siebie daleko, na nic już nie przydatną gałąź, zebrał się w sobie, wyprostował, ile mógł... i dał szczupaka... Odrazu poszedł na dno... Jednym, drugim ruchem poderwał się na powierzchnię... raz zaczerpnął powietrza... drugi raz zaczerpnął pełne usta wody... woda zaczęła mu się lać do uszu... poczuł, że go mroczy... brak tchu...

Znów zanurzył się w wodzie... znów jakimś cudem wypłynął... rzucił się raz, drugi, trzeci, czwarty.

I oto, natrafił naraz na zwieszającą się nisko nad wodą — gałąź!

Uchwycił ją naprzód jedną ręką, potem oburącz. Zamarł.

Prąd, w tym miejscu nieco wolniejszy, nie ciągnął go już tak w zdradzieckie studnie. Zato było głęboko. Usiłował zgruntować. Napróżno. Wtedy, powoli, ostrożnie, drżąc z wycieńczenia i obawy, że się zbawcza gałąź ułamie — przesuwał dłonie po oślizglej korze — zaczął się posuwać do brzegu...

Namacał grunt. Woda podmyła w tym miejscu jakieś drzewo. Konary sięgały daleko nad tonią... Jeszcze wysiłek... ostatni...

Stał na płytkiej wodzie. Był uratowany!

Gdy, przemoczony do ostatniej nitki, bezsilny, drżący, zwałił się na suchym piasku nadrzecznym, jak kłoda, stracił na chwilę przytomność. Ocknął się, może po minucie, może po kwadransie? dygocząc z zimna.

Zaszumiał las.

Skądś, z daleka nadleciał wiatr. Wszedł pod wysokie głowice sosen, pod korony stuletnich olch, w gąszcz świerków, w nadwodne trzciny...

Głębokim, poważnym tonem począł swoją muzykę, rozkołysał wierzchołki drzew, uczynił niepokój wśród cichej dotychczas nocy...

Coraz głośniej szumiało w lesie, coraz potężniej. Zda się, zagadały naraz wszystkie drzewa, rosnące wzdłuż polsko-bolszewickiej granicy. Zda się, witały Zbiega.

— Witaj, witaj, rodaku!.. Bywaj nam, Zbiegu z bolszewickiej niewoli! — Jesteś już na polskiej ziemi! — Słyszysz? Na polskiej ziemi!

II.

Na polskiej ziemi.

W przestronnej izbie, za stołem, siedziało trzech żołnierzy. Byli bez mundurów, jeno w koszulach i haidawerach, zaprawionych w długie, kawaleryjskie buty. Szykowali się do snu, bo godzina była późna, a o czwartej nad ranem mieli służbę, więc pora była iść na spoczynek. Skończyli z czyszczeniem broni. Poziewali tedy, leniwie ciągnąc wątek swej rozmowy. Wreszcie jeden z nich, tęgi chłop o atletycznej budowie, wstał, ziewnął potężnie, przeciągnął się, aż mu w ramionach trzasło i powiedział:

— No, wiara, spać! Jutro Morowy da nam szkołę, jeżeli zaśpimy... Grześkowiak — zwrócił się do kolegi: — Co tam tak nasłuchujesz?

— Zdawało mi się, że ktoś koło domu łązi.

— Ktoby tam laził? Toć już blisko północ!

— A przecież słyszę kroki...

Poczęli wszyscy trzej bacznie nasłuchiwać. W rzeczy samej, koło okien dał się słyszeć szmer. Czyjeś ciche kroki zatrzymały się w tej chwili. Widać, człowiek stojący na dworze, obcy był i nieznal wejścia do domu. A może bał się wejść?

— Pójdę, zobaczę.. — Grześkowiak sięgnął po karabin. — Ktoby to był?

Ledwo stanął na progu drzwi, prowadzących na ganek — cofnął się i zawołał mimowoli:

— Wszelki Duch!... Kto tam? — Zwrócił się szybko do kolegów: — Kubiak, Sawicki! Bywajcie.. Tam jakiś pokrwawiony człowiek stoi!...

Kubiak i Sawicki zerwali się zza stołu i skoczyli do drzwi, aby w razie czego dać pomoc Grześkowiakowi. Tymczasem ten już był przy nieznajomym i pytał go surowo:

— Coś ty za jeden?

Otoczyli go wszyscy trzej. Grześkowiak wziął przybysza pod pachę.

— No, maszeruj do izby! Jazda. chłopcy! Zaraz się dowiemy, kto to taki... Marsz!

Nieznajomy był tak wyczerpany, że ledwo trzymał się na nogach. Wprowadzili go do domu i posadzili na ławie.

— Kto wy jesteście? — zapytał nieznajomy, ledwo dosłyszalnym głosem.

— Polscy żołnierze! Nie widzisz?

— Bogu dziękować!... Nieznajomy zadrżał — i nagle duża, ciężka łza potoczyła się po jego policzku. Złożył ręce, jak do modlitwy. Zaczął mó-

wieć cicho, z trudem poruszając wargami: — Już straciłem nadzieję, że dojdę do swoich... Błądziłem i błądziłem wśród nocy, a ciągle mi się zdawało, że mnie bolszewicy gonią...

Grześkowiak spojrzał pytająco na kolegów. Ci kiwnęli głowami. Wówczas, stąpając na palcach, żołnierz wyszedł do sąsiedniej izby, skąd powrócił niebawem, niosąc płaską mańjerkę, obszytą suknem. Podał ją nieznajomemu.

— Masz, napij się...

Nieznajomy pociągnął dobry łyk.

— Wódka...

— A ty co myślałeś, że mleko?

Żołnierze parsknęli śmiechem. Kubiak przechylił się przez stół i podał nieznajomemu spory kęs czarnego chleba.

Zapanowało milczenie. Nieznajomy jadł, z trudem opanowując drżenie rąk... Był strasznie głodny. Od wczoraj nie miał nic w ustach...

— No, napij się bracie jeszcze trochę. Tylko niewiele, boś, widzę, dawno nie jadł. Może cię zamroczyć...

— Napij się, napij — zachęcali przybysza żołnierze.

Widząc koło siebie dobroduszne twarze, słysząc dźwięki polskiej mowy, nieznajomy powoli odzyskiwał rezon. Wziął flaszkę w ręce, napił się z niej jeszcze raz, poczem odetchnął głęboko. Zapytał:

— To ja jestem, widzę, na pogranicznym posterunku?

— Tak jest!

— A daleko stąd bolszewicy?...

W głosie jego znów przebił się strach.
Żołnierze uśmiechnęli się. Grześkowiak poki-
wał głową.

— Widzę, że ci porządnie zalali sadła za skórę, biedaku! — Nie bój się. Tu jest Polska. Nie przyjdą. A choćby mieli ochotę kiedy zajrzeć, to jest ich czem przyjąć.. — Mówiąc to, wskazał na broń, wiszącą na ścianie.

— Dalibyśmy im pieprzu z cynamonem!

— I pieczonego bobu!

Zuchowate, wesole głosy pogranicznych żołnierzy ostatecznie umocniły nieznajomego w przekonaniu, że mu już nic nie grozi.

Tymczasem, Kubiak, olbrzym, zasiadł nawprost przybysza i zrobił uroczystą minę.

— No, podjadłeś sobie, teraz, bracie gadaj, jak się nazywasz! Skąd idziesz? Kto ci tak czoło i ręce podrapał? Dlaczego masz mokre ubranie, co?

Ale nim zapytany zdążył odpowiedzieć, rozległ się z sąsiedniej, ciemnej izby srogi głos, na dźwięk którego wszyscy trzej drgnęli.

— Co wy tam, do ciężkiej cholery, baraszkujecie po nocy?

Żołnierze zerwali się na równe nogi. Kubiak na palcach podszedł do drzwi i meldował służ-
biście:

— Panie wachmistrzu, melduję posłusznie, że mamy na posterunku jakiegoś człowieka.

— Jakiego tam znów człowieka? — ryczał straszny głos za drzwiami: — Do kroćstutysięcy diabłów! Będziecie wy cicho, czy nie? Spać, psiakrew, nie dacie! Ja wam dam szkołę!

— Panie wachmistrzu. Ten człowiek uciekł, zdaje się z Bolszewji.

— Kubiak, Ofermo jedna! Jak mi nie powiesz, czego tam hałasujecie, to was wszystkich tak wypucuję, że się wam babka przypomni!

— Toć melduję, panie wachmistrzu, że przyszedł do nas jakiś człowiek, okrutnie zdrożony, pewnie zbieg!

— To czego zaraz nie gadasz?

Żołnierze uśmiechnęli się do siebie ukradkiem. Nieznajomy stał ni żywy, ni martwy. Tymczasem, w ciemnym pokoju za drzwiami, zaczęły się rozlegać grzmiące ziewania, prychania, sapania. Potem słychać było, jak tam ktoś, półgłosem klnąc, wciąga buty. Wreszcie, rozwarły się naoścież przymknięte drzwi, Kubiak, Grześkowiak i Sawicki stanęli na baczność — i do izby wkroczył pan wachmistrz Morowy, człek postawy niedźwiedziej, barczysty i ogromny. Na czerwonej twarzy pana wachmistrza, dopiero co widać wyrwanego ze słodkich objęć snu, groźnie sterczały jasne wasy, jak wiechy. Brwi, konopnej barwy, zmarszczone w tej chwili, kryły wyraz oczu. Musiały być straszne te oczy!..

Przybysz zerwał się z ławy razem z żołnierzami i stał teraz, jak oni, wyprostowany na baczność.

Wachmistrz podszedł do niego i począł mu się pilnie przypatrywać. Trochę się uspokoił, ale wciąż jeszcze posapywał. Wreszcie, zapytał:

— Nazwisko?

— Stanisław Wąsik.

— Skąd?

— Z Bolszewji.

— Widzę! — Pan wachmistrz zaczął znów ruszać brwiami: — Tylko z Bolszewji przychodzą do nas ludzie w tak szpetnie porwanych portkach... Pytam: — Skąd pochodzisz?

— Ze Śląska.

Wachmistrz gwizdnął przeciągle.

— Psss... Proszę? Ze Śląska? A co was, do cholery jasnej, zapędziło do moskali?

Indagowany milczał. Cóż miał mówić? Gdyby chciał wszystko opowiadać, trwałoby to dobrą godzinę, a może dłużej..

Wachmistrz błysnął nań oczami ale zaczął znacznie mniej srogo:

— Patrzcie! Ze Śląska? — Pieron? — Pewnieście się pod Niemcem nie pisali Wąsik, tylko „Won-sik“, co? — Herrgottsakrament! — Wasserpollacke! — Pieronie!

Żołnierze zaczęli się znów uśmiechać. Morowy zwrócił się do nich, jak błyskawica.

— Cicho tam? Wy — Ja wam dam szkołę!

Ale gdy ponownie spotkał się z oczami z przybyszem. miał już inny, łagodniejszy błysk w źrenicach... Nawet zdawało się Wąsikowi, że niebieskie oczy pana wachmistrza są w gruncie rzeczy dobroduszne i pocziwe, jak oczy dziecka, a srogość, tylko tak. dla większej dyscypliny, jest udawana. Nie pomylił się. Wachmistrz Morowy podszedł doń blisko, bliźutko, poklepał go po ramieniu i powiedział:

— Z tego wszystkiego będziecie się tłumaczyli gdzieindziej. Jutro rano odstawia was do kome-

dy. Tymczasem się tu prześpicie. Rad jestem, że widzę ślązaka. Znam Śląsk. Nawet z waszymi ludźmi jestem nazwiskiem spokrewniony: wszystko morowe chłopcy — a ja się znów nazywam: Morowy. — Ha, ha, ha!

Zwrócił się do żołnierzy:

— No, chłopcy, uszykujcie tam jakie posłanie temu ślązakowi.

— Rozkaz, panie wachmistrzu!

Grześkowiak i Sawicki zakrzętnęli się rażno. Kubiak dał Wąsikowi swój koc. Wszyscy okazali mu teraz szczerą serdeczność. Widać było, że oficjalna strona przyjęcia została na dziś wyczerpana, a poczciwi polscy żołnierze zawsze są radzi, gdy mogą kogoś ze swoich ugaszczać...

Pan wachmistrz huknął się w czoło:

— Ale, ale!... Byłbym zapomniał!... A jedliście też co?

— Jadłem, panie wachmistrzu. Dziękuję...

— To dobrze. — Wachmistrz popatrzał na Staśka Wąsika i powiedział:

— No, to śpijcie! — Dobranoc!

— Dobranoc...

Nazajutrz zrana Stasiek - Ślązak obudził się znacznie silniejszy, choć wszystkie kości łamały go jeszcze po wczorajszej przeprawie, a poranione i podrapane miejsca piekły porządnie. Z wczorajszych znajomych nie zobaczył już, niestety, nikogo. Wachmistrz Morowy, a z nim żołnierze: Kubiak. Grześkowiak i Sawicki — wyruszyli jeszcze przed świtem, na służbę. Byli zato nowi ludzie, którym został polecony przez wachmistrza. Zrazu Stasiek

posmutniał, bo nie wiedział, jak sobie z tymi nowymi da radę. Okazało się jednak, że jego obawy były nieusprawiedliwione. Nowi żołnierze okazali się również dobrzy, jak ich koledzy.

Wskazano Staškowi studnię, przy której mógł się wymyć, jak się należy. Nie było to wprawdzie zbyt wygodnie, czerpać wodę skrzypiącym żórawiem, lać ją potem z wiadra w wielkie koryto i tam się pluskać. Ale gdy przypominał sobie, w jakim strasznym brudzie żył przez tyle miesięcy, jak nieraz brakowało kubka wody, wydała mu się ta prosta studnia i sosnowe koryto — czemś zachwycającem. Tem bardziej że woda była czysta, zimna i świeża.

Gorzej było z ubraniem Staška. Przedstawiało się opłakanie. Podczas przedzierania się przez gąszcze leśne podarł sobie spodnie i kurtkę a fatalna nocna kąpiel w zdradliwe rzeczce, która o mało co nie skończyła się dlań ragicznie, zniszczyła do reszty nadwątlony przyodziewek.

Obracał tedy kurtkę i tak, i siak, przyglądał się swoim porcietom — ale zrozumiał że bez kobiecej pomocy nic nie poradzi. — Ba! — Gdyby tak znalazła się jakaś dobra dusza i pożyczyła mu bodaj igły z nitką, albo pasemko bawełny...

Gdy tak rozmyślał nad swoim ubraniem, wstydząc się tej biedy, usłyszał nagle wesoły śmiech. Obejrzał się. Jeden z młodych żołnierzy, którzy przyszli na zmianę tamtych, kiwał mu z okna i wołał:

— A chodźcie tam, chodźcie! Dam wam nici i igły, wszystkiego, czego potrzeba! Nie będziecie

przecież — ha, ha, ha! — Świecili komendantowi gołymi kolanami!...

Zaczęło się cerowanie i naprawianie, a żołnierz pogadywał z humorem:

— Pewnie... pewnie... Zdałaby się tu jaka młoda i ładna dziewczucha, żeby zaradzić waszej biedzie... Co? — Nie poradzi! — Tu u nas na linji żadnych bab niema, bo służba taka, psiakrew, ostra, że nic tu po babach... Ale to nic. Damy sobie i sami radę, prawda?

Jakoż, zrobił Stasiek, co mógł: w kilku miejscach dziury zacerował, w kilku zeszył a najgorszą szkodę, na łokciu, gdzie sobie był wydarł cały kęs sukna, załatał kawałkiem płótna. Tak, choć wyglądał nędznie, nie wyglądał przecież, jak dziad. Zaczem zawołali go na kawę. Ponieważ była gorąca i suto ocukrzona, smakowała mu doskonale, choć, prawdę powiedziawszy, pewnie Ameryki nigdy tak kawa nie widziała: musiała rosnać na buraczanym polu, albo na polu cykorji... Dostał do kawy ogromny glon razowego, czarnego chleba i — o dziwo! — trochę smalcu! Dopieroż to była uczta, jakich mało! Ostatnie czasy w Bolszewji Stasiek żył lebiodą i szczawiem, które zbierał na łąkach przydrożnych... Chleba nie widział od dwóch tygodni, a suchary, których miał trochę, zapleśniały i skwaśniały... Więc ta skromna strawa żołnierska wydała mu się ucztą nad uczty.

Gdy zjedli, zaraz zaczęli się szykować do drogi. Wachmistrz Morowy posłał był meldunek od samego rana, należało więc stawić się w komendzie nie zwlekając, bo pod tym względem przepisy były surowe.

Stasiek pożegnał się serdecznie z żołnierzami i prosił jeszcze na odjeźdźnym, żeby powtórzono jego pozdrowienie Panu Wachmistrzowi, i tamtym trzem: Kubiakowi, Grześkowiakowi i Sawickiemu, co go przyjęli tak pocziwie. Nie wiedział, czy ich jeszcze kiedykolwiek zobaczy?

Kilku żołnierzy wyległo na ganek, kiedy Stasiek odjeżdżał z jednym z ich kolegów chłopską podwodą. Że już wiedzieli o ślązaku, kiwali za nim życzliwie i wołali:

— A powiedz tam swoim, jak wrócisz na Śląsk, że przyślemy po nich, gdy się zdarzy bić moskala!

Nie przeczuwał nikt z nich, jak prędko ta okazja się zdarzy...

III.

Pan Porucznik Dziarski.

Dobrze koło południa dojechał Stasiek do wsi, w której mieściła się komenda. Wjechali w większe obejście — tam żołnierz odprawił woźnicę i konia — a sam poszedł się meldować panu porucznikowi, przykazując Staškowi, żeby się nigdzie nie ruszał i czekał cierpliwie, aż go zawołają. Nie trwało to jednak długo. Może po dziesięciu minutach zawołał Staška służbowy podoficer, poczem wprowadzono go do kancelarji. W kancelarji siedziało paru podoficerów i kilku żołnierzy, pisząc i rachując. Pod ścianą stał jakiś żołnierz z pokiereszowaną głową. Z oczu mu patrzyło, że widać coś zbroił i że tu będzie stawał do karnego raportu. Pewnie o bijatykę poszło... Ano, nie pogła-

dzą go zato po głowie, to pewne. Pójdzie do pa-
ki, jak amen w pacierzu! — Na to jest wojsko! —

Stasiek drgnął, gdy usłyszał naraz swoje na-
zwisko, wywołane przez służbowego podoficera.

— Wąsik Stanisław!

Zaledwie po chwili przypomniał sobie, że prze-
cież sam wczoraj powiedział wachmistrzowi Mo-
rowemu, jak się nazywa. Zanim to jednak sobie
przypomniał i uprzytomnił, że wachmistrz musiał
już zrana meldować o nim, robiło mu się raz zimno,
to znowu gorąco... W Bolszewji przez długie
miesiące nie mógł się przyznać do swego nazwiska.
Więc teraz, tak nagle, na cały głos wywołane:
Wąsik Stanisław! — wzruszyło go do żywego...
Nim się jednak dobrze opamiętał, nim ochłonął i
zrozumiał, że niema się czego bać, bo jest wśród
swoich — znalazł się w gabinecie porucznika.

Gabinet Hm... Nie był to naprawdę gabinet:
jakież znów „gabinety“ mogą być w biednej kre-
sowej wsi?

Izba, taka sama, jak inne, tyle, że czyściutko
wybielona i przyozdobiona kilkoma lepszymi sprzę-
tami. Przy stole, zavalonym papierami, siedział
komendant, pan porucznik Dziarski. Za nim wisiała
na ścianie piękna fotografia, przedstawiająca Na-
czelnika Państwa polskiego, Józefa Piłsudskiego.
Trochę kart po ścianach, trochę broni — ot, i całe
umeblowanie.

Stasiek stanął nawprost okna, tak mu rozkazał
pan porucznik. Przez chwilę młody oficer przyglą-
dał się badawczo Staškowi, poczem, uznawszy wi-
dać, że przybyłemu patrzy z oczu niezgorzelej, za-

czał mówić dobitnie, robiąc od czasu do czasu lekkie ruchy ręką:

— Wąsik. Dostałem meldunek, żeście się zgłosili wczoraj w nocy do posterunku naszej straży granicznej w N. i podali się za zbiega z Bolszewiji. W meldunku stoi napisane, żeście się nazwali Stanisław Wąsik, rodem ze Śląska. — Czy tak?

— Tak, panie poruczniku.

— Muszę was uprzedzić, że zanim was puszcze dalej, zanim wogóle postanowię, dokąd was skierować, chcę wiedzieć wszystko, rozumiecie? — Wszystko, co dotyczy waszej osoby, przeszłości i okoliczności ucieczki. Uprzedzam, że do nas często zgłaszają się różni podejrzani ludzie, podają się za zbiegów z Bolszewiji, a potem, po dokładnem zbadaniu sprawy, okazuje się, że to są elementy wrogie Polsce, bolszewiccy agitatorzy, albo szpiegdy, którym tylko o to chodzi, żeby raz przeskoczywszy granicę, uprawiać tutaj swoją podstępną robotę! Więc ostrzegam was, Wąsik, mówcie tylko prawdę.

— Będę mówił prawdę, panie poruczniku! Nie mam nic do ukrywania przed swoimi!

— Dobrze.

Porucznik poprawił się na krześle, wpatrzył bystro w oczy Staśka i zaczął indagację:

— Podaliście swoje prawdziwe nazwisko?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Gdzieście się urodzili?

— W Groszowicach, panie poruczniku.

— Na Śląsku?

— Tak jest, panie poruczniku. Koło miasta Opola.

— A! Wiem. — Ile macie lat?

— Dwadzieścia.

— Służyliście w wojsku?

— Tak jest.

— W jakim?

— W niemieckiem, austriackiem, polskiem, czeskiem, angielskiem — i P. O. W.

— Jak? Jak? Jak???...

Pan porucznik Dziarski zerwał się mimowoli z krzesła. Podeszedł do Staśka blisko, bliźutko... Widać było, że pan porucznik rozważa kapitalne pytanie: Czy ten chłopak ma bzika — czy niema?

Zapanowała chwila ciszy. Po jakiejś minucie milczenia porucznik Dziarski usiadł z powrotem przy stole — i zadzwonił. Gdy zjawił się służbowy podoficer, porucznik rozkazał:

— Sierzancie. Nie przeszkadzać mi teraz. Jestem zajęty. Papiery później podpiszę!

— Rozkaz!

Sierzant zawrócił się na pięcie, trzasnął ostrogami i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. Wtedy porucznik, po króciutkiej chwili wahania, wskazał Staśkowi krzesło.

— Siadajcie. Widzę, że się ledwo trzymacie na nogach.

A gdy Stasiek spojrzał z wdzięcznością na porucznika i usiadł, porucznik dodał:

— A teraz słucham, jak to było?

IV.

Opowiadanie Staśka-ślazaka.

— Urodziłem się na Śląsku — tak zaczął swoje opowiadanie Stasiek — jakom już mówił, koło Opola. Rodzice mieli we wsi Groszowicach kawałek gruntu i działo nam się niezgorzej. Ale akurat, kiedym skończył dziesięć lat, umarła matka, a rychło potem, bo w rok, umarła moja siostra, starsza odemnie o pięć lat. Zostaliśmy we trzech tylko: ojciec, starszy brat i ja. Ja wtedy niewiele rozumiałem, bo byłem jeszcze mały, ale widać z żalu za matką, którą bardzo kochał, czy z czego innego, ojciec zaczął pić. Gospodarstwo poszło lichy. Zaczęły się długi. Więc któregoś dnia, jak dziś pamiętam, na wiosnę, powiedział nam ojciec, że postanowił iść se precz, do fabryki, i że sprzedaje grunt i wszystko. Józek, mój starszy brat, począł się ojcu sprzeciwiać i wołać, że nigdzie nie pójdzie, bo tutaj nieboszczka matka pochowana... Wtedy ojciec strasznie się zgniewał, zaczął krzyczeć na Józka a nawet pobił go mocno, pierwszy raz, bo dotąd nas nigdy nie bił. Pewnie i jemu żal było Groszowic, a najwięcej grobu na tamtejszym cmentarzu, ale widać już tak musiało być. No, i coś w tydzień potem ojciec sprzedał ziemię — dobrze jeszcze, że się trafił kupiec uczciwy, Polak. Wyciągnęli my z Groszowic do miasta. Ojciec najprzód próbował pracować w Królewskiej Hucie, potem pod Bytomiem, w Szarleju. Nigdzie jednak długo się nie osiedził. Za stary już był widać, żeby nowego życia próbować, trochę pewnie tęsknił za

wsią, trochę się marnował przez pijaństwo, bo wtenczas już tego pił...

Najgorzej mu było przez to, że we wsi, na swoim gruncie, niewiele co miał do czynienia z Niemcami — wkoło siedzieli sami swoi, wiarusi, sąsiedzi. A w mieście, jak to w mieście. Musiał się słuchać Niemców, przewodził nad nim byle Prusak, a czasy, jak teraz miarkuję, były ciężkie...

Wyzywali nas i tak, i siak, jedni od Saupollacken, inni od Wasserpollacken, dokuczali nieraz tak, że się pięście zaciskały!

Ojciec był krewki, brat też. Razu pewnego — a to już było na trzeciej fabryce, w hucie cynkowej, pogniewał się ojciec z werkmajstrem; od słowa do słowa — huknął go Niemiec w łeb! Brat był blisko — mocny był! — jak nie podleci, jak nie trzaśnie tamtego pierona — na nic mu łeb rozcharatał! Musiał się Niemiec leczyć dobry miesiąc. No, wiadomo, co z tego wynikło. Ani ojciec, ani brat nigdzie już roboty nie mogli znaleźć. Mimo, że zapłacili za to więzieniem, stracili pracę. Dyrektory kopalń, hut i fabryk znają się, jak łyse konie. Jak dadzą znać jeden drugiemu, możesz, człowieku, cały rok za pracą chodzić — i nic nie wychodzisz... Wtedy ojciec zaczął się szykować do Ameryki. Dwóch tam od nas pojechało, do miasta Pittsburga i w listach bardzo sobie chwalili, że dużo zarabiają. Więc i ojciec postanowił tam szczęścia szukać i nawet szyfkarty już zadatkował. Tymczasem, zdarzyła się niespodzianie robota na kopalni, w Heinitzgrubie. Co było marek, to się przez tych parę lat tułaczki zjadło, a osobliwie z



powodu tego przymusowego fajrantu, co to nigdzie nie mogli roboty dostać. No, więc na grubie. to na grubie. Poszli obaj pod ziemię, robić przy kolejce. I rzeczywiście, zostali pod ziemią... Przerobili wszystkiego trzy tygodnie. Na czwarty tydzień zdarzyła się katastrofa — i zginęli jednego dnia, o jednej godzinie: ojciec i brat...

Stasiek na chwilę zamilkł. Widać te wspomnienia ciężkie były, bo ani rusz, nie mógł mówić. Co się zabierze do opowiadania — coś go za gardło chwyci...

Wreszcie podjął przerwany wątek swojej smutnej opowieści:

— A to było już krótko jakoś przed wojną. Ja miałem wtedy piętnaście lat, kiedy się wojna zaczęła. Sam byłem na świecie, przytem. mało jeszcze mogłem zarobić, a tych pieniędzy co mi po śmierci ojca zostało, bo wypłacili z kasy, nie na długo starczyło. Więc, kiedy na prawo i lewo zaczęli wszystkich brać do wojska, co miałem czekać? Poszedłem i ja. Wiedziałem, że czy tak, czy owak, za parę miesięcy w mundur mnie ubiorą. Wolałem iść, jako Freiwilliger, po naszymu, ochotnik. No, i poszedłem. Wzięli mnie do piechoty, choć meldowałem, że chcę do kawalerji. Widać piechota była im więcej potrzebna...

Posłali nas na zachodni front, do Francji, tam ćwiczyli przez sześć tygodni za frontem, a potem posłali do okopów. Biliśmy się wtedy jeszcze do łrze, ale już nie było w niemieckim wojsku dawnego ducha. Coraz przynosili któregoś z nas z przestrzeloną nogą. albo ręką. Coraz któryś dostał

kulkę. Bo Francuzi tego strzelali! Wtedy było już skąpo z ludźmi. Co którego jako-tako podlecza w lazarecie, dadzą mu dwa tygodnie „Erholung“ — marsz z powrotem na front!

Chłopy zaczęły sarkać. Jak dawniej krzyknął starszy, Lejtnant, albo Feldfebel, było cicho jakby makiem zasiał i ludzie się trzymali sztram... Ale to się popsuło. Przedtem mówili wciąż „Frankreich ist erledigt“ — teraz zaczęli na głos gadać: „Wir sind erledigt“ A najgorzej dokuczały nam gazy... Jak tylko zdarzy się noc taka, że wiatr ciągnie dobrze na nas — posyłali gazy. Dużo się narodu zmarnowało, osobliwie naszych, górnoślązaków, bo w regimencie dobra połowa była ze Śląska...

Wtedy dostałem jednego dnia dwie kulki z maszynogweru: o! — tu — i tu...

Mówiąc te słowa. Stasiek odgiął rękaw kurtki i pokazał porucznikowi dwie małe blizny na przedramieniu. Ciągnął dalej:

— Przeszły na wylot. W miesiąc byłem zdrów. Ale mnie już nie posłali ze szpitala na francuski front, tylko na rosyjski. I tam dostałem się do niewoli...

Porucznik Dziarski patrzył w zamyśleniu na opowiadającego. W ciemnych źrenicach Staśka malowało się podczas opowiadania wszystko, co opowiadał: więc smutek, żal, tęsknota, gniew, przygnębienie... Razem, widać było, że opowiada szczerą prawdę: tak jak się naprawdę wszystko działo. Porucznik Dziarski zrobił giest — Stasiek ciągnął dalej:

— Dostałem się do niewoli, po prawdzie, przez kolegów. Wtedy już Niemcom nie bardzo chciało się bić, więc pewnego dnia, na patrolu, gdy nas otoczył większy oddział rosyjski, poddali się. Można się było jeszcze wycofać, ale woleli złożyć broń. Tak się dziwnie złożyło, że strzelaliśmy tylko dwaj: vice-Feldwebel Dubois, który był al-zatczyk, i ja... Wyszło na to, że choć nas przed wojną Niemcy najwięcej gnebili, najhonorowiej postąpiliśmy my, a tamci stchórzyli...

Dubois dostał odrazu kulą w serce i został na miejscu — mnie moskale wlepili kilkanaście razy kolbą, że potem nie mogłem przez dwa dni poruszać ani ręką, ani nogą. Jeszcze dobrze, że to była rosyjska piechota, bo gdybyśmy się dostali w łapy kozaków, pewnie by było po nas! Jeńców mordowali. Osobliwie, jeśli w pobliżu nie widać było starszyny...

Kolegów zaraz odtransportowali gdzieś dalej, mnie na razie zostawili we wsi, bo byłem strasznie potłuczony. I to wyszło na dobre. W kilka dni coś się na froncie zmieniło, rosjanie się pośpiesznie cofnęli, a wieś zajęła austriacka kawalerja. Mnie nie zdążyli ewakuować. Leżałem w chałupie chłopskiej, jak Łazarz, cały jeszcze posiniaczony. — Ten austriacki pułk składał się w dobrej połowie z Polaków z Małopolski. Jak się dowiedzieli, że jestem Polak ze Śląska, tak mi powiedzieli: „Co ty będziesz, głupi, wracał do pułku? I tak twój pułk gdzieś daleko odszedł... Przystań do nas! Między swoimi, rodakami! zawsze raźniej. A jakby co do czego przyszło, nic ci Niemcy nie zrobią: przecież

jesteśmy sprzymierzeńcy! Wytłumaczysz się, żeś swojego oddziału nie mógł znaleźć i na razie u nas się meldował“... Prawda, że to było tłómaczenie się słabe. Ale wtenczas już żołnierze często zmieniali oddziały, bo dyscyplina rozluźniła się na froncie. Oprócz tego, nie miałem większych wyrzutów sumienia, bo nie popełniałem przecież żadnej zdrady: Wilhelm i Franz-Joseph byli przyjaciele... No, i zostałem u nich. Dobrze mi było między Polakami, zwłaszcza, że ci Polacy z Galicyi, to naród wesoły i życzliwy. Spełniło się wreszcie moje dawne pragnienie: byłem w kawalerji. Dali mi konia po jednym zabitym koledze, konia nawet dobrego. Choć dawno konno nie jeździłem, nadałem się im niezgorzej, boć przecież z końmi byłem obeznany od dziecka, jako na wsi urodzony. Wojowaliśmy parę miesięcy. Ale potem, im dłużej wojna trwała, tym gorzej było we wojsku. Każdy radby wracać do domu, widać było zresztą, że to wszystko psu na budę się zdało: cesarzowie wojują, a naród się marnuje. Najgorsze było to, że Polak do Polaka musi strzelać... Boć i po tamtej stronie, u moskali, naszych było bardzo dużo. Zdarzyło się, że pojedzie pluton na patrol i przyprowadzi jeńców... Przestraszone to, nieraz pocięte szablami, bo przecież kawalerja austriacka też porządnie rąbała rosyjskich żołdatów... Zagadasz do niego — a tu się okazuje, że Polak, z pod Warszawy, albo gdzieś z Płockiej, czy Siedleckiej gubernji...

Byłbym tak może do końca przewojował pod czarno-żółtym sztandarem, ale zdarzyło się, że nam wypadło nowe sąsiedztwo: Polskie legjony!

— I wstapiliście, naturalnie. do Legjonów? — zapytał żywo porucznik Dziarski, błyskając oczami.

— Tak jest, panie poruczniku.

— A co na to austriacy?

Stasiek uśmiechnął się.

— Nie pytaliśmy się ich, panie poruczniku. Jednej nocy wsiedliśmy na konie — i tyle nas wdzili.

— A nie mieliście wyrzutów sumienia?

— Nie, panie poruczniku! Jak przechodziłem z niemieckiego pułku do austriaków, to jeszcze mi się trochę markociło... Myślałem i tak, i siak... Ale, kiedy dowiedziałem się, że tuż, o milę, stoją Legjony, polskie wojsko, pod polską komendą, które walczy pod... w tem miejscu Stasiek mimowoli podniósł oczy i spojrzał na wiszący na ścianie portret Józefa Piłsudskiego... Wzrok porucznika Dziarskiego poszedł w tym samym kierunku. Obaj jednocześnie wyprostowali się i wpatrywali przez chwilę w marsowe, piękne rysy Komendanta... Stasiek powiedział:

— Dopiero tam odetchnąłem. Po raz pierwszy w życiu. I tam, w Legjonach, nauczyli mnie dobrze rozumieć, co to jest Polska!

Porucznik Dziarski wstał, podszedł do Staśka i położył mu dłoń na ramieniu:

— Tośmy towarzysze broni. Wąsik, wiecie? I ja służyłem w Legjonach pod dowództwem Komendanta Piłsudskiego. Od samego początku... Po chwili dodał: — Jak to się dziwnie czasem składa...

Usiadł i podjął po pewnym czasie:

— Gdzie wtedy stały Legjony?

— Pod Kowlem, panie poruczniku.

— Aha, teraz rozumiem, dlaczego was nigdy nie spotkałem. Byłem wtedy ranny...

Stasiek spojrzał pytająco na porucznika Dziarskiego.

— Leżałem w Warszawie, w szpitalu, dokąd mnie przenieśli dzięki staraniom rodziny. — No, ale opowiadajcie dalej!

Więc Stasiek poprawił się na krześle i tak mówił:

— Przeszło nas do Legionów dwunastu. Naturalnie, austriacy podnieśli wielki krzyk i chcieli nas odbierać z powrotem. Posłali do Komendy Legionów adjutanta i strasznie się odgrążali. Ale nas nie mogli odszukać, bo zadekowaliśmy się w okopach, a konie, któreśmy ze sobą zabrali, poprzemieniały się przez jedną noc tak dokumentnie, że nawet wachmistrz z naszego szwadronu, który jeździł ich szukać, nie poznał ani jednego. Mieli legioniści swoje sposoby...

Porucznik i Stasiek wybuchnęli jednocześnie śmiechem.

— Mojego kasztanka — opowiadał Stasiek, powstrzymując wesołość — tak przemalowali, że był czarny, jak kruk. Przytem u austriaków miał długi ogon, a tu naraz pokazał się skurtyzowany, kussy, całkiem inny koń...

— Ha, ha, ha! — Śmiał się porucznik Dziarski: — Wyborne! Brawo! Sam to kiedyś robiłem, jeszcze pod Lublinem... Cóż dalej?

— Dalej — zdarzył się zabawny wypadek. Mielśmy dowódcę szwadronu, Czecha. Ten Czech

okrutnie się zawział i przysięgał, że nas z pod ziemi wykopie i z Legionów wyprocesuje. Ale którejś nocy, kiedy był wielki alarm, bo rosjanie mocno nacisnęli, odkomenderowano nas, coś ze trzydziestu, osłaniać odwrót piechoty.

I tak się zdarzyło, że zetknęliśmy się pod ostrym ogniem moskali: nasza, legionowa wiara — i dawny szwadron, pod tym czechem. Nie było wtedy, naturalnie, czasu na żadne procesy... Z flanku były trzy karabiny maszynowe, a wprost szła wielka tyraljera rosyjska. Podobno dwa bataljony. Myśmy osłaniali odwrót austriackiej piechoty, która była znacznie słabsza od rosyjskiej: najwyżej bataljon. Więc, w pewnej chwili, ten czech przykazuje odwrót. A my — nie! — Prosto przez łąki we trzydziestu, jakeśmy się rozsypali, wskok — dopadliśmy do tych karabinów maszynowych — i wzięli dwa. Trzeci uszedł. Straciliśmy przy tem tylko dwóch ludzi, bo rosjanie bardzo źle tego dnia strzelali. Legjony dostały następnego dnia pochwałę. Naturalnie, już się o nas ten Czech więcej nie upominał... Był spokój.

Różne potem przechodziliśmy koleje. Dobre i złe. Żyliśmy w szeregach, jak jedna rodzina. Wszystko prawie było wspólne. Którten dostał jakąś pomoc z domu, dzielił się po bratersku z kolegami. Taksamo, jak się zdarzyło fasować, coby to nie było: jadło, czy rum, czy inne rzeczy — dzieliliśmy porównie między sobą. O jedno tylko zawsze była wojna: o furaż dla koni! Furażer miał z tem prawdziwą biedę. Każden radby swojemu koniowi dać tyle owsa, żeby się szkapa nażarła, jak

wieprz! Kradliśmy nawet jeden drugiemu futer, o co były zawsze wielkie sprawy...

Wiadomo, kawalerzysta na te rzeczy jest chciwy, jak żyd na pieniądze. I cyganiliśmy też porządnie przy fasunku, bo o naszym wojsku nie bardzo pamiętali, więc trzeba było sobie w niemieckich i austriackich Prowjantamtach radzić sprytem. Ale oprócz tych drobnych sprzeczek żyliśmy, prawdę mówiąc, jak bracia w zakonie. Któryś był więcej uczony, kształcił wolnym czasem swoich towarzyszy. Taksamo, dbali o to nasi oficerowie, żeby się szeregowiec rozwijał. Mnie w tym czasie ostro wzięli w obroty, bom kiepsko mówił po polsku, jako, że u nas na Śląsku wszyscy gadają przez pół po polsku, przez pół po niemiecku. Starali się o to Niemcy, żebyśmy zapomnieli swojej mowy i sporo wskórali. Potem, na wojnie na różnych frontach, też dobrze oduczyłem się polskiej mowy... Miałem — ci ja, miałem! Dawali mi taką szkołę, że czasem chciałem się z nimi bić. Najgorzej było z tym „Jo.“ — U nas, zamiast „Tak“ mówią z niemiecka „Jo“. I jak tak mówiłem. Ale mi póty dokuczali od „Joków“ — aż się nauczyłem mówić, jak należy. Nie sposób się było gniewać na kolegów, bo mieli jak najlepsze zamiary, a chłopcy to były szczere i pocziwe... Mój Boże!... Ilu z nich już w ziemi leży...

Zatrzymał się nagle Stasiak, przymilkł, poczem zagadnął niespokojnie porucznika Dziarskiego:

— Przepraszam, panie poruczniku... Czy niewie czasem pan porucznik... Żyje też jeszcze wachmistrz Dobiecki, z I-go pułku?...

— Niewiem... Nie spotykałem się z nim.

— A porucznik Janik?

— Poległ.

— Poległ!... — Stasiak zwiesił głowę. Po krótkim milczeniu zapytał:

— A porucznik Korski?

— Także poległ.

— A Grzmot — Skotnicki?

— Żyje. Zdrowszy.

— A Wieniawa — Długoszowski?

— Jest adjutantem Naczelnika Państwa. Siedzi w Belwederze.

— O! — ucieszył się Stasiak — Chwała Bogu!..

Padwały zapytania i odpowiedzi. Często na zadowolone, niespokojne spojrzenie Staśki, porucznik Dziarski odpowiadał krótkim:

— Poległ..

Och, poległo ich, poległo dużo, odważnych szeregowych i oficerów, piechoty i ułanów, którzy stali niegdyś nad Styrem, pod Kowlem, w bagnach pińskich... Niejeden z dzielnych chłopców leżał oddawna w ziemi, w bezimiennej mogile, i śnił o Polsce, jak w tej żołnierskiej piosence śpiewają... Niejeden umarł z ran, niejeden bez wieści zaginał! Z wielu dawnych kolegów i towarzyszy broni Wąsika została się tylko pamięć..

Gdy tak ugrzęźli we wspólnych przypominaniach, zdawało im się obu, Dziarskiemu i Wąsikowi, że chodzą po cmentarzu...

Wreszcie, z westchnieniem, Stasiak zaprzestał dalszych zapytań i ciągnął dalej swoją relację:

— Teraz muszę panu porucznikowi opowiedzieć najsmutniejszą historję. Jak po raz drugi dostałem się do rosyjskiej niewoli! — Było to tak: — Kiedy w Legjonach zaczęło się źle dziać, bo austriacy kręcili i na wszystkie sposoby chcieli oszukać Komendanta, ogromnie wszyscy posmutnieli. Mieliśmy wtedy z Warszawy, gdzie siedział Piłsudski, fatalne wiadomości. I Wilhelm i Franz-Joseph, póty nas głaskali, póki myśleli, że wojnę na swoją korzyść obrócą, a Polaków byle czem zbędą. Gdy się przekonali że walczymy o niepodległą Polskę i że za Piłsudskim gotów jest stanąć każdy żołnierz legionowy — murem! — poczęli nas za kark brać. Na to się Komendant nie chciał zgodzić w żaden sposób. Na froncie, jak było trzeba dziurę zatykać, albo zdradę czechów łatać — posyłali nas. Ale jak tylko zakitowaliśmy taką dziurę własną krwią — pokazywali nam zęby... Zresztą, pan porucznik to wszystko wie lepiej odemnie...

Boje były ciężkie. Tem cięższe, że w sercach mieliśmy smutek... Niejeden myślał, że już nic z tego wszystkiego nie będzie, że pozostaje tylko — umrzeć odważnie! Właśnie tego dnia, po południu, zaczęli naraz moskale pracować w nasze pozycje. Dostali widać, psiekrwie, nową amunicję, bo walili, jak w bęben! Po naszej stronie stały tylko dwie baterje — po tamtej stało ich z dziesięć! Zrobiło się piekło! W biały dzień — istna noc. Rwały się granaty na prawem skrzydle, rwały się na lewem, nad samymi rowami, w rowach dobiegowych... Zniszczyło nam po trzech godzinach takie piekielnej strzelaniny, okopy do czysta. Czekaliśmy posiłków

— nie nadchodziły. Pożegnałem się z najbliższymi kolegami. Czuliśmy, że za chwilę zmiotą nas moskale! — Jakoż, w pewnej chwili, runął w nasz okop granat — straciłem przytomność...

Byłem tylko lekko kontuzjowany, jak się okazało. Trzech moich kolegów rozerwało na strzępy... Ale, kiedy oprzytomniałem, zobaczyłem, że rów pełen jest moskali. Byłem znów w niewoli. Odtransportowali mnie zaraz do lazaretu, a stamtąd — do szpitala, po kilku dniach. Dowiedziałem się później, że nasi tej samej jeszcze nocy, kontratakem, wyrzucili Rosjan ze zdobytej pozycji i usadowili się w niej napowrót — ale cóż? Byłem w niewoli i nic mi to wszystko nie pomogło... Musiałem się leczyć dobre dwa miesiące, choć kontuzja była niby taka sobie, niestraszna... Może pan porucznik był kiedy kontuzjowany, to wie, że to jest paskudna historia... Tamte dwie zabliźnione rany od karabinu maszynowego — i kolby, które mi mnie swojego czasu potraktowali moskale — długie miesiące walk, nieprzespane noce, chłody, głody — wszystko to odezwało się naraz... Już mi się zdawało, że nic ze mnie nie będzie! Straciłem zupełnie władzę w rękach, źle słyszałem, trawiła mnie jakaś gorączka — poprostu rozklejałem się, jak źle odrutowany garnek...

Widać jednak siły miałem młode, zdrowie gdzieś w zapasie, bo się wylizałem. Pobyłem jeszcze w tym szpitalu kilka tygodni, poczem, razem z partją jeńców, wysłali mnie daleko, bo aż na Ural... Wie pan porucznik, pod same uralskie góry...

-- Wiem.

— Tam umieszczono nas w jakimś małym miasteczku i trzymano pod silną strażą.

Było tam precz, po różnych osadach i wioskach, bardzo dużo jeńców wojennych, osobliwie Czechów, co się do niewoli poddawali całymi oddziałami. Jeździli także specjaliści emisariusze po całej Rosji i wyławiali tych „Pepiczków“, jak myśmy ich nazywali. Formowano czeskie legjony. Co one tam warte były, to się później okazało... Wiadomo, Czesi są dobrymi kupcami i sprytnymi politykami, ale o ich wojennej bitności dałoby się bardzo dużo powiedzieć...

Przyjechali oni emisariusze także do nas. Nie miałem wyboru. Do polskich oddziałów, które, jak słyszałem, stały dalej na Syberji, nie miałem żadnego sposobu się dostać... Czechom o to chodziło, żeby moskale ocyganić swoją liczbą, że to ich niby tak dużo jest — i wszystko okrutnie bitne wojaki. Jak mnie zaczęli namawiać, jak zaczęli naciskać — co miałem robić? Zgodziłem się. Zaliczyli mnie do Legjonów czeskich, gdzie po prawdzie mówiąc, było rozmaitego bractwa, rozmaitej narodowości bez liku. Poszliśmy...

W tym czasie w Rosyi, jak pan Porucznik wie, zaczął się robić coraz gorszy bigos. Kiereńskiego djabli wzięli, bolszewicy chwycili wszystko w garść i zaczął się taniec!...

Długobym musiał opowiadać, co i jak, ale tyle panu Porucznikowi powiem, że to braterstwo broni z Czechami psu na budę się nie zdało. Niby politykowali, niby pięknie o Polakach mówili, ale, jak co do czego przyszło, zdradzali...

Więc pomyślałem sobie, że trzeba będzie chyba swoich szukać bliżej, skoro na Syberję do polskich korpusów dostać się nie sposób. Tak też zrobiłem. Tylko, że zamiast do Polaków, dostałem się, jako wolonter, do Anglików, którzy w tych czasach zjawili się na północy...

— To była wasza przedostatnia służba, Wąsik?

— Tak jest. panie Poruczniku. Przedostatnia. Bo rychło potem wstąpiłem do P. O. W. do Polskiej Organizacji Wojskowej — i siła bolszewikom naszkodziłem...

— Gdzieście się z peowiakami spotkali?

Stasiek westchnął.

— Prawdę mówiąc, panie Poruczniku, nietylko ja się z nimi spotkałem, ile ich szukałem umyślnie — i znalazłem, choć to było połączone z wielkiem niebezpieczeństwem i trudami. Ale postanowiłem sobie — i dokonałem!

Przedtem jeszcze dochodziły mnie głuche wieści, że ten i tamten z legionistów naszych który był mi znajomy osobiście, albo z nazwiska, jest w Rosyi i pracuje dla sprawy. Niektórzy dokazywali prawdziwych cudów waleczności! Ano, zetknął mnie z nimi przypadek, bom, prawdę mówiąc, okropnie temu przypadkowi dopomagał... Więc, jakeśmy się stowarzyszyli, już nie rozstawaliśmy się, tylko pracowali z takim celem, żeby po pierwsze, bolszewikom dokuczyć, a, po drugie, jakąś drogą do Ojczyzny dotrzeć... Zdawało się nam już po paru miesiącach, że jesteśmy bliscy celu. Zbliżaliśmy się do granicy. Ale cóż? Jednego dnia zaaresztowali nas bolszewicy, pięciu peowiaków, i zdawało

się, że dwudziestuczterech godzin nie każą nam czekać.. Poprowadzą na rozstrzał — i już! Przecież zupełnie niewinnych ludzi wyprawiali na tamten świat — dlaczegożby mieli nas żywić, skro mieli w rękę pewne dowody?

Ale z bolszewikami, panie Poruczniku, jak wogóle, z moskalami, nigdy nie wiadomo, co i jak. Z więzienia haniebnie ciężkiego, gdzie nas zamknęli, wyprowadzała Czeka, której wtenczas przewodniczył jakiś zbój, łotysz, czy finn, nigdy nie dojdę, co to był za jeden — to tylko pewne, że straszny kat na ludzi — wprowadzała, panie Poruczniku, codzień ludzi na stracenie. Po trzech, po pięciu, po dziesięciu, jak się trafiło... To były straszne, okropne godziny! — Zasypialiśmy z myślą, że lada chwila mogą przyjść po nas chińczycy, którzy tam, jak psy dzikie, ludzi mordowali — i że nas zatłuką w jakiej piwnicy, o której po cichu opowiadali rzeczy potworne... Żal mnie chwycił okrutny... Żebyż to jeszcze zginąć, jak się bojowcowi za polską sprawę należy: przed frontem, przed plutonem, z podniesioną głową! Ale tak, po nocy, w łapach tych rzeźników...

Okazało się, że nas nie zabijali przez to, że myśleli dostać do ręki nici naszej roboty i dopiero potem, całą kupą chcieli nas zgładzić. Ale nikt nie gadał, bośmy wszyscy byli chłopcy twarde. Mój towarzysz, miał pseudonim Stawski, trzy razy był na badaniu — i trzy razy przynieśli go pokrwawionego... Milczał, jak grób. Mnie też parę razy brali do Czeka, na „rozmowę“ — i pobili do utraty przytomności — ponieważ jednak o naszej sprawie wie-

dzieli w Piotrogradzie, i były podobno instrukcje specjalne — nie mieli odwagi nas katować w szczególności zwierzęcy sposób. — Obiecywali! Ba, obiecywali takie rzeczy, że włosy na głowie dęba stawały...

Zdecydowaliśmy się uciekać. Pewnie i był najwyższy czas, bo byliby nas rychło zgładzili, widząc, że nic się więcej nie dowiedzą...

Którejś nocy, kiedy się straż popiła, przepiłowaliśmy kratę w oknie — o, to była straszna noc! — i w nogi!

Jeden mój kolega był z zawodu mechanikiem i on tak pięknie tę grubą kratę przepiłował... My nie bylibyśmy dali rady... Jakiś taki swój sposób miał... Kratę lichy wzięło!

— No, dobrze jest, myślimy, ale co dalej? Drogi nie znaleźliśmy, pieniędzy nie mieliśmy... Cały kraj pełen szpiegów...

Postanowiliśmy się rozdzielić. Choć to ciężka była decyzja, rozumieliśmy, że w kupie nas łatwiej pojmają, pojedynczo — znacznie trudniej. Przytem, choć samemu okrutnie markotno, łatwiej jest samemu, znacznie łatwiej...

Wtenczas rozdzielił się. Straciłem moich przyjaciół z oczu. Już ich odtąd nie widziałem... Bóg raczy wiedzieć, czy przeszli szczęśliwie granicę, czy ich bolszewicy złapali...

A o mnie — Pan Porucznik wszystko wie. Uciekałem lasami, bocznymi drogami... Dwa razy mało brakowało, a byliby mnie dostali w swoje łapy. Raz na noclegu, kiedy rosyjski chłop zdradził, a

drugi raz — na samej granicy, wczoraj. Żeby nie był upadł umyślnie na ziemię, kiedy mnie ten kozak dojeżdżał, i żeby on, psiawiara, nie był przeciął szaszką powietrza — to alboby mnie rozsiekał na miejscu, kozackim sądem, albo też mieliby mnie z powrotem w Czeka... A stamtąd, wiadomo, jedna tylko droga: na tamten świat!...

Stasiek westchnął głęboko — i zamilkł.

Milczał przez dłuższą chwilę porucznik Dziarski. Wreszcie, wstał, podszedł do Staśka i uściśnął mu w milczeniu rękę.

— No, — powiedział Porucznik — dziękujcie Bogu! Mielicie szczęście! Ilu ludzi tam było, niewiem, wiem tylko, że na stu może jeden wywinał się z takich opresji, jak wasze... Tak, Wąsik. W czepku rozdzielicie się, jak powiada przysłowie. I wiecie Wy co? Tak myślę, że jeśli Was dotąd djabli nie wzięli... (w tem miejscu Porucznik uśmiechnął się wesoło) — to Wam już widać nie sądzono młodo umierać!

— I ja tak myślę, panie Poruczniku — odpowiedział Stasiek.

— O, to, to! Grunt, nie tracić fantazji! No, a co myślicie dalej robić?

— Nie wiem, panie Poruczniku. Chciałbym do wojska...

— Hm...

Porucznik przeszedł się kilka razy do pokoju. Przystanął.

— A do jakiej broni chcielibyście wstąpić?

— Do kawalerji...

— Naturalnie! Zaraz chce wstąpić do kawalerji! Patrzcie, go, ułana zatraczonego! Do piechoty kawaler nie łaskaw?

Stasiek trochę się zaczerwienił.

— Melduję posłusznie, panie Poruczniku, kawalerja najlepiej mi się widzi...

— Już dobrze, dobrze...

Porucznik Dziarski siadł przy biurku, umoczył pióro w kałamarzu i zaczął zaraz pisać jakiś papier. Skończył pisanie, przyłożył pieczęć, podpisał okrutnie zamasyście i zadzwonił.

Gdy wszedł służbowy sierżant, Porucznik rozkazał:

— Sierżancie. Ten tu, obecny, Wąsik Stanisław — gościem wskazał Staśka — jedzie do Wilna, zaciągnąć się do ułanów. Właściwie, jako cywilowi, nie należy mu się żaden dokument podróżny. Ale robimy wyjątek. Chociaż formalnie nie należy do polskiej armji, dobry to żołnierz, jak wnoszę z jego opowiadania — i sporo się nasłużył dla Polski... Po tamtej stronie. — Rozumiecie?

— Tak jest, panie Poruczniku. Rozumiem!

Sierżant dźwięknął ostrogami.

— Tedy, uważacie, wypiszcie mu dokument podróżny. Dacie mi go później do podpisu. Przyjmijcie go w waszej kantynie i ugośćcie, jak kolegę. Wieczorem idzie dwóch ludzi do Mołodeczna. Zabierze się z nimi i wsiądzie do pociągu. Dajcie mu tam jaki mundur, dajcie mu buty i pas.. Wszystko.

— Rozkaz, panie poruczniku!

V.

Do Wilna!

Porucznik wręczył Staśkowi pismo z pieczęcią.

— Tu macie, uważacie, pismo do Komendy pułku w Wilnie. Jeżeli Was z tem nie przyjmą, meldujcie się w P. K. U. — Ale Was przyjmą, bądźcie spokojni... — Porucznik zwrócił się ponownie do sierżanta: — A o jego odjeździe zameldujecie mi przy wieczornym raporcie.

— Rozkaz!

Stasiek, uszczęśliwiony, niebardzo wiedział, co ma począć... Stanać na baczość, jak stoi oto sierżant — czy przemówić do Porucznika Dziarskiego, dziękując mu z głębi serca za ojcowską opiekę?...

Ale porucznik Dziarski, zauważywszy wahanie się chłopaka, powiedział krótko, a serdecznie:

— No, Ślżaku, niech Was Bóg prowadzi! Przeszłście wiele. Mam nadzieję, że Wam odtąd życie pójdzie łatwiej. W wojsku polskiem znajdziecie rodzinę, której Wam brak. Spodziewam się też, że mi wstydu nie zrobicie... Co?

Stasiek wyprężył się, jakby przed nim stało dwóch generałów. Czuł, że ta chwila, choć nie jest jeszcze przysięgą wojskową, stanowi jakby pierwsze, uroczyste ślubowanie... Marzył o niej tak długo!... Ziści się nareszcie jego sen! Wstępuje do szeregów polskiej armji, która nie zależy od nikogo, jeno od Ojczyzny... Nie służy nikomu — jeno Ojczyźnie!

Więc, jak się rzekło, wyprężony, niby struna, odpowiedział mocno:

— Tak jest, panie Poruczniku! Nie zrobię panu Porucznikowi wstydu!

Zrobił zwrot w lewo, jak się należy i miał już wychodzić z gabinetu, w ślad za sierżantem. Ale Porucznik podszedł do niego i — nim się Stasiek zdążył spostrzedz, szepnął mu do ucha:

— Weźcie na drogę...

Stasiek poczuł w ręku banknot. Zmieszał się. Chciał coś mówić...

— Marsz! — zabrzmiał za nim wesoły głos porucznika: — Nie gadać!

I Stasiek wyszedł, z przepełnionem sercem...

Przypomniały się Staśkowi legionowe czasy, kiedy „fasował“ różne rzeczy z K. und K. magazynów. Tym razem fasował z polskiego magazynu mundurowego. Jaka różnica! Czapka, którą kładł na siebie, orzełek na czapce, kurtka mundurowa — wszystko to było polskie, własne! Nie ciążyła nad nim żadna, wymuszona tragicznymi okolicznościami, przysięga. Ani Wilhelmowi, ani Franz-Josephowi nie potrzebował przyrzekać dożgonnego posłuszeństwa. Wszystko to minęło, jak zły sen! Podczas, gdy on tam, w bolszewickiej Rosji, wymykał się pogoni, jak ścigany zwierz, dokonała się rzecz wielka i radosna: Polska zmartwychwstała!

Więc z uczuciem dumy i jakiejś osobliwej pogody, — której nigdy dotychczas nie doświadczał, jechał Stasiek-Ślżak do miasteczka, gdzie miał się do pociągu. Miasteczko te nazywało się Mołodeczno, było — jak większość litewsko-białoruskich miasteczek — ubogie i odrapane, w dodatku, skutkiem wojny, porządnie zniszczone. Stasiek miał je-

dnak chwile, że mu się i miasteczko, i liche parkany przy drodze, i domy drewniane, wydawały, jak najpiękniejsze pałace...

— Polska! Polska!

Siadł do wagonu i ruszył niebawem w drogę. Pociągi kolejowe chodziły w owych czasach wolno. Tor był zniszczony, lokomotywy stare, wagony, pozbierane skąd się dało, trzeszczące i brudne.

Z miarowym dudnieniem kół łączyły się wspomnienia Śląska... Huk licznych pociągów na zwrotnicach, gwizdy fabryk, tępe grzmoty i dźwięki mas żelaza, przenoszonych za pomocą olbrzymich lewarów... Czarne kopalnie...

Stasiek zasnął

Śnić mu się zaczęły rzeczy dawne, minione: Groszowice, rodzina, znajomi, przyjaciele, cała jego burzliwa i smutna młodość...

I gdy tak śnił, pogrążony w głębokiem odrętwieniu, znużony, jak tylko może być znużony człowiek, który przez lata całe był o mały krok od śmierci — biegł długi pociąg w stronę Wilna, cicho zamyślnego nad modrą wstęgą rzeki Wilji...

Biegł pociąg i turkotał, maszyna od czasu do czasu gwizdała przeciągle, wagony uderzały o siebie z wielkim hałasem.

Jadący w pociągu żołnierze zaczęli w pewnej chwili śpiewać pieśń o Wojnie. I w takt tej dziwnej, żalostnej, zarazem buńczucznej piosenki, w takt miarowych uderzeń kół, marzyły się Ślązakowi różne dawne sprawy, marzyły mu się przyszłe zdarzenia, okryte jeszcze głębokim mrokiem tajemnicy..

Zaś wczesnym świtem, ledwo wytoczyło się złociste słońce, ukazało się Wilno. Stasiek ocknął się był właśnie i przecierał oczy.

Na horyzoncie falowała zielenią bujnych lasów śliczna linja gór Ponarskich. Wśród tych gór, jak sto złotych włóczy. Iśniło w porannym blasku — sto wież, istna bajka, na jawie...

Prześliczne kościoły wznosiły swoje strzeliste wieżycy ku niebu. Dołem, wśród ciasnoty wązkich, starożytnych ulic i uliczek, wśród natłoku kamienic, gdzieś, na krańcu miasta, otwierała się ciemna, sklepiona brama...

Kaplica Ostrobramska!

Tędy szedł z kolejowego dworca Stasiek. Nie znał miasta. Nie wiedział dobrze, gdzie się znajduje. Ale, gdy wszedł pod sklepienie Ostrobramskie, poczuł odrazu, że to tutaj jest święte miejsce, o którym słyszał jeszcze od matki, będąc dzieckiem, że to tu znajduje się cudowny Obraz, do którego ściągają pielgrzymki z całej Polski i Litwy!

Odwrócił się poza siebie. I zaraz ukląkł.

Na górze, w kaplicy, odprawiano właśnie wczesną wotywę. Cichutko grały organy. Zasłonięty Obraz jakrzył się od wielu świec...

Naraz, zupełnie niespodzianie, zajaśniało oblicze Najświętszej Panny.

Ludzie, klęczący wzdłuż całej ulicy, modlący się i przechodnie — schylili głowy...

Srebrzyście zadźwiękły dzwonki...

Dym z kadzielnicy wydobył się nazewnątrz i rozplynał w powietrzu cichego poranka wiotką, błękitnąwą smugą...

Stasiek oparł się mimowoli czołem o jakiś występ muru.. Nie mówił pacierzy... Zdawało mu się, że śni w dalszym ciągu...

Oto przyjęła strudzonego Tułacza Patronka tej ziemi i tego ludu... Oto widzi Jej słodką, świętą twarz... Wysoko, wysoko, między srebrnymi i złotymi sercami, zawieszonymi w okolu Obrazu... Zda się, dostrzegła między setkami i tysiącami wiernych Staśka-Ślązaka... I mówi doń, łaskawie, tak cicho, że tylko on jeden jest w stanie dosłyszeć szept boskich Jej warg:

— Bądź wiernym Polsce, mój synu...



CZĘŚĆ II.

I.

Na wozie — i pod wozem.

Dziwnie się czasem zdarza w ludzkim życiu. Po wielkich nieszczęściach i próbach — przychodzą dnie słoneczne. Albo naodwrot: kapryśny los zaczyna człowiekowi płać figle, mało mu dając okazji do śmiechu... Więcej do płakania!

Słusznie powiadają: Fortuna kołem się toczy.

Miał się o tem przekonać ułan Wąsik, bo widać stały nad jego kolebką, w zaraniu życia, dwie wróżki: Dobra — i Zła...

Ileć tak się Wąsikowi składało, że już, już chciał Panu Bogu swą duszę polecać, — przychodziła skądś nieoczekiwana pomoc i wyrywała go z opresji, chwytając, można powiedzieć, za płowy wicher młodej czupryny — i ratując naszego Ślązaka... Ale i Zła Dola nie folgowała. Ledwo się bowiem Ślązak jakotako na słońcu ogrzał — już i spadał nań deszcz nowych kłopotów a niepowodzeń.

Całe szczęście, że nasz bohater, dobrze zahartowany, nauczył się prostej, ale mądrej maksymy: „Co ma być, to będzie — uszy do góry!”

A było się właściwie czem truć, oj, było!...

Pierwsze czasy po przyjeździe do Wilna upływały Staśkowi, jakby w jakimś pięknym śnie.

Zaraz po zgłoszeniu się do Komendy pułku, dzięki pismu polecającemu, które dostał był od porucznika Dziarskiego, został przyjęty do szwadronu. Szwadron był, jak ułał: same tęgie chłopcy, do wypitki i do wybitki. A cóż dopiero dowódcy!...

Więc najprzód, pan rotmistrz Zawadzki, który dowodził szwadronem. Młody jeszcze i biały, jak panna, ale wielkiego animuszu oficer, kochany bardzo, choć srogi służbista. Ten, razem żelazną ręką trzymał swoich ułanów, ale i dbał o nich, jak ojciec o swoje dzieci. Gotów był skoczyć do oczu każdemu, ktoby ośmielił się na jego szwadron coś złego powiedzieć. Przytem, doświadczony bardzo, gospodarował w swoim oddziale wprost znakomicie. Żołnierze byli syci i obuci, ubrani, jak z igły — konie — jak te lalki!

Miał do pomocy czterech poruczników, dowódców plutonów. Wszyscy czterej spisywali się dzielnie, boć niedarmo powiada przysłowie: Jak pan, taki kram!

Przykład, jak wiadomo, idzie z góry. W I-szym szwadronie N-go pułku ułanów wszystko było, jak w zegarku. O swojej porze, co do minuty, capstrzyk poranny, wstawanie, pojenie koni, czyszczenie, zadawanie obroków. śniadanie... Potem, ćwiczenia bronią, musztra, manewr. — Obiad. Następnie, regulamin, nauka. — Wolne godziny. Strzelnica, kolacja, apel, spać!

— Niechby tam który nie oczyścił konia, jak się należy! Niechby go nie zaobroczył w porę! Dałby mu pan rotmistrz Zawadzki!

Wszędzie był, wszystko widział, w każdy, najmniejszy kącik zajrzał... Kiedy się raz zdarzyło, że ułan konia skaleczył i nie zameldował o tem, komu należało, dał rotmistrz ludziom taką szkołę, że aż o trzy ulice było słyhać! Skłął ułana, jak nieboskie stworzenie i postawił go na dwie godziny pod siodło. Kaprała — do paki. Wachmistrza — do kar-nego raportu. Najgorzej się dostało porucznikowi, że nie dopatrzył... Słusznie! Za podkomendnych odpowiada oficer!

Kto nie był w wojsku, pomyśli może, że źle jest służyć pod takim srogim dowódcą?

— Akurat! Spytać się trzeba było szwadronu! Wszyscy od ostatniego ułana, do dowódcy plutonu dosłownie wszyscy chwalili sobie taki porządek.

— Czujesz, bracie, że ojciec prawdziwy ruga, nie jakaś tam zapowietrzona sztabowa szarża — mówił kaprał do Staśka: — Ułan i koń — to jedno! Jak nie będziemy dbali o nasze szkapy. pójdziemy chyba buty piechocie czyścić?

Oczywiście, byłoby to wielkie poniżenie... Buty piechocie czyścić! Kawalerja!

Czuł się Stasiek Wąsik w szwadronie, jak w rodzinie. On, który przez tyle lat nie miał domu, znalazł sobie przecież dom! I koledzy rychło przylgnęli do niego, bo był chłopak morowy, na służbie — staranny; poza służbą — wesół, jak nikt, śmiejący się i pełen takiego animuszu, że byłby całe koszary rozniósł, gdyby regulamin pozwalał. No, i gdyby koszary nie były tego murowane..

Porucznicy nazywali się: Kołuba, Janowicz, Sędzimir i Abramowicz. Wszyscy czterej bardzo do

rzeczy. Najmniej może lubili żołnierze porucznika Abramowicza, z czwartego plutonu, bo, czy to dlatego, że pochodził z litewskich tatarów, czy też dla czego innego — rękę miał nazbyt skora do basarunku i zdarzało się, że nieraz żołnierza, albo nawet kaprała, czy plutonowego — wyrzwał w kark. Srogo to było zabronione — ale cóż robić, kiedy taki miał charakter?

Raz się nawet skarżył na niego jeden ułan, była sprawa — ale, że to niemila rzecz na swojego szefa stawać do raportu — skończyło się po cichu...

Stasiek, odkąd się zaciągnął do N-go pułku ułanów, nie miał jeszcze z nikim zatargu. Wprawdzie z początku, jak tylko przyszedł do koszar, zaczęli go zlekka koleżkowie „próbować“ i wyciągać na słówka, bo ich to korciło, skąd się tak z piera na łeb, raptem „przyżenił“ do nich ten ślązak?

Ten i ów zaczął coś przebąkiwać o „ofermach“.

Ale nasz Stasiek odrazu się ostro postawił. A gdy po paru dniach poznali jego dzieje, przygody, gdy dowiedzieli się, że w nowym koledze pozyskali prawdziwego, doświadczonego ułana, który i w ogniu bywał, i z niewoli moskiewskiej potrafił się uwolnić — nabrali dla niego szacunku.

Jak tylko zdarzyła się chwila wolna, wychodzili razem, całą paczką na miasto. Wąsikowi podobало się Wilno nadzwyczajnie. Nie równać mu się było wprawdzie z niemieckimi miastami pod względem porządku, czystości i urządzeń. Zato, jeśli było przyjrzeć się starym domom, pałacom, kościołom — czuleś dobrze, że w tym kresowem

mieście na każdym kamieniu, na każdej szkarpie, czy bramie — wypisane są dzieje Polski!

Zachodził Stasiek do świątyń różnych, dziwiąc się ich bogactwu i wielkiej piękności. Zwiedził któregoś dnia pod przewodnictwem oficerów Katedrę, pobudowaną na miejscu, gdzie, według podań, gorzał przed wiekami znicz pogański. Był u Św. Jana w kościele uniwersyteckim, u Dominikanów, u Ostrejbramy, u Św. Anny, który to kościół słynie szczególnie z cudownej strzelistości swych wież i budowy zgoła koronkowej...

Innego dnia poprowadzono ułanów na Górę Zamkową, skąd roztacza się piękny widok na całe Wilno, na góry Ponarskie, Bekieszową i Trzykrzyską...

Dokonywały się w duszy Staśka rzeczy dziwne. Polskę kochał szczerze, wiedząc, że jest Polakiem i że winien jest swej Ojczyźnie miłość i wierność. Ale nie wiedział był dawniej, jak właściwie ta jego Ojczyzna wygląda... Dzieckiem niedłwie wydostał się z pod ciężkiej ręki niemieckiej i poszedł na wojnę... Potem, przez te wszystkie lata, spędzone na froncie, mało miał okazji zastanawiać się nad takimi rzeczami; wśród bicia dział i grzechotania karabinów maszynowych, w łunie płonących wsi, na ruinach miast — żył dosłownie z dnia na dzień.

Nawet później, w Legionach polskich, kiedy się znalazł między swoimi, kiedy się zaczął uczyć — chwycił ledwo strzępy wiadomości o swoim kraju...

Teraz przekonywał się, że Ojczyzna jego, ani tak licha, jak ją wzgardliwie przedstawiali Niemcy, ani tak biedna, jak ją opisywali — stoi, jako ten

ślup graniczny, pomiędzy Zachodem, a Wschodem — od Śląska, po Litwę i Białoruś — od sinych fal Bałtyku — po Karpaty...

Zaczynał rozumieć ogromną swęj Ojczyzny barwność i rozmaitość. Zarazem nabierał głębokiego szacunku dla kresowych Polaków, tutaj zamieszkałych, którzy przechodzili sroższe bodaj prześladowania, niż Polacy w Niemczech — a przecież ostali się, nie dali się — jeszcze inne narodowości do siebie przyciągali — i to nie siłą oręża, czy ręką policjanta — jeno pokojowem oddziaływaniem polskiej kultury! Tejsamej kultury, o której, zresztą, Niemcy ślascy mówili, że jej zupełnie niema... Im dłużej siedział Stasiek w Wilnie, tym lepiej zaczynał rozumieć, co to Polska znaczy. Powoli horyzont jego rozjaśniał się i rozszerzał. Korzystając z dwudniowego urlopu świątecznego, przeczytał sobie po raz drugi w życiu Pana Tadeusza, nieśmiertelny poemat polski. Zaczym zrozumiał dopiero, czemu te miasto — i ten kraj, tak przez Mickiewicza kochany, zróśł się z Polską na zawsze...

Nie długo miały trwać jednak te pogodne dnie. Na niebie zbierały się chmury. Atmosfera stawała się coraz to bardziej ciężka. Sąsiedzi, zaniepokojeni wzrostem polskiej potęgi, zaczynali coraz groźniej na nią nastawać.

Mało mógł o tym wprawdzie wiedzieć zwykły ułan, szeregowiec, pochłonięty służbą i codziennymi obowiązkami: wojsko nie jest przecież od polityki. Niemniej, co raz, a przedostawały się do kosszar ułanów wiadomości niepokojące, budzące najprzód zdziwienie, a potem — gniew.

Przepowiadali wprawdzie od początku ludzie bywali, że ani Kiereński, ani Lenin nie prowadzą rewolucji we właściwym tego słowa znaczeniu... Że chodzi im o coś zupełnie innego! Łatwowierni Polacy sądzili, że Rosja, zerwawszy ze znienawidzonym Samodierżawjem, będzie usiłowała urządzić się po nowemu, nie wtrącając się w sprawy sąsiadów...

Ba! Gdyby to o rewolucję tylko chodziło!...

Obalili Bolszewicy Kiereńskiego. Obalili go bez większego nawet wysiłku. Bo złotousty adwokat petersburski, który umiał sobie dać radę ze strachliwymi carskimi generałami, nie zdołał w porę zahamować fali, idącej od spodu... Zakołysał się rosyjski nurt, szeroko, coraz szerzej!

Kiereński schlebiał tłumom, obiecywał im to i tamto. Ale żądał też od tłumów pewnych ofiar. Żądał przedewszystkiem prowadzenia wojny do końca. Chciał pobić Niemców. Inaczej bolszewicy. Rozpętali najskrajniejszą demagogję, obiecując ludowi rosyjskiemu złote góry i nie żądając za to — rzekomo — niczego. Ale, gdy już wypędzili Kiereńskiego, gdy schwycili władzę w swe krwawe dłonie i porachowali się z przeciwnikami politycznymi, tępiąc ich z okrucieństwem, jakiego jeszcze świat nie widział — cóż się dalej okazało?

Oto, okazało się, że rewolucja — rewolucją, bolszewizm — bolszewizmem, ale dawne, odwieczne instynkty nie zmieniły się ani na jotę. Rosja Lenina taksamo nienawidziła wolnej Polski, jak nienawidził Polski — Piotr, Katarzyna, albo jej następcy na tronie carów!

I wściekali się komisarze bolszewiccy, że tuż, obok, o miedzę, rozwija się demokratyczna, patriotyczna Polska, podczas, gdy Rosja tonie w coraz to gorszych mrokach, we krwi i rzeziach — nie zbliżając się ani na krok do upragnionego pokoju... Zresztą, czy ten pokój istotnie był tak upragniony?..

Okazywało się, że nie. Gdyby bowiem uspokoiło się na pograniczu, gdyby armja czerwona wróciła teraz do domu, musieliby panowie Komisarze zdać przed narodem rosyjskim rachunek z dotychczasowej swej polityki, z rozlanej krwi, z zagrabionych dóbr...

Woleli tego uniknąć, bo rachunek przedstawiał się opłakanie!

Więc wbijano w głowy głupich rosyjskich muzyków, że jedyną przeszkodą, która tamuje ostateczne zwycięstwo Rosji bolszewickiej, jest — Polska!

Polska — (mówili) — winna jest wszystkiemu! Polska rzuciła nam, bolszewikom, wielki kamień pod nogi... Gdyby nie ten wstrętny, przebrzydły kraj, stalibyśmy już oddawna... w Berlinie! A stojąc w Berlinie, poparci przez niemieckich komunistów, ogarnęlibyśmy naszymi wpływami całą Europę... — Kto wie? Może cały świat?...

Nieogarnioną siecią pajęczyn zaczęli opłatywać Bolszewicy Polskę. Jak rzeką, płynęły broszury i proklamacje, plakaty i tajne wydawnictwa, mające zohydzić ludowi polskiemu Białego Orła... Kłamano w tych gadzinowych pismach, co się zmieści. Gdyby cierpliwy papier mógł zapewnić chłopom i robotnikom istotne szczęście, należałoby wyróżnić w Pol-

sce Rząd, ziemiaństwo, kupiectwo, inteligencję — i rozpiąć nad naszym krajem wielki namiot papierowy, uszyty z tych bolszewickich obietnic...

Na szczęście, większym był patriotyzm polskich chłopów i robotników, niż siła przewrotnych moskiewskich proklamacyj..

Aczkolwiek dużo było jeszcze w Polsce do naprawienia, dużo do zrobienia, rozumiał przecież naród, że nikt nigdy nie utyli obcą pomocą... Trzeba się leczyć samemu!... Samemu poprawiać prawodawstwo, o ile ono istotnie poprawy wymaga. Samemu uchwalać konieczne reformy społeczne. Samemu budować gmach państwa, aby w nim wszystkim obywatelom było jednakowo bezpiecznie i wygodnie!

Tak się też stało: Polacy sami zaczęli naprawiać swoją maszynę państwową, do czego pierwszy impuls dał, oczywiście, Sejm Ustawodawczy, obradujący podówczas w Warszawie.

Chwila ta była dla Rosji decydującą!

Gdy przekonali się bolszewiccy prowokatorzy i szpiedzy, że Polska nietylko nie słabnie, ale, wręcz przeciwnie, mężnieje z dniem każdym — chwycili się ostatniej deski ratunku: Wojny!

Już raz udało się Carycy Katarzynie, przewrotnej nierzędnicy na rosyjskim tronie, sparaliżować dzieło odrodzenia się Polski. To samo postanowili zrobić teraz rzekomi „Rewolucjoniści” rosyjscy, słusznie zresztą obliczając:

— Albo teraz — albo nigdy!..

Wojna, która rozgorzała po raz drugi pomiędzy Polską a Rosją, wojna na śmierć i życie, roz-

grywała się w chwili, gdy granice nasze były jeszcze nieustalone, stosunki niepewne, sojusze wątpliwe. Kraj zaledwie zaczął się być dźwigać po okrutnem spustoszeniu, w jakim pozostawiła go wojna Wszechświatowa. Miasta, doszczętnie niemal ogłodzone, wsie wyniszczone rekwizycjami rosyjskimi i niemieckimi bardzo powoli powracały do warunków normalnych...

Cofające się przed kilkoma laty armje rosyjskie spaliły mnóstwo zagród włościańskich, zabudowań dworskich, poniszczyły mosty i stacje kolejowe.

Wojska niemieckie nie niszczyły wprawdzie siedzib ludzkich na chybił-trafił, ale, gdy już przystępowały do „porządkowania” przedpola — czyniły to z właściwą ich rasie dokładnością i bezwzględnością, nie zostawiając kamienia na kamieniu. Szczególnie na kresach wschodnich, w Wileńszczyźnie, kraj zmienił się do niepoznaki... Rzekłbyś, przechodził tędy olbrzym silny a roztropny, który sprzątnął z drogi wszystko, co mu zawadzało — zabrał wszystko, czego mu było potrzeba...

W takich oto warunkach, ledwo krzepnąca Polska, zagrożona w dodatku z tyłu przez wrogich jej sąsiadów, zmuszona była podjąć rzuconą jej rękawicę i wdać się w zbrojną rozprawę z bolszewikami.

Los wojenny, zrazu przychylny, dał armjom naszym, liczebnie słabym, ale moralnie dzielnym, szereg świetnych zwycięstw nad Rosjanami.

Wojska polskie zajęły szerokie połacie kraju i dotarły do Kijowa.

Tu jednak zmienił się obraz.

Bolszewicy poczęli ściągać zewsząd liczne pułki, przygotowując cios, który miał zniszczyć polską siłę zbrojną. Obrona przyczółka Kijowskiego stawiała się w takich warunkach niepodobieństwem, tym bardziej, że żołnierze polscy byli znacznie słabsi liczebnie, przetrzebieni po tylu bitwach, a co gorsza, zbyt oddaleni od rezerw, które wprawdzie mogły były już stać w pogotowiu — ale nie stały...

Niežnośna wada polska — warcholstwo i partyjniactwo — już wydawała, niestety, owoce...

Spółczeństwo polskie, które witało w swoim czasie Naczelnego Wodza, jak zbawcę, urządzając na jego cześć, po wzięciu Kijowa, wspaniałe obchody i bankiety — nie mogło jakoś zrozumieć, że cuda się na świecie nie dzieją... Że najdzielniejszy żołnierz osłabnie w zapale, gdy spostrzeże, że tam, za nim, w Ojczyźnie, ludzie się swarzą, kłóca, prawują, prowadzą jałowe dyskusje nad tym, co było pierwaj: Jajko — czy Kura? — ale nie zdradzają najmniejszej ochoty do wspierania armji...

I zaczął się odwrót.

Nie paniczny wprawdzie, ani bezładny — ale zawsze odwrót!

Pułki, które nie tak dawno szły naprzód, jak wiatr, zmiatając ze swej drogi przeszkody; mężne bataljony, kompanje, szwadrony — musiały teraz podać tył wrogowi i cofać się z powrotem...

Czyniono, co tylko było w ludzkiej mocy, aby te cofanie się zatrzymać... Poszczególne oddziały, w których duch jeszcze nie osłabł, atakowały niejednokrotnie znacznie przeważające siły nieprzyja-

cielskie. Ale to były resztki energii. Wojsko polskie zaczynało tracić wiarę w zwycięstwo...

Wieści z kraju — robiły resztę!

Cofał się i Stasiek Wąsik, razem ze swoim szwadronem, osłaniając odwrót grupy piechoty.

O pozostałych szwadronach N-go pułku piechoty mało co wiedzieli. Miałaby w owych czasach szczupła polska kawalerja tyle do roboty, że jeden pułk musiał nieraz starczyć za brygadę jazdy...

I-y szwadron, w którym służył Ślązak, wychodził dotychczas zwycięsko ze wszystkich opresyj: chociaż miał już w tej kampanji kilka większych bitew i kilkanaście potyczek, stracił zaledwie paru ludzi: dzielnie prowadził ich rotmistrz Zawadzki!

Pokrycie plutonów nie pozostawiało nic do życzenia. Stan koni był niezły, jeśli się zważy na olbrzymią drogę, jaką przebyły.

Tylko humor ułanów — tylko ich zapal bojowy — gdzieś przepadł.

Mimo, że wkraczali w rdzennie polskie ziemie, mimo, że nie potrzebowali się już lękać zdrady, czy zasadzki, ze strony zdemoralizowanej ludności ruskiej — polscy ułani jechali posepni i milczący.

Stasiek Wąsik jechał obok swych towarzyszy ze zwieszoną głową. Rozumiał, jak i oni, że nacierająca na Polskę nawała bolszewicka jutro już może obróci w perzynę te wsie i zaścianki... Litował się serdecznie nad losem ludności, która przeprowadzała cofający się szwadron zgasyłymi, smutnymi oczyma...

— Hej, hej!... — Co też dzień następny przyniesie?...

Gdy przejeżdżali przez miasteczka, zdarzało się, że nie tylko Polacy, ale i żydzi, i brodaci starowiercy rosyjscy, których osiedla dość gęsto rozsiane są po kresach — wybiegali na drogę, którą maszerował szwadron ułanów.

— Nie uchoditje! Nie uchoditje!...

Wołania te, rzucane pod adresem ułanów, krwawiły ich serca, jak noże. Mój Boże! Przecież nie ze strachu przed bolszewikami uchodzili z pola! Gdyby to od nich zależało, od prostych polskich żołnierzy, w okamgnieniu zwróciliby konie na wroga! — W nich!

— Ale cóż? Wojna, to przedewszystkiem — posłuszeństwo. A potem — wojna — to wspólne działanie wszystkich oddziałów, wszelakiej broni. Cóż robić, jeżeli komenda nakazuje odwrót? Nie ma widać innego sposobu! Spółczesne operacje, to nie Somosierra, kiedy jedna tęga szarża polskich szwoleżerów otworzyła Napoleonowi drogę przez góry, do serca Hiszpanji... Dzisiaj inaczej! Cóż może zdziałać szwadron, sam jeden? — Nic...

Najgorzej było, kiedy rotmistrzowi Zawadzkiemu, jadącemu na czele oddziału, zabiegały drogę dzieci. A zdarzało się to coraz częściej... Coraz częściej bowiem przejeżdżali teraz przez czysto polskie zaścianki.

— Nie odjeżdżajcie!... Nie zostawiajcie nas, panowie, bolszewikom...

Za dziećmi cisnęły się matki. Wzdłuż wąskiej ulicy wiejskiej, wzdłuż ubogich zabudowań, ciśnieły się szlochające kobiety...

— Przez Boga żywego, żołnierze! Nie porzucacie nas na pastwę tej dziczy!... A żołnierze jechali stępa, w głuchym milczeniu, w jakiejś twardej, bolesnej zaciętości.

Na przedzie szwadronu raz-po-raz słychać było spokojny, ale surowy głos rotmistrza:

— Z drogi, ludzie. Z drogi!

I sygnaliści, jadący tuż za dowódcą oddziału, przed porucznikiem Kołubą, komenderującym pierwszym plutonem, raz-po-raz zmuszeni byli nawoływać:

— Z drogi!

Iście, była to prawdziwa Kalwarja...

Ogarnęło cały szwadron jakieś zapamiętanie. Nie mogli żołnierze nic. Ale widać było po oczach każdego, że wołałby sam jeden skoczyć na nieprzyjaciela — i poledz — niż znosić codzienne, nad wyraz ciężkie, sceny, po których w sercu nic nie pozostawało, jeno gorycz okrutna — i pustka.

Zauważył Stasiek któregoś dnia, gdy stał w szeregu, przed marszem, który mieli zaraz rozpoczynać, że rotmistrz Zawadzki, lustrujący plutony, jakoś się zmienił.. Nie umiał sobie zrazu zdać sprawy z tej zmiany, tylko czuł, że jakiś szczegół w rysach dowódcy, coś narazie zupełnie nieuchwytnego, uderzyło jego wzrok. Rychło zrozumiał.

Rotmistrz ukończył był przegląd szwadronu, rozwiniętego wzdłuż gościńca... Jadąc mimo szeregu, zwrócił się na chwilę do porucznika Kołuby, zadając mu jakieś zapytanie... Wstrzymał konia i zdjął czapkę z głowy, pociągając po znużonem czole dłonią...

Wtedy Stasiek zobaczył, że włosy pana rotmistrza, do niedawna jeszcze czarne, jak smoła, posrebrzyła siwizna...

II.

Płonące mosty.

Dożył Stasiek Wąsik do złych dni.

Dawniej, kiedy go doświadczał los, myślał sobie, że spotyka go chyba najgorsze, co w życiu może spotkać człowieka: niedola, opuszczenie... Teraz jednak przekonał się że jest jeszcze coś gorszego: upokorzenie!

Bo, gdybyż to przyszło się cofać przed bitną, regularną armją, doskonale wyćwiczoną, pełną moralnej siły i poczucia czci żołnierskiej! — Gdzież tam! Było zupełnie inaczej...

Front polski nie łamał się pod naciskiem nieprzyjaciela, w y ż s z e g o pod każdym względem: raczej odwrotnie: wszyscy wiedzieli, że wojska bolszewickie, chociaż dzikie i groźne fizycznie, są prawdziwą zbieraniną...

Oprócz nielicznych pułków, jako-tako umundurowanych i ożywionych czemś w rodzaju zapалу wojennego, byli w armji bolszewickiej najrozmaitsi drapichruści z pod ciemnej gwiazdy, swołocz, nadająca się właściwie tylko do rabunku, zbrodniarze i prowokatorzy, wreszcie — dzicz, dzicz pełna, raz potulna, kiedy indziej okrutna i wyuzdana, popychana naprzód przez surowych wojennych Komisarzy.

Szło to wszystko niepowstrzymanie, jak pożar,

trzymane żelazną dyscypliną sowiecką, a więcej jeszcze — strachem.

Od jeńców, których brali N-cy ułani, jakoteż od ludności, która miała nieszczęście poznawania się zbliska z bolszewicką armją, dowiadywali się polscy żołnierze dziwnych rzeczy o swych przeciwnikach. Okazywało się, że w każdym oddziale rosyjskim w każdej rocie, w każdej sotni, czy baterji, działały, jak niewidzialne macki, tajne „Jaczajki”, czyli komórki — zakonspirowanych bolszewików. Te miały oko na wszystko i naprawdę dowodziły oddziałami. Mógł tam sobie stać na czele odcinka, czy nawet frontu, taki, czy inny fachowy generał rosyjski, który zamienił carski mundur na gwiazdę sowiecką... Ale rzucił nie on: rzadzili Komisarze i Tajni ajenci...

Władza tych ludzi była prawie nieograniczona; ręka — ciężka.

Niechby tylko dowodzący oficer popełnił coś, coby miało najłżejszy bodaj pozór kontrrewolucji — niechby naraził się owym cichym kontrolerom — a czekała go kula w łeb, albo gorsze od kuli — śledztwo i tortury Czerezwyczajki...

Gdy nie było właściwie mowy o „Kontrrewolucji”. skoro wszyscy rosyjscy oficerowie truchleli przed potęgą Sowietów — dochodziło do tego, że wszechmocni panowie z poza frontu pociągali do surowej odpowiedzialności oficerów linjowych za każdy przejaw ludzkości, za elementarne przejawy rycerskości w stosunku do zwyciężonych!

Ustał zupełnie podział na walczących i niewalczących, przyjęty przez wszystkie narody cywili-

zowane. Armja Komisarzy kpiła sobie z terminu „Kombatanci”. Każdy, kto jej był nie na rękę, każdy, kogo jej się podobało ochrzcić mianem „Burżuja”, albo „Kontrewolucjonisty” — choćby ten ktoś był starcem, albo nieletnim młodzieńcem — mógł dostać się pod mur...

Szła armja czerwona z jednym hasłem: „Wy-tępić!”

Bankructwo idei, która pierwotnie przyświecała armji czerwonej, było zupełnie widoczne. Jeżeli się trafiał zrzadka ideowy komunista — musiał trzymać język za zębami i godzić się na praktyki, nie tylko niezgodne z komunizmem, ale nawet wręcz z nim sprzeczne.

Więc najprzód, musiał tolerować indywidualną grabież i najordynarniejsze złodziejstwo, którego się dopuszczali potężni Komisarze wojenni i inni dygnitarze bolszewiccy... Następnie, nie wolno mu było pisać słowa na panujące w armji czerwonej porządki... Pospolita, szara masa żołdaków mogła sobie ginąć w ogniu... Wszystko, co miało władzę, wolało siedzieć w przyzwoitej odległości od miejsc, w których na wojnie bywa gorąco!

Frazes rewolucyjny pokrywał wprawdzie wszystko. Ale ten frazes już zdaleka cuchnął ordynarnem kłamstwem. Cynizm bolszewickich potentatów wzrastał w miarę tego, jak posuwali się w głąb Polski. Nieoczekiwane powodzenie zrazu zaskoczyło ich: niebawem jednak shardzieli, nabrali pewności siebie i niesłychanego tupetu. Coraz rzadziej słyszało się o brataniu proletariuszy wszystkich krajów i odrodzeniu Polski, w imię którego

rzekomo była prowadzona wojna... Coraz rzadziej wspominano o manifestach, którymi zwycięski wódz czerwonej armii, przeszedłszy po trupie Państwa polskiego, obdaruje ludzkość...

Słyszało się zato codzień, co godzina, o zdobyciu Warszawy.

Oblizywali się aż na tę myśl bolszewiccy Komisarze, obiecując sobie hulankę, jakiej świat nie widział!...

Cieszyło się i dzikie żoldactwo, mało rozumiejące, o co chodzi, ale rozumiejące jedno: Gdy Warszawa zostanie nareszcie zdobyta, skończy się może ta wojna, podczas której niejeden szary żołdat poległ na placu... Skończy się może pościg, równie utrudzający ściganych, jak i ścigających... Przeszną bzykać polskie kulki, koszące krasnoarmiejców — i ucichnie świst polskiej szabli ułańskiej...

— Może na zawsze?

Czerń rosyjska, której przedstawiano w swoim czasie wojnę Wszechświatową, jako niepotrzebną walkę „Za Polszu” i która uczona była nienawidzieć tę niewdzięczną „Polszę” za klęski, odniesione w Mazurach, za pogrom w Karpatach, za długie lata, spędzone na rosyjsko-niemieckim froncie — czerń ta, występując dziś pod sztandarami rewolucji, w gruncie rzeczy, mało co się zmieniła... Zdzielała jeszcze trochę, bardziej jeszcze upadła moralnie... Ot, i wszystko... Ale byli to ci sami głupi jak glina, ciemni, jak bór, chłopcy rosyjscy, w których obfita literatura agitacyjna wmówiła jedno: Polska — to kraj panów, żłopiających krew poddanych, — i księży, tuczających się krzywdą ludu...

Więc cieszyli się krasnoarmiejcy, że dobywszy Warszawy, powtórzą rzeź Pragi, złupią sklepy i składy, upiją się na umór — i podokazują z pięknościami Polkami!...

Wszystko zdawało się wskazywać na rychłe spełnienie ich marzeń..

Front polski trzeszczał.

Nie kruszyły go jakieś wielkie boje; nie przebijały błyskawiczne pchnięcia; ot, z dnia na dzień, powolutku, pomalutku, osuwał się ostrokół karabinów i bagnetów, broniący granic kraju... Ba! — Granic? —

Dawno już wkroczyli bolszewicy w te granice. Posuwając się za armją polską, przeszli dobry szmat szczerze polskiej ziemi..

Gdzie stąpili — dokonywał się bezprzykładny rabunek. Łupiono miasta i miasteczka, łupiono fabryki i składy, folwarki i wsie.

Chłop, zrazu trochę zbałamucony opowieściami o bolszewickich zamysłach, trochę powodowany przyrodzoną chciwością i nieszczęsną, niestety, jeszcze nie zagojoną waśnią z dworem — spodziewał się tu i tam jakichś korzyści, jakichś nowych porządków, które świat zadziwi! Taksamo myślał w niektórych miejscowościach parobek dworski, któremu się działo pod ręką ekonomiczną niebardzo aksamitnie... Ale, gdy poznali się z bolszewikami i jedni i drudzy — otworzyły im się oczy!...

I — choć to była tylko garść właściwie — garść obałamucona i ciemna, owych chłopów małorolnych, oczekujących z Moskwy nadziałów, czy fornali, chcących się dzielić z najeźdźcą dworskiem

dobrem — chociaż olbrzymia większość włościan i służby dworskiej została wierną krajowi — dostała garść łatwowierna za swoje... Oj, dostała!

Wzięli się bolszewicy do chudoby chłopskiej. Wzięli się tak cicho, a sprawnie, jak wilcy, którzy zimową porą odwiedzają ludzkie obejścia... Raz — i niebyło konia, jeśliś go, chłopie, miał... Dwa — wzięli ci krowę, jedyną karmicielkę, i zarżnęli tak ładnie, jakby każdego z nich od małego służył przy rzeźniku...

Dopieroż wzięli się dobierać do pierzyn i kołder, do przyodziewku, do pieniędzy, do wszystkiego!

Poszli bobrować po ludzkich czworakach, ośmiorakach, gdzie przecież siedzi największa bieda... Było na co patrzeć, jak się owe „Dobroczyńcy“ proletariatu zakrzętnęli koło parobczańskich komór!... Co było — zrabowali doczystą...

Próbował się ten i ów, odważniejszej natury, opierać... Albo nic nie wskórał, albo dostał sztykiem pod żebro...

Próbowała wprawdzie starszyzna pohamować zlekka animusz sołdacki, rozumiejąc, że wobec takich praktyk nie zdadzą się na nic stopy proklamacyj, które wieziono za wojskiem, bo polski zbałamucony chłop odrazu otrzeźwieje...

Próbowali w niektórych wypadkach nawet — karać. Rzecz się przecież nie opłacała: „...Jakto? Wydały na agitację Sowiety miliony i miliardy — rozesłały po Polsce setki szpiegów — spekulowały na polskich niedomaganiach społecznych, jak na giełdzie i to wszystko wezmą djabli, bo krasno-

armiejcy dobrali się babom do pierzyn?... — nigdy, przenigdy! — „Sumienie rewolucyjne“ się burzy!...

Ale było zapóźno. Sumienie — sumieniem, a pierzyny, pierzynami.

Stało się więc, że w całej połaci zagarniętego kraju, wszędzie, dokąd sięgła łapa najeźdźcy, zostawała się jeno goła ziemia — i puste izby...

I pożoga...

Nie mogli się-bo odzwyczaić bolszewicy od palenia wsi. Wezwyczaili się do tego dawniej, za cara Mikołaja II-go, który w ten sposób spełniał przyrzeczenia, dane w słynnym manifestie Mikołajewicza — wciągnęli się też u siebie, w Rosji, gdzie przecież nie kończyły się ekspedycje karne..

Palili, naturalnie, przypadkiem, bo nie mieli wyraźnych rozkazów: raczej przeciwnie! — myśleli się przecież w Polsce osiedzieć, więc radziby coś-nie-coś oszczędzić na zimę...

Pożary jednak, jak cień, szły za armją czerwoną.

Niektóre — rozniecały bitwy. Większość jednak — rozniecali bolszewicy...

Do tych czerwonych łun, oświetlających noc, pełne gwaru i niepokoju; do tych nie samowitych iluminacyj, zawlekających niebo olbrzymią pożogą — przyłączyły się niebawem inne...

Raz-w-raz wybuchały ognie — to tu, to tam, a zawsze w pobliżu rzek...

Czasem, za dnia, spotykał cofający się szwadron jakieś kompanje, oddziały, niewiadomo skąd zawieruszone, niewiadomo dokąd maszerujące — usmolone i posępne...

A działo się to zazwyczaj wtedy, gdy okolica tonęła w dymie...

Pytał się Wąsik pocichu:

— Co to za luny?

Milczeli koledzy.

Gdy ponowił pytanie, odwrócił się doń kapral Siwik, jadący w przedniej trójce, i burknął:

— Nie widzisz? Piechota ci mosty pali...

Jakoż, paliła.

Ma to do siebie panika, że nigdy nie wiadomo, co może przyjść do głowy ludziom, którzy jej ulegli. Czasem, opętani przez strach, uczynią głupstwo takie, że aż rozum pęka: Jakże to było możliwe?

Odwrót polski, zrazu regularny i karny, przerodził się po kilku tygodniach w chaotyczny pochód wstecz. Im trudniej było o utrzymanie łączności — rzeczy tak ważnej na froncie — tem częściej, oczywiście, musieli dowódcy poszczególnych grup, oddziałów, a nawet oddziałów postanawiać na własną rękę, co im czynić należy. Front stawał się z dniem każdym coraz bardziej ruchomy. Zdarzało się, że łącznik wysłany do Dywizji, albo do Brygady, powracał z wiadomością, że w danej wsi, czy miasteczku Brygady dawno niema... Zdarzało się też, że łącznik nie wracał...

I to było bodaj najgorsze!

Bo, gdy nawet słuch o nim ginął, a znikąd nie miałeś pewnych wiadomości — i rozkazów nie miałeś — można było rzecz rozmaicie tłumaczyć...

Tłumaczyło się tedy rzecz rozmaicie — i niezawsze trafnie. Jak wiadomo: strach ma wielkie oczy!

Ogromne zdenerwowanie opanowało wojska polskie. Mężne w natarciu, nie miały jeszcze dostatecznego hartu, aby oprzeć się demoralizującym wpływom odwrotu.

Przytem, odwrót ten był dla większości oficerów i żołnierzy zupełnie niezrozumiały...

— Jakże to? — mówili między sobą, gdy po całodziennym, forsownym marszu rozkładali się nareszcie obozem: — Spraliliśmy ich wczoraj na kwaśne jabłko... Generał X. rozbił im trzy pułki... — Generał Y. odciął podobno całą dywizję... I cofamy się??? — Cóż, u Boga Ojca? Czy pogłupieli w Warszawie doczysta? Czy ich strach obleciał?

I, jak zawsze ponoć bywa w takich wypadkach, wypełzły z głębi ludzkich dusz podejrzenia, tym haniebniejsze, im większą była przedtem niezachwiana wiara w dowódców...

Zaczęły się szepty, tajemne zмовy, narzekania... Ten i ów odkrył nagle, że w Polsce nie może się dziać dobrze, bo mamy za dużo... żydów. Ktoś inny przypisywał wszelkie niepowodzenia... Niemcom, twierdząc, że będzie to samo, co było w Rosji: zdradzili tam niemieccy generałowie i u nas zdradzą!

Nie zdawali sobie ludzie sprawy z tego, że gadania te, zgola pozbawione podstaw, śmieszne są i żalosne zarazem. Obudziła się gorączkowa chęć... do rewelacji. Zaczęto badać rodowody i koligacje poszczególnych generałów. Zaczęto się wdawać w cechę ich wartości bojowej. Rozdzielono z powrotem Polskę na trzy zabory — i przystąpiono do

generalnej inspekcji: Kto lepszy Polak: Ten z pod Moskala, czy ten z pod Niemca, czy ten z pod Austriaka?...

Okazało się bardzo prędko, że poruszona w ten sposób kwestja może zrodzić tylko dalsze kwasy, nieufności i pretensje...

Ale szepty nie ustawały. Raczej rosły i mnożyły się, jak jadowite opary...

Najgorsze zaś było to, że zdemoralizowani oficerowie zapomnieli o kardynalnem prawie, stanowiącem niejako katechizm wojenny: zapomnieli o tem, że nie wolno jest podkopywać w żołnierzu zaufania do naczelnego dowództwa...

Złamanie prostej, szczerzej wiary żołnierskiej gorsze było, zaiste, niż otwarty bunt!

Lecz i tego nie oszczędzono Dowództwu Naczelnemu.

O ludziach, których imię do niedawna było w Polsce czczone, jak relikwja, o ludziach czystych, jak iza, którym można było zarzucić wszystko — tylko nie prywatę — zaczęto szerzyć nagle wieści niepodobne do wiary, wręcz absurdalne, i dlatego może znajdujące posłuch u naiwnego, jak dziecko, żołnierza linjowego...

Więc, gdy poczuł żołnierz, że i na górze, wysoko, tam, dokąd myślą sięgał dotychczas z największą nieśmiałością, rozpiera się zła potwarz i plwa ciekłą śliną — ogarnęło go najprzód głębokie osłupienie — a potem czarna rozpacz.

Dojść do źródeł tych plotek nie mógł. Sprawdzić ich — nie umiał. Wiedział jedno:

Maszt, najwyższy maszt, na którym powiewała narodowa chorągiew — został przez niewiedomego sprawcę złamany...

A chorągiew... wdeptana w błoto...

Wtedy żołnierz zaczął się bać.

Były, na szczęście, wyjątki. Do tych należała przede wszystkim kawalerja. Jeżeli nie cała — to w każdym razie lepsza jej część.

Tłumaczyło się to prosto.

Kawalerja, z samej natury swej służby, zawsze mniej od piechoty odczuwała trudy odwrotu — i mniej od niej czuła się pojmaną w sidła bolszewickie.

Wprawdzie miewała nieraz piekielną służbę, ale ostatecznie, była panią swych ruchów i dawała sobie lepiej radę, jak piechota, która przychodziła na biwak później i zastawała go nieraz objedzonym doszczętnie, w promieniu całych kilometrów огоłoconym ze wszystkiego...

Jednocześnie, nie ulega wątpliwości, że kawalerja właśnie, aczkolwiek przeważnie osłania odwrót piechoty, umknie w razie koniecznej potrzeby, a w łapy bolszewikom nie wpadnie... I to też miało walne znaczenie dla psychologii polskich żołnierzy, zdemoralizowanych odwrotem.

Wreszcie, miała kawalerja szczególnie kult dla Naczelnego Wodza.

Przyszedł wprawdzie dość późno... Przez parę lat nie mogli się pogodzić świetni oficerowie ułanów i szwoleżerów z myślą, że na czele wszystkiej siły zbrojnej państwa stoi człowiek, który niegdyś rekwirował złoto z moskiewskich kas skarbo-

wych... Człowiek, całą swą przeszłością związany z socjalizmem!...

Nie mogli się jednak oprzeć kawalerzyści urowi tego człowieka! Zdobył ich wstępnym bojem! I — zdobywszy — przywiązał do siebie mocno...

Zrozumieli potem, że im bardziej napadają na tego człowieka wszystkie, ale to wszystkie bez wyjątku partje polskie, mając do niego niesłychane pretensje, że się im nie oddał na wyłączną własność i eksploatację — tym bardziej właśnie stać przy nim powinni oni, ułani!...

Nie jest zbyt skomplikowaną ułańska psychika. Inne rodzaje broni słyną podobno z większej inteligencji. W owych czasach jednak ujęto w kawalerji rzecz nader prosto:

— Masz zaufanie do Dziadka — czy nie masz?

— Mam!

No, to milcz i nie gadaj, kondlu jeden...!

W I-ym szwadronie N-go pułku ułanów nie stawiano wcale kwestji zaufania. Stasiek Wąsik miał zaszczyt służyć w jednym z najlepszych pułków polskiej armii!

Więc tylko czasami, gdy wartka piechota spuszczała im przed samym nosem do wody jakiś most — i gdy wypadało nakładać po kilkanaście kilometrów dla znalezienia brodu, albo ruszać wpław, jeżeli na szukanie brodu nie było czasu, burzyło się w szwadronie!

— A, osły jedne, ofermy zapowietrzone!... Żeby ich ciężka cholera... Widziane — to rzeczy, palić taki zacny most?!

Na co rotmistrz Zawadzki, który od niejakiego czasu milczał, jak kamień, i udawał że nic nie sły-
szy, cedził tylko przez zęby, sam do siebie:

— ..Zwłaszcza, że nietylko kawalerja, ale i ar-
tylerja została na tamtym brzegu...

Zdarzały się przytem zatargi dosyć nawet kro-
tochwilne.

Raz, gdy szwadron defilował właśnie wzdłuż
piaszczystych brzegów jakiejs podłej rzeczki,
kierując się do miejsca, gdzie, według mapy, miał
stać na niej mostek, nadbiegł galopem do rotmistrza
jeden z ludzi, jadących na szpicy i zameldował mu
coś bardzo zdyszczanym głosem.

Rotmistrz Zawadzki, chociaż klął nadzwyczaj
rzadko, wybuchnął tym razem, jak beczka prochu.

— ...syny! Ja im pokażę, idjotom nieszczęsnym!
Ja im dam szkołę!...

W mgnieniu oka rotmistrz podał komendę. Ko-
mendę tę powtórzyli oficerowie plutonom. I stanął
cały szwadron, gotów do szarży!

— Marsz, marsz!

Ułani dali ostrogi koniom i pomknęli, jak burza,
niebardzo rozumiejąc, i co chodzi.

— Dano im znak do szarży? — Juści... Tyko,
czemu — to oficerowie tak się jakoś dziwnie uśmie-
chali?...

Z okrutnym chrzęstem, furkotem lanc i tenten-
tem kopyt końskich wypadli na zakręt.

Tam przedstawił się ich oczom taki widok:

Wedle mostku, niewiele co dłuższego, jak chłop-
ski wóz żniwny, tyle, że trochę szerszego, mozoliło
się pod dowództwem jakiegoś podoficera kilkuna-

stu ludzi z piechoty... Rozebrali byli parę desek — i teraz dygowali właśnie grzeczny balik, chcąc go widocznie sprzątnąć, a może nawet spuścić do wody... Nadlatujący szwadron wprowił ich zrazu w osłupienie, następnie w zupełnie widoczny przestach... Już się mieli rzucać do swych karabinów, gdy rotmistrz, galopujący na czele szwadronu, krzyknął na całe gardło:

— Stać! Stać, do kroćstutysięcy starych diabłów, bo was na szablach rozsiekam!...

Stanęli.

Rotmistrz najechał prawie koniem na podoficera i wziął go z góry:

— Z czyjego rozkazu?

Podoficer, szkarłatny, zaczął się jękać niewyraźnie...

— Aha! — Rotmistrz zwrócił się do swoich oficerów: — Naturalnie!...

Te „naturalnie” przeciągnął ponad miarę. Ułani, którzy znali swego dowódcę, jak własne nazwisko, zaczęli po sobie spoglądać, ubawieni. Zanosilo się na tęgą szopę! Tymczasem rotmistrz, jak to miał we zwyczaju, gdy był bardzo zły, wjechał na podoficera obcesowo, mało co dobierając wyrażeń:

— Durnie! Bałwany! Ofermy! Osły! — Mosty palicie? Tak? A czy wy wiecie, że bez rozkazu tego czynić nie wolno? A czy wy wiecie, że tam napewno nie idzie własna nasza artylerja, co, — Nie wiecie, prawda? — Ale się gmerzecie przy tej kładce, zamiast, jak się należy, doleżeć w tyraljerze, kiedy potrzeba!...

— Melduję posłusznie — zaczął był przestraszony podoficer, ale rotmistrz tak huknął na nieboraka, aż się najbliższe konie spłoszyły...

— Nie gadać!!!

Podoficer wyprężył się, jak struna.

Rotmistrz krótko rozkazał:

— Ułożyć mi z powrotem, tak, jak było!

Wzięła się piechota znosić deski — i poszło jej to nawet dosyć sporo. Gdy skończyli, kazał im rotmistrz stanąć na baczność, poczem przemówił w takie słowa:

— Żołnierze! Wszystko, cokolwiek robicie, musi mieć sens. Zwłaszcza na froncie, gdzie za każde wasze głupstwo może zapłacić życiem wasz kolega! Zawiele mostów rozbieracie i palicie. Nawet takie, które dla nieprzyjaciela nie mają żadnej wartości, bo ma tuż, obok, szosę i żelazny most, znacznie wygodniejszy... Jeżeli raz jeszcze zobaczę którego z was przy równie głupiej robocie — jakem Zawadzki, dowódzca I-go szwadronu N-go pułku ułanów — każę was odstawić do dowództwa waszego oddziału i poproszę osobiście majora, czy kto tam wami dowodzi, żeby was dla przykładu posłał gdzie za rzekę, i kazał leżeć tam, dopóki was zieleni febra nie weźmie...

— Zrozumiano???

Żołnierze stali ni żywi, ni martwi.

Rotmistrz skomenderował:

— W lewo zwrot — marsz!

Gdy już przeszli most, bardzo skonfundowani, zawołał za podoficerem rotmistrz:

— Sierżancie!

Sierżant momentalnie zatrzymał się i wyprężył.

— Zameldujecie swojemu dowódcy o naszej rozmowie!

— Rozkaz, panie rotmistrzu!

— Nazywam się Zawadzki!

— Rozkaz!

Kiedy piechota zniknęła, ogarnęła szwadron szczerą wesołość. Zaczęli sobie ułani dworować z tamtych, naśladując ich zgłupiałe miny. Ale Stasiak nie śmiał się. Podchwycił był niechcący słowa, które porucznik Kołuba wyrzekł półgłosem do kaprała:

— Wczoraj, przez takie głupstwo, straciliśmy dwie baterje...

Z każdym dniem stawało się coraz jaśniejszem, że położenie polskiej armji jest — jeżeli jeszcze nie rozpaczliwe — to w każdym razie groźne.

Wprawdzie front polski skracał się znacznie, co ułatwiało łączność i zwiększało odporność wojsk, zasilanych rezerwami ze stolicy. Z drugiej jednak strony, robiło się już ciasno.

Jednocześnie, widać było, że bliskość Warszawy podwaja energję nacierających bolszewików, którzy również korzystają ze skrócenia się frontu i skupiają bardzo znaczne siły, gotując się do decydującego ciosu.

Wojska polskie dochodziły teraz do Bugu.

Na linii Bugu miała się rozegrać decydująca walka o Warszawę — walka, od wyniku której, jak przypuszczali wówczas na froncie, zależeć będzie nie tylko los stolicy ale i los całej kampanji, zaczętej tak fortunnie i przybierającej tak fatalny dla nas obrót...

O tem, żeby mogła istnieć inna jeszcze linja oporu, prócz linji rzeki Bugu, nikt serjo na froncie nie myślał...

Któregoś dnia przypomniał sobie Stasiek, że mija właśnie rok od czasu jego ucieczki z niewoli bolszewickiej.

Jakże dziwnie ułożyły mu się znowu losy!...

Zrazu szczęśliwy i pogodny doczekał się teraz smutnych czasów... Działo się coraz gorzej!

Bolszewicy szli za polskiem wojskiem, jak wilki za tropem, szarpiąc i urywając, gdzie się tylko dało. Gdyby im jaki ułan wpadł w ręce, nie byłoby dlań pardonu... Piechotę jeszcze traktowali jak-o-tako... Ale kawalerji polskiej bali się, jak ognia, i, jeżeli udawało się im dostać do niewoli ułana, czy szwoleżera, mordowali go zazwyczaj nielitościwie, wbrew prawom wojennym, które nakazują szanować jeńców...

Co im tam prawa!

Nad cichym, malowniczym Bugiem stanął pewnej niedzieli szwadron Staśka Wąsika, odbywszy długi i nad wyraz męczący marsz. Zmierzchało się. Od rzeki ciągnął rzeźwy, wilgotny opar. Nad niezmierną przestrzenią zielonych, soczystych łąk wstawał właśnie księżyc, krągły i ogromny, cały czerwony, jakby oblany krwią...

Konie szwadronu, zdrożone i wychudłe, stały opodal, w leszczynie, i chrupały siano. Owsa już kilka dni nie fasowano, bo nie było skąd.

Rozłożyli się ułani nad brzegiem rzeki, ale nawet palić im nie było wolno: Rotmistrz surowo

zabronił, bo po tamtej stronie Bugu mogli już być bolszewicy.

Leżeli tedy w milczeniu, oblani jeno niepewnem i dalekiem światłem księżyca, który podnosił się coraz to wyżej.

W pewnej chwili wydało się im, że te światło nagle steżało, nabrało większej siły i blasku...

Podnieśli głowy.

Wówczas zobaczyli, że cały Bug — płonie.

Z dali, od Wyszkowa, rozpostarła się na niebie wielka, spokojna luna.

Któryś z ułanów przerwał ciszę:

— Znowu pewnie most jakiś palą...

Więcej nie mówili nic.

Wpatrywali się tylko w koralowe zorze, które się rozchodziły po niebie czystem, cichem, wolnem od chmur.

III.

Pierwszy Awans.

— Jak myślisz, bracie, długo tu będziemy stali?

— A bo ja wiem?

— Ja sobie tak miarkuję, że skoro na froncie przycichło, to widać musieli gdzieś dostać bolszewicy tęgiego łupnia...

— Możliwe...

Tak gwarzyła gromadka ułanów, siedząc nad brzegiem rzeki. Do rozmawiających podszedł kapral Siwik, z ich plutonu, i przysiadł się z brzegu, obok Staśka Wąsika. Odezwał się po chwili, skręciwszy sobie papierosa:

— Wiecie wy, Wąsik, co?

— Niewiem, panie kapralu.

— Tak ono mi się zdaje, że będziem niedługo szli z powrotem!

Ułani poruszyli się, jakby ich tknęło takim elektrycznym. Zsunęli się bliżej, spoglądając z wielkiem zainteresowaniem to po sobie, to na kaprala Siwika.

Poweselały oczy.

Tymczasem kapral zaciągnął się najpierw dy-mem, puścił z namaszczeniem parę tęgich kłębów z ust, a potem tak zaczął:

— Na wojnie bywa czasem tak, że ano wojsko się cofa bez żadnego niczego (Siwik był rodem z Kujaw i chętnie używał podobnych misternych wy-rażeń): — Nie biją cię, nawet niebardzo gonia, a ty wiejesz. bracie, jakbyś czarną śmierć zobaczył...

A tu nagle — (Kapral znów się zaciągnął pa-pierosem) — nagle — (znów puścił kłęb dyniu) — wszystko się odmienia, jak w jakim teatrze: wczora-j prali ciebie, a dziś ty ich zaczynasz prac!

Słowa kaprala okrutnie spodobały się ułanom. Zaczęli kiwać głowami. Wąsik zapytał go:

— Czy są jakie wiadomości?

Kapral wzruszył ramionami.

— Wiadomości nijakich niema. A choćby i by-ły, toby ich mnie nie powierzyli, jeno Zawadzkie-mu... Ale ja wam, chłopcy, mówię, że coś czuje nosem...

Rozpoczęła się bystra pogwarka. Ten takie wyrażał przypuszczenia, tamten inne. Ułan Bryła, chłop z pod Płońska, wielki wyga i kłusownik, po-

wiedział coś, co wszystkim ogromnie trafiło do przekonania:

— Jak zając zadługo wisi, to od niego cuch zaczyna iść... Takżesamo i my pod Kijowem... Pótyśmy stali, ażeśmy się zepsuli! Teraz nas bez te wszystkie miesiące tego przewiało...

Kaprał z powagą skinał głową.

— Właśnie!

Stasiek zamyślił się. Radowała go rozmowa kolegów, ale niezupełnie. Przez tyle lat spędzonych na wojnie, nabrał doświadczenia, któregooby mu niejeden, starszy wiekiem mógł pozazdrościć. Więc i teraz, choć radby był uwierzyć w to wszystko, co mówił kaprał, uwierzyć, niestety, nie mógł...

— Ba!... Gdyby tak było akuratnie!... — Gdybyż-to naprawdę zaczynała się ofenzywa! Wiedział ślżak, że wielka armja, raz pchnięta wstecz, nie tak łatwo może się zatrzymać. Jeden, drugi od-cinek bierze się w kupę, żołnierz staje twarzą do nieprzyjaciela, zaczyna nań nacierać, bije, bierze jeńca... Ale co z tego, jeżeli tylko małe oddziały zwyciężają? Nazajutrz przychodzi rozkaz — i nie-ma rady! Musisz się znowu cofać, jeżeli niechcesz zostać odcięty...

O swoich obawach nic nie mówił kolegom. Bo i poco? Niech się cieszą chociaż nadzieją... Zawsze i to dobre, że się w nich duch podniesie!

A tamci snuli tymczasem coraz piękniejsze plany, puszczając się nawet na bardzo tęgą strategję. Im dłużej rozprawiali, tym łatwiejsze odnosili zwycięstwa: Siwik już był przeszedł Bug i parł bolszewików z powrotem... Bryła, który wierzył tyl-

ko w „czystą”, jak mawiał, robotę — pojechał se na kilka szarzy i o mało co, a byłby tego wszawego Trockiego pojmał do niewoli... Inni też się zapalili i dokazywali cudów waleczności...

I tak sobie radzili ułani, ciesząc się, jak dzieci, zasłuchane w piękne bajki.

Przed nimi toczył swe fale spokojny, szeroki Bug, błyszczący się w słońcu, jak srebrny wąż, odziany litą łuską.

Polacy stali na lewej, niskiej stronie rzeki. Po tamtej stronie, gdzie za wysokimi wzgórzami czerniały wielkie bory, mieli być bolszewicy. Czy byli? Tego nikt nie wiedział... Kto wie? Jeżeli podobne było do tego, co rozповідаł kapral Siwik i co śniło się młodym ułanom — może już przeszła przez Bug armja polska? Może nacierała na całej linii na bolszewików....

Stasiek patrzył tymczasem na wodę i dumał...

Dumał o tem, że losy tej wojny są podobne do rzeki Bugu... Na oko cicha i przyjazna, powolna, kryje przecież w sobie groźne niespodzianki, wiry i głębie...

Może być, że o parę kroków od piaszczystego brzegu, gdzie nurt, o wiele ciemniejszy, nie odbija nieba, czyhają na polskich ułanów zasadzki?...

Tak i ta wojna...

Od czasów swej przeprawy, kiedy, uciekając z Bolszewji, Stasiek o mało co nie utonął, czuł na widok rzek jakiś nieprzemierzony lęk...

Dobrze koło południa, kiedy ułani spodziewali się sygnału na objad, przyleciał skądś zziąjany porucznik Kołuba, konno, utyłany w błocie, jak lich

Z nim razem przycwalało kilku ułanów z plutonu Staśka Wąsika, którzy tego dnia pojechali z porucznikiem na patrol.

Wszyscy byli pochłapani błotem, zmordowani i źli. Koniska robiły bokami.

Skoczyli Wąsik, Bryła, kapral Siwik, reszta ułanów i chcieli się pytać towarzyszy, co się stało, ale nie zdążyli trzech słów zamienić, bo porucznik Kołuba, tak, jak stał, skomenderował swoim ludziom:

— Za mną!

Zaczyn, dał ostrogi zmęczonemu koniowi i pomknął z powrotem, jak wiatr, a za nim patrol.

Zdażył tylko podchwycić Stasię, jak jeden z odjeżdżających kolegów krzyczał do kaprała Dzierżyńskiego, z drugiego plutonu:

— Będzie wam ciepło!

Nie zauważyli nawet chłopcy, kiedy zdażył Kołuba oddać meldunek dowódcy szwadronu. Widać jednak nieomieszkał tego uczynić, choć zabawił wszystkiego minutę, bo już i wyjeżdżał konno rotmistrz Zawadzki, w takich razach szybki, jak ogień, i słyhać było piorunującą komendę:

— Szwadron — Zbiórka!

Wszystko to odbywało się z takim piekielnym pośpiechem, jakby się ziemia lada chwila miała zapasć. Świeży żołnierz zupełnieby stracił głowę w tym rejewachu. Ale nasi ułani mieli za sobą ładny kawał czasu, spędzony na froncie!...

W jeden mig skoczyli do koni. Osiodłali je dosłownie w minutę. Jeszcze nie zdążyli, iak się należy, dociągnąć popręgów i zapiąć kantarów, a już rozległ się stentorowy głos porucznika Sędzi-

mira, który, jako najstarszy, obejmował w zastępstwie rotmistrza komendę szwadronu:

— Szwadron — na koń!

Rozejrzeli się ułani, gdy już siedzieli w siodłach, gdzie — to się podział rotmistrz Zawadzki?

Uirzeli tylko kłęb kurzu na drodze, prowadzącej na Wyszków. Widać w tamtym kierunku pomknął dowódzca szwadronu, zabrawszy ze sobą tylko ordynans i dwóch oficerów. — Za patrolem!

Szwadron sformował się trójkami i ruszył rysią za porucznikiem Sędzimirem. Pierwszy pluton był zły. Stasiek usłyszał, jak Bryła mówił do Siwika:

— Do pucu z taką robotą! Na czele naszego szwadronu zastępca, na czele naszego plutonu — zastępca. sami zastępcy...

Bryła był dobry żołnierz, ale uważał, że szwadron, to zupełnie, jak folwark: nie lubił nagłej zmiany dziedzica. Może też być, że poczcziwego Bryłę zaleciał zapach z kuchni i że mu markotno było odjeżdżać właśnie w chwili, kiedy kucharze już mieli rozdawać smakowitą zupę...

Inni ułani patrzyli też z głuchą wściekłością na dymiące się dwukółki. Słyszać było głosy:

— Zawsze, psiekrwie, póty marudzą, póki nie przyjdzie komenda wsiadania na koń... Wyżrą potem za nas wszystkie mięso i śmieją się jeszcze w kułak,... syny! Rozgoryczenie zgłodniałych ułanów było bardzo zrozumiałe, ale podejrzenia, rzucane na biednych kucharzy, zupełnie niesłuszne... Choćby bowiem mieli nawet zupełnie wilcze apetyty, nie mogliby zjeść, jako żywo, porcji mięsa, obliczonej na stu kilkudziesięciu ludzi!

Porucznik Sędzimir prowadził szwadron łąkami, nad rzeką, równolegle do drogi, idącej do Wyszkowa. Gdzie było można, jechali ułani wskok, ale, że grunt był przeważnie miękki, miejscami nawet błotnisty, wypadało często przechodzić w klusa, albo i w stępa.

Dziwili się ułani, czemu ich skierowano nad sam Bug, gdzie i droga cięższa, i więcej kołować wypada — skoro w pobliżu biegnie trakt, prosto, jak z bicza trzasnął?

Przecież, jeżeli będzie jakaś rozprawa z nieprzyjacielem, należy go szukać po tamtej stronie Bugu, nie tutaj.. i dlatego lepiejby było iść drogą, oddaloną o jakieś dwa kilometry od brzegu i zupełnie zasłoniętą...

Próbował to wszystko wyłożyć Staśkowi Bryła, ogromnie tego dnia niezadowolony z dowództwa. Ale Stasiak nie czuł chęci do rozmowy. Jakieś przeczucie mówiło mu, że sprawy przedstawiają się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażają jego koledzy.

— Kto wie? Może bolszewikom udało się przedostać przez Bug?

Myśli tej nikomu nie zwierzył, ale im dłużej posuwali się naprzód, tym bardziej umacniał się w przypuszczeniu, że widać na naszej stronie jest zupełnie czysto...

Stasiak miał całkowite zaufanie do dowództwa, bo przekonał się, że rotmistrz Zawadzki umie łączyć wyjątkowe męstwo z roztropnością zupełnie lisią: gdyby nie to, pozostałyby dawno tylko strzepy z I-go szwadronu!...

Jeżeli więc jechali tak wzdłuż Bugu, całkowicie odsłonięci od strony rzeki, należało przypuszczać, że nieprzyjaciół jest nie po prawej stronie, jak przypuszczali wszyscy, tylko właśnie po lewej!

W miejscu, gdzie rzeka robi wielki zakręt, rozlewając się w zalew płytki, ale bardzo szeroki, zatrzymał porucznik Sędzimir szwadron. Rosły tuż nad wodą gęste olszyny. W te olszyny wprowadzili teraz ułani zmęczone wierzchowce i popuścili popręgów, stosownie do rozkazu.

Zaledwie jednak zdążyły szkapy parę razy swobodnie odetchnąć, padła komenda:

— Podciągać popręgi!

Od Wyszkowskiego traktu, łąkami, cwałem, nadbiegał nieduży oddział kawalerji. Stasiek, który miał znakomity wzrok, pierwszy zakrzyknął:

— Nasi!

— Jakoż, rozpoznali ułani w pędzących, co koń wyskoczy, jeźdźcach, rotmistrza Zawadzkiego, porucznika Kołubę i ułanów z patrolu.

Teraz dopiero zaczynał ten i ów rozumieć, jak się rzeczy mają. Ale na żadne wynurzenia nie było już czasu, bo rotmistrz Zawadzki, z miejsca, rzucił krótki rozkaz:

— Drugi, trzeci, czwarty pluton — do ognia!

Ręką wskazał kierunek, w jakim miała się rozciągnąć tyraljera. Ruszyli spieszenie ułani z trzech plutonów, obciągając na sobie w pośpiechu pasy i ładownice, ile, że to kawalerzyści niebardzo są zwyczajni bić się na piechotę, i jak tylko zsiądą z koni, zaraz coś gubią...

Pierwszy pluton pozostał w olszynie, jako rezerwa, i jako okrycie koni własnych i koni szwadronu. Jak zwykle w takich wypadkach, zaczęli ulani półgłosem czynić różne uwagi.

— Eeee... to tak, bracia, stoimy?

— Będziemy, zdaje się, odcinali odwrót psubratom, którzy się zaawanturowali na naszą stronę?

— A nie lepiejby to na nich ruszyć szarżą?

— A jakże!... Szarża! — Po tych łąkach? Niech lepiej oni się do nas pofatygują!

— To tam jest kawalerja?

— Nie. Na rowerach jadą, ofermo jedna...

Ten i ów parsknął śmiechem, ubawiony, ale go zaraz sparzył ostry głos porucznika Kołuby:

— Nie gadać! Bo ci te zęby zakleję!...

Oho! Widać sprawa była poważna, kiedy się łagodny porucznik tak wściekł... Wąsik mrugnął na kaprała Siwka, który był wielkim faworytem dowódcy plutonu. Zaczęli nań mrugać inni ulani, zachęcając szeptem:

— Nuże...

Więc kaprał Siwik podsunął się ostrożnie do porucznika Kołuby, coś pomajstrował przy jego wytoku, poprawił porucznikowemu kasztankowi wąs przy wędzidle, bo się był zaczepił o podpinkę — i zapytał porucznika bardzo dyplomatycznie:

— Dużo ich przeszło, panie poruczniku?

Porucznik udał, że nie słyszy zapytania. Ale, gdy kaprał po chwili ponowił je znów, jakby nigdy nic, burknął porucznik:

— Nie liczyłem!

Zapanowało milczenie. Po chwili uznał jednak porucznik, że winien jest jakąś odpowiedź kapralowi i powiedział:

— Przeszło ich stu, albo i lepiej. Kozacy...

— To ich tu będziem łapać, panie poruczniku?

— A tak.

Ułan Potocki, z którego się śmiali wszyscy, że ma bardzo hrabskie nazwisko, pochodzący z Warszawy, z nad Wisły, urwis i andrus — nie umiał opanować wielkiej uciechy. Klepnął się po biodrach i krzyknął prawie na cały głos:

— O, raju!

Ale porucznik zwrócił się, jak na sprężynie i trzepnął Potockiego w otwarte usta, zamykając mu gębę.

— Ja ci dam raj!...

Tłumaczył się Potocki, zupełnie nie skonfundowany:

— Ja tylko tak, panie poruczniku, z radości...

— Będiesz miał radość, jak ci kozuń kałdun otworzy!

— Melduję posłusznie, panie poruczniku, nie otworzy, bom dziś naczczo, więc i brzuch całkiem zgubiłem...

Widząc, że się ludziom śmieją oczy, machnął porucznik ręką i dał spokój wyszczekanemu warszawiakowi. Ten tymczasem gadał do najbliższych kolegów półgłosem wprawdzie, i uważając, czy porucznik nie stoi zablisko, ale tak wesoło, że się ułani zaczęli brać za boki:

— Jak mamę moją kocham, zwiedzieli się, psu-braty, żeśmy dziś nic nie fasowali i wybrali się

wsunąć naszą zupę... Może i dla Trockiego chcieli nabrać w cholewę, bo mocno cebulą zaprawiona była... Toby dopiero miał labę!...

Zaczęła się krztusić wiara, a Potocki dalej prawil:

— Po prawdzie mówiąc, to się tym bolszewikom też coś należy. Zawsze to są ludzie. Jeszcze jak rusek siedział w Warszawie, i laził u nas na Powiślu taki jeden z drugim faraon, tom ich zawsze zapraszał do Wilanowa, do mojego kuzyna, Braniczkiego, na raki...

— No, i co?

— Rany Boskie! Wściekali się, że nie macie pojęcia! Jeden rewirowy, to nawet andrusom rubla chciał dać, żeby mnie przyprowadzili do niego, do ucząstku. Ale nic z tego nie wyszło, bo warszawskie Antki nie trzymali sztamy z łapaczami. Więc tylko raz, jakeśmy się spotkali na Krakowskiem, tom mu zawołał, żeby szedł do Bristolu, to mu za-funduję... A jak nie, to niech mnie całuje... w Kopernika!

— Ha, ha, ha! — I jak się skończyło?

— Ano, jakże się miało skończyć? Nie będzie przecież do mnie strzelał... Jeszczeby tramwaje sta-nęły...

Porucznik Kołuba udawał, że nie słyszy. Ale i jego brała chęć parsknięcia śmiechem. Więc przy-gryzał wąsa. A warszawiak kończył, udając melan-cholję:

— Wiecie? Trafił go szlak. Jak się dowiedział, że musi iść won z Warszawy, tak się, nieborak, zmartwił, że umarł... Inni gadali, że się zapił. Ale nie

wierzę! Który tam rusek się zapił? — Przecież wiadomo, że to bardzo trzeźwy naród...

Byłby może Potocki gadał tak bez końca, ale raptem trzasnął w pobliżu strzał — i wszyscy spoważnieli.

Porucznik Kołuba przyłożył do oczu lornetę. Ułani wspięli się na palce, rozchylając lepkie, pachnące liście olszyny, w której stali zaczajeni. Spojrzał i Stasiak. A było na co patrzeć!...

Na przełaj, łąkami, rwała konnica kozacka. Rozsypała się w ławę, szeroko, może na jaki kilometr, może więcej...

Od rzeki zaś, do której pędzili kozacy, od brodu, zaczęły bzykać na ich spotkanie z początku rzadko, potem coraz częściej, kulki ułanów, rozrzuconych w tyraljerze. Najbliżej olszyny leżał ze swoimi ludźmi porucznik Sędzimir, który przedtem prowadził szwadron. Dalej — drugi pluton, porucznika Janowicza, i czwarty Abramowicza. Rotmistrz Zawadzki musiał też leżeć między swoimi ludźmi, jak to czynił zawsze, ilekroć wypadało walczyć pieszo. — Gdzie? O tym wiedział teraz tylko porucznik Kołuba.

Ogień wzmagał się tymbardziej, im bliżej rzeki byli kozacy. Ułani, dobrze ukryci, prażyli wroga celnie. Chociaż strzelali do jeźdźców, lecących, co koń wyskoczy, przytem, rozsypanych szeroko, widać było, jak coraz to jakiś kozak daje nurka w gęstą trawę... Kilkanaście koni galopowało już luzem... Dwa upadły...

Ale, im bliżej rzeki, tym gorsze niebezpieczeństwo zaczynało zagrażać spieszonemu ułanom. Zsa-

dzili wprawdzie z siodeł część kozaków, ale pozostali, nic a nic nie zwalniając pędu, szarżowali na ułanów, zdecydowani widać za wszelką cenę sforsować w tym miejscu bród...

Widać było teraz, jak na dłoni, roślących, dzikich chłopów, pochylonych nad karkami ścigłych koni... Nie zdjęli nawet karabinów, wiedząc, że niewieleby zaszkadzili Polakom, dobrze zamaskowanym nad rzeką... Liczyli zato na impet swej szarży, na chyżość wierzchowców a na ostatku — na swoje niezawodne cięcia...

Zaskoczeni zrazu salwami — oprzytomnieli. Zorientowali się, że wpadli w zasadzkę; ale zorientowali się też, że nieprzyjaciel niema najstraszniejszej broni, która by mogła ich skosić: karabinów maszynowych!

Więc nabrali teraz otuchy, bo byli już dość blisko rzeki. Przejadą po głowach Polaków, jak wiatr!... Zarąbia, kogo dosięgną!... Ogień, mało skuteczny z wielkiej odległości, niewiele również szkodzi zbliżając się, gdy zdenerwowany żołnierz zawsze prawie zgóruje, strzelając do nadlatującej kawalerji... Co mieli zapłacić, zapłacili... Leży ich tam kilkunastu... Więcej już mało kto padnie!...

W tej chwili jednak, pchnięci cichym rozkazem, skoczyli na siodła ułani z pierwszego plutonu. Porucznik Kołuba ogarnął swoich ludzi płonącymi oczami, zaczął skomenderować wolno i dobitnie:

— Do szarży!

Nie potrzebował swej garstce wydawać innych rozkazów. Stary żołnierz wiedział, co ma robić.

Pluton ściągnął cugle.

— Za mną — marsz!

Poczuwszy ostrogi, wypadł z olszyny kasztanek porucznika jednym susem. Wypadł z gęstwiny pluton, jak strzała — i rozwinął się bez komendy w ławę, podobną lecącej, kozackiej, tylko o ileż mniejszą!...

— Hurrra!

Skoczyli, galopem, odrazu całym impetem, bo nie było czasu miarkować tempa. Konie, zrazu oszłomione, nabrały pędu i zaczęły rwać, jak wichry, wyrzucając kopytami ziemię i darń... Sztychem, pod prawe skrzydło kozaków...

— Hurrra!

Stasiek Wąsik leciał na samym przedzie, tuż, za porucznikiem, bo konia miał ostrego. Zmrużył oczy, zacisnął zęby... Prawą ścisnął kurczowo ciężką szablę kozacką, takąsamą, jaką miał każdy rosyjski kawalerzysta... Zdobyczną!

Ścisnął szenkłami swojego karego — i nabrał tchu.

— Rrraz!...

Coś stęknęło. Ktoś się zwałił. Nie widział nic...

— Rrraz!...

Rzucił się koń Staśka, w bok — jeździec tyle miał przytomności, że chwycił się grzywy... No.... No... Ufff! — Złapał strzemień, które był zgubił w największym pędzie... Obejrzał się —.

Tuż za nim galopował koń kozacki, wlokąc po ziemi swego pana... Aha!...

Stasiek spojrzał znowu przed siebie... Jak przez mgłę, zobaczył kozaka, nacierającego nań z szalonym impetem. Usłyszał krzyk:

— Rubiiii!...

Coś gwizdnęło, tuż, nad jego uchem — tak, jak wtedy, przed rokiem.

— Rrrraz!...

Znowu jakiś głuchy łomot.

Wrzask:

Jezus Marya!...

I potem, z wielkiej dali:

— Hurra! Hurra! Hurraaaaa!...

Gdy po pewnym czasie zjechali się wedle olszyny ułani pierwszego plutonu, wracający z szarży, zobaczyli już cały szwadron na koniach, uszykowany trójkami,

Rotmistrz Zawadzki pozdrowił ich krótkim ukłonem wojskowym i powiedział spokojnie:

— Bardzo dobrze, chłopcy. Dziękuję!

Stasiek Wąsik stanął na swoim miejscu w szeregu zupełnie machinalnie. Był odurzony. Nie widział nic. Miał oczy zasnute jakąś czerwoną mgłą. Ręce mu się trzęsły...

Nie czuł właściwie nic. Rozumiał tylko, że przed chwilą była szarża, w której brał udział, i że ta szarża się widać udała, skoro dowódzca powiedział im:

— Dziękuję!

Bardzo wolno przytomniał. Ale inni widać tak samo wolno powracali do normalnego stanu...

Zauważył Stasiek, że porucznikowi Kołubie dziwnie lata górna wargę...

— Dziwne — pomyślał: — Z czego by to mogło być?

Potem, zauważył, że jego kary wciąż jeszcze robi bokami...

Poklepał go po szyji. Koń był zgrzany, jakby dopiero co wygrał wyścig...

Stasiek zaczął się rozglądać dokoła.

Rotmistrz Zawadzki, jak zawsze, bardzo spokojny, rozmawiał z porucznikami i robił jakieś uwagi o pogodzie....

Zdawało się Staśkowi, że rotmistrz Zawadzki umyślnie podnosi tym razem głos i mówi tak, żeby go słyszał cały szwadron:

— Tak, jutro będziemy mieli dzień upalny...

.
A gdy już wszystko przeszło, wszystko się uspokoiło, gdy pochowali swoich pięciu zabitych — między nimi kaprała Siwika — i trzydziestu pięciu kozaków, poległych od kul tyraljery i od szabel pierwszego plutonu, wracali ułani na miejsce postoju, wioząc na chłopskich podwodach kilku rannych kolegów i kilku szpetnie pochlastanych jeńców.

Od rotmistrza, który zebrał wieczorem szwadron na krótką odprawę, dowiedział się Stasiek, że wszyscy spisali się znakomicie. Rotmistrz Zawadzki poddał zwyciężę ocenę dzisiejszy bój, przyczym podniósł skuteczny ogień tyraljery, dzielną szarżę pierwszego plutonu, męstwo oficerów,, jakoteż i szeregowych.

Na końcu wspomniał pan rotmistrz Zawadzki w serdecznych słowach, poległych w dniu dzisiejszym kolegów, i oznajmił, że, przychyłając się do wniosku pana porucznika Kołuby, szefa pierwszego plutonu. awansuje za sumienną służbę i niezwykłą bitność

wykazaną podczas dzisiejszej szarży, w której, jak stwierdzono, zarąbał trzech kozaków, — Wąsika Stanisława — na kaprała...

Zatwierdzenie tego awansu będzie zakomunikowane kapralowi Wąsikowi, jak tylko nadejdą papiery z kancelaryi pułkowej...

Stasiek Wąsik siedział długo w nocy, sam jeden, podczas, gdy cały szwadron, prócz wart, oczywiście, rozstawionych gdzieś w mroku, spał kamienym snem.

W głowie Staśka nie mogło się pomieścić to wszystko, co dziś przeżył...

— Jakto?... Zarąbał trzech kozaków? — Jakto?... Został kapralem? — Jak-że się to stało?...

Oparł na dłoniach płonące, strudzone czoło i rozmyślał...

Aż przyszedł i do niego sen, cichy towarzysz człowieka, i obdarzył go — zapomnieniem...

CZĘŚĆ III.

I.

Ochotnicy.

W koszarach na Agricoli, w Warszawie, pano-
wał od samego rana ruch niebywały. Mimo wczes-
nej godziny, rojno było i gwarno: przed kancelarja-
mi pułku tłoczyli się wojskowi i cywile, mężczyźni
w sile wieku i młodzież szkolna. Opodal stały ko-
biety, najrozmaiciej ubrane. Widziałeś eleganckie
damy i skromne kobiety z przedmieść; modnie wy-
strojone panny, dziewczęta wiejskie, słowem —
wszystkie prawie stany, wszystkie sfery...

Przechodzących oficerów kadrowych zasypy-
wano zapytaniem i prośbami. Zaczepiano podofi-
cerów. Zwracano się do żołnierzy...

Bronili się wojskowi, jak mogli. Salutowali na-
prawo, salutowali nalewo, rozkładali ręce, tłuma-
czyli coś, przekładali... Niejeden, z natury grzeczny,
tracił wreszcie cierpliwość, zawracał się na pięcie.
rzucał oblegającym go kobietom krótkie:

— Nie mogę!

I znikał za oszklonemi drzwiami, strzeżonemi
przez posterunek wojskowy.

Tymczasem z góry, od Aleji Ujazdowskich, mi-
mo konnego pomnika Króla Sobieskiego, szły coraz
to nowe tłumy publiczności, zdążając do koszar,

gdzie mieściła się kadra kawaleryi... Studenci, uczniowie, ogorzali wieśniacy, zamasyżyci szlagoni, rzemieślnicy, urzędnicy, robotnicy...

Szły z nimi ich żony, matki, siostry.

Cała Warszawa — i nietylko Warszawa! — cały kraj polski, wolny jeszcze od najazdu wroga, stawał oto do apelu.

— Na ochotnika!

Od kilku dni bielily się na rogach wszystkich ulic plakaty, wzywające naród pod broń.

Zarówno w stolicy, jak i w miasteczkach powiatowych, po gminach, wszędzie, widziałeś te plakaty... Spadły, jak ongiś wici, wołając społeczeństwu polskiemu:

— Wstań! Ocknij się! Godzina wybiła!

Na ten apel poruszyły się masy. Poruszyły się serca w tych, którzy dotychczas myśleli, że wojnę można wygrać szczęściem, jak partję kart... Zrozumiało społeczeństwo polskie, że nadeszła istotnie chwila osobliwa, w której każdy uczciwy człowiek będzie musiał zdać egzamin ze swojego patriotyzmu. Dosyć krytykowania i gadania!... Dosyć mędrkowania i filozofowania! Trzeba iść do wojska!

— Na ochotnika!

. ,
Zastanowili się ludzie po raz pierwszy nad istotnem znaczeniem słowa: Niepodległość.

Przedtem zdawało się niejednemu, że owa Niepodległość, tak gorąco marzona, przez tyle pokoleń z utęsknieniem oczekiwana, została już kiedyś, w przeszłości, okupiona powstaniami, Sybirem, szubienicami i więzieniami, w których ginęli najlepsi pol-

scy patrijoci... Niejeden myślał, że prawo do posiadania wolnej Ojczyzny dały mu krwawe stygmata jego dziadów i pradziadów...

Obudził się teraz w narodzie głos sumienia. Zreflektowali się nagle Polacy. Wszakże historia, to nie bank!... Przelana krew — to nie pieniądz! Zasługi przodków — to nie czeki, które można dowolnie inkasować! Trzeba samemu zapracować na ową Niepodległość, inaczej źle się może skończyć cała sprawa...

I powiał entuzjazm, jak płomień pożarny, ogarniając zarówno pałace, jak i słomiane kmiecy strzechy...

Najsilniej zaś powiał w Warszawie, w stolicy kraju!

.

Kapral Wąsik stał w grupie kolegów, tuż obok wejścia do kancelarii pułkowej. Skończył był właśnie służbę, miał kilka godzin wolnych. Strasznie go paliła ciekawość.

— Co też to za wojsko będzie z tych ochotników?

Już od tygodnia bawił Wąsik w Warszawie. Odkomenderowano go, razem z kilkoma innymi podoficerami, do kadry, gdzie dawał się mocno odczuwać brak dobrych instruktorów, otrząskanych z frontem.

Zostawił swój szwadron nad Bugiem. Czuł się tu teraz trochę obco. Dużo rzeczy wydawało mu się... Hm... — Jakby to delikatnie powiedzieć?

Ot, i ci ochotnicy...

Przyglądał się mundurom, szytym, jakby na pokaz; szabłom, bardzo wprawdzie błyszczącym, ale dobrym chyba tylko do parady; butom, pięknym nad podziw, ale zgoła niezdatnym do noszenia w polu...

Mimowoli kręcił kaprał Wąsik głową. Stojący obok niego Potocki, który też awansował i przyjechał do Warszawy, jako starszy ułan, mrugał ucieszenie okiem i robił raz-po-raz uszczypliwe uwagi...

— Widzisz tego franta? Włożył na siebie kanarkowy frencz i myśli nad Bugiem szyku zadawać... Jak Boga mojego kocham, pójdę, powiem mu, żeby lepiej przystał do jakiego teatru...

— Nie gadaj, jeszcze usłyszysz...

— No, to co? Może usłyszeć! Nawet mu to na dobre wyjdzie: rozmyśli się i zostanie w domu... Będzie z tego podwójny zysk... Jego koń się ucieszy — (Jeżeli frajer ma konia!) — i bolszewicy też się morowo ucieszą!

— Cicho!

— Może nie? Przecie, jakby się taki panicz na froncie pokazał, toby sam jeden całej bolszewickiej dywizji dał radę...

— Ha, ha, ha!...

Próbował Wąsik mitygować kolegę, ale Potocki, ubawiony, gadał bez przerwy:

— Albo tamten, długi, jak tyka... Widzicie go? Wraził se na nos okulary, niby jaki profesor i przypiął ochotnicką kokardę, żeby widać było, że się idzie bić z dobra woli... Tegoby można dać do kuchni, bo przez swoje okulary może upilnuje, żeby

się nam muchy w grochówce nie topiły, jak to było ostatnim razem, pamiętacie?

Tak sobie podrwiwał z biednych ochotników Potocki, ale trzeba przyznać, że i inni starzy żołnierze nielepiej o nich myśleli. Wąsikowi wydawało się to wszystko dziwnem... — Jakże to? Z cywilów ma być zrobione wojsko, i to tak, zaraz, na poczekaniu?...

Wiedzieli przecież z doświadczenia, że wojna, to nie przelewki. Trzeba się dobrze zahartować, duchowo i fizycznie, żeby sprostać ciężkiej służbie na froncie...

Jakże więc będzie z tymi paniczami, którzy dotychczas, jak widać, nigdy broni nie nosili?...

Trochę lepiej przedstawiali się ochotnicy ze wsi. Mieli wprawdzie i oni wygląd bardzo cywilny, ale konno siedzieli tego, siłę mieli, jak można było wnosić po rozłożystych barach, dużą, — nade wszystko zaś — potrzebną zręczność.

Zauważył w pewnej chwili Wąsik:

— Ci wiejscy mogą się wyrobić...

Snać usłyszał te słowa najbliżej stojący ochotnik, młodziutki student, bo zwrócił się szybko do Wąsika, wyprostował się, jak struna i wyrąbał:

— Panie kapralu! Melduję posłusznie, że przy waszej pomocy wszyscy się wyrobimy, byleście tylko dali nam dobrą szkołę!

Spojrzeli po sobie podoficerowie, trochę zdziwieni. Bardzo ambitnie przemówił ten chłopak, ani słowa!

Wąsik uśmiechnął się i odpowiedział:

— O to się nie bójcie. Szkołę dostaniecie!

Na co wszyscy wybuchnęli wesołym śmiechem. Wiadomo bowiem, co znaczy w wojsku: „Dostać szkołę!” albo: „Dać szkołę!”

Tymczasem, w ślad za studentem, przyłączyli się do rozmowy inni ochotnicy, otaczając podoficerów zwartym pierścieniem.

— My wiemy, że jesteście na razie do niczego, ale postaramy się uczciwie nosić mundur N-go pułku!

— Niech to panów nie zraża, że widzicie przed sobą cywilbandę! Jeżeli Pan Bóg pozwoli, będziemy niedługo razem prać moskali, aż iskry pójdą!

— Tak jest! Prać!

— A tego!

— Dopóki ostatni bolszewik nie opuści Polski!

— I odprowadzimy jeszcze tych... synów kawalek dalej, żeby się nie zabłąkali przy naszej granicy!

Wszyscy gadali razem, jednocześnie, trochę, jak duże dzieci, uszczęśliwione, że się mogą bawić w wojsko, trochę, jak rozegzaltowane pensjonarki... Ale z oczu szły im skry! Widać było, że ten zapal wojenny nie jest rzeczą powierzchowną, jeno, że płynie z głębi serc, z najistotniejszych porywów ich polskiej krwi!...

Więc poweselał nagle kapral Wąsik, bo przyszło mu do głowy, że wprawdzie takie świeże wojsko długo będzie się musiało uczyć sztuki wojowania, ale wniesie ze sobą odrazu moc zapалу — nieoszacowany skarb w tych ciężkich czasach!

Byliby niezawodnie dłużej ze sobą rozmawiali, ale w tejsamej chwili wyszedł na ganek przed kancelarią rotmistrz Ryś, dowódzca kadry.

Podoficerowie i ochotnicy stanęli na baczność. Rotmistrz powiódł okiem po zebranych, poczem zwrócił się do adjutanta, stojącego za nim i rozkazał:

— Panie poruczniku. Ci wszyscy panowie zaliczeni będą do pierwszego szwadronu zapasowego. Proszę odesłać ich zaraz do koszar i oddać pod opiekę podoficerów!

Następnie rotmistrz dodał, zwracając się do ochotników:

— Dowództwo waszego szwadronu objął pan porucznik Dziarski. Mam nadzieję, że będziecie się spisywali wzorowo i że dowódzca doczeka się z was pociechy!

Kapral Wąsik drgnął. Serce zabiło mu radośnie...

— Porucznik Dziarski! Czyżby tensam?...

Już chciał biec do kancelaryi, żeby się dowiedzieć, skąd przybywa porucznik, czy czasem nie był pod Mołodecznem? — gdy oto we drzwiach kancelarji ukazał się we własnej osobie — szef szwadronu!

— Tak, to on! Tensam!

Porucznik Dziarski poznał odrazu Wąsika. Zaśmiał się doń i wyciągnął serdecznie rękę.

— Ba! Kogo widzę? Ślżak Wąsik? Oho... Kapral?

Wąsik ścisnął rękę porucznika, uradowany niezmiernie. Jakże! Przecież jemu zawdzięczał wszystko... Obdarty, bezdomny tułacz, dostał się do pułku w Wilnie przez porucznika Dziarskiego... Jak to się dobrze składa, że znów się spotykają!

Młody oficer śpieszył się, bo musiał rozkwatować ochotników. Skinął na Wąsika.

— Macie służbę?

— Nie, panie poruczniku. Jestem wolny do południa!

— To chodźcie ze mną. Opowiecie mi po drodze, coście porabiali.

— Rozkaz!

Ruszyli w stronę koszar, za nimi gromada ochotników. Ruszyły się i kobiety, zebrane w pobliżu, myśląc widocznie, że i im będzie wolno przedostać się wewnątrz zagród kolczastych, za którymi widniał plac ćwiczeń i baraki mieszkalne. Ale porucznik Dziarski zatrzymał je ruchem ręki.

— Niewolno, proszę pań... Niewolno!

Więc zostały, biedaczki, mocno skonfundowane, tuż za bramą. Tymczasem porucznik wypytywał się Staśka Wąsika o wszystko, co zaszło od czasu ich poznania się, przed rokiem. Szczególnie ucieszył się porucznik opowiadaniem Wąsika o ostatniej szarży. w której jego protegowany zdobył naszewki kaprała.

— Brawo, Wąsik, bardzo dobrze!

Po chwili, gdy już Wąsik w krótkości wszystko mu opowiedział, westchnął porucznik Dziarski, zabawnie podnosząc brwi do góry:

— No, i powiedźcie, ludzie... Ma fuksa ten ślaczak! Inny czeka na kaprała dwa, albo i trzy lata, a ten już awansował po roku! Jak tak dalej pójdzie, gotowiście mnie jeszcze przeskoczyć, co?

— Wolne żarty, panie poruczniku...

— Bynajmniej! Nie żartuję!

— Przecież pan porucznik wie, że na oficera nie mam odpowiedniego wykształcenia.

— Najprzód, to wam powiem, że na wojnie nie o wykształcenie się rozchodzi, tylko o odwagę: jeżeli się tak zdarzy, że w waszym oddziale wybiją wszystkie szarże, obejmujecie komendę. — Wy! I, jeżeli się tego spiszeć, możecie dalej awansować! A zresztą — nie święci garnki lepią. Dlaczego nie mielibyście jeszcze kiedyś, w spokojniejszych czasach, uzupełnić waszych wiadomości?

Tak rozmawiali sobie, idąc w głąb placu. Ochotnicy, którzy podążali za nimi, przysłuchiwali się tej rozmowie z wielkim szacunkiem. Zwłaszcza, gdy dowiedzieli się, że kapral Wąsik zdobył sobie szarżę, jak na prawdziwego ułana przystało, z szablą w garści, nabrali dla niego wielkiego respektu...

Powoli uspakajała się gorączka; zamęt i rejwach pierwszych godzin ucichał. Ochotnicy zostali rozmieszczeni w salach, podzieleni na plutony, wzięci niejako w ryzy wojskowe. Olbrzymia maszyneryja wojskowa poczęła ucierać kanciaste i chropowate indywidualności. Trudno byłoby powiedzieć, jak się to właściwie robiło. Ale robiło się, to grunt!

Po kilku dniach, spędzonych w koszarach, dyrektor banku niewiele już się różnił od słuchacza medycyny. Zacierają się różnice stanu, czy majątku. Wydobywała się natomiast istotna wartość ludzi. A więc, po pierwsze, ich charakter. Następnie, ich zalety towarzyskie, względnie, wady... Wszystko to okazywało się już przy pierwszej okazji. Widać było zaraz, który ochotnik będzie tchó-

rzył w ogniu, który zaś pójdzie odważnie naprzód, choćby mu miało stu djabłów skakać do oczu!...

I arystokracja gdzieś się podziała, i zadzieranie nosa, tak częste, niestety, w polskim życiu... Siedział sobie dziedzic obok fornala i wsuwał zupę, aż mu się uszy trzęsły.

Oburzyłby się przedtem Jaśniewielmożny, gdyby mu kazano jeść ze służącym jedną łyżką... Ale cóż? Wojna, to nie bał... Koszary — nie salon... Fornal, przezorniejszy od dziedzica, miał ze sobą łyżkę cynową, dobrą do noszenia za cholewą, a dziedzic o łyżce zapomniał... Więc się wspomagali wzajemnie. I zaczynała się rychło wytwarzać rzecz ważna, silniej wiążąca ludzi, niż najmocniejszy klej: Koleżeństwo! Spróbował był któryś z ochotników, który w cywilu ogromnie się puszył, traktować z góry ochotników z warsztatu. Ale dostał od nich tęgą odprawę, a na sam koniec narwał się na Potockiego... Ten przymrużył swe jasnoblękitne oczy, okraślił usta niewinnym uśmieszkiem — i zaczął pucować swą ofiarę z okrutną ironją, nic a nic nie folgując...

— Proszę?... Pan Hrabia niezadowolony z woj-ska? Panu Hrabiemu śmierdzi kolega szewc, bo szewc? A potrafi też Pan Hrabia buty podzelo-wać? Nie potrafi! A potrafi zacna osoba portki so-bie załatać? Nie potrafi! A widzi Wasza Wspania-łość, że kolega szewc to wszystko sobie sam robi... Aha! A jak co przyjdzie do czego to powiem Panu Hrabiemu, że tamten ochotnik mi się więcej widzi, bo jest chłop, jak się należy... A jegomość ma nóżki, tak u komara i jak wypadnie nogować, to go pewnie

bolszewicy zaraz zdybia, bo na tych piszczałkach nie ucieknie... A koń Waszą osobę pewnie zrzuci, bo nawet szenkli nie widać, którymiby mógł Pan Hrabia szkapę obłapić...

Tak się pastwił cięty ułan nad swą ofiarą, aż musiał niefortunny arystokrata prosić o pardon...

Paru takich panków przerobiono w mig na dobrych żołnierzy i zacnych kolegów. Jeden, który się ani rusz swych fumów pozbyć nie umiał, zniknął ze szwadronu, jak kamfora. Dano mu do zrozumienia, że lepiej będzie, jeżeli go „Ciocia“ zadekuję w jakim biurze, albo kancelarji...

Poszedł, jak zmyty, nawet konia mu nie pozwolili obejrzeć, którego ze sobą przyprowadził.

— Tę gniadą kobyłę, którą pan ze sobą wziął, dostanie pan po wojnie — oświadczył krótko porucznik Dziarski: — Klacz doskonała, jedyna na front. A pan, jak słyszymy, jeszcze się nie zdecydował, czy do Rachunkowości wojskowej pójdzie, czy też do Propagandy, do biurka... Ani tu, ani tam, oczywiście, nie będzie pan jeździł konno...

Gdy relegowany próbował coś replikować i zająknął się o... odszkodowaniu — usłyszał grzmiące:

— Nie gadać!

Zaczem, ujrzał... tył pana porucznika Dziarskiego i po tem poznał, że rozmowa ich jest definitywnie skończona...

.
Znakomita większość jednak, prawie wszyscy, ochotnicy, zapisujący się do kawalerji, byli to chłopcy na schwał, prości i szczerzy, pełni animuszu i

dobrej woli. Wiedzieli dobrze, że potrzebnego wyćwiczenia tak prędko nie nabędą, że trzeba będzie nadrabiać gorliwością, aby zasłużyć na zaszczytne miano polskiego żołnierza. To też sprawowali się tak dobrze, że zasłużyli sobie na pochwałę.

Udzielili im tej pochwały, w porządku służbowym: Wąsik, kaprał, Biernacki, plutonowy, Biliński, wachmistrz, Kostrzewa, wachmistrz-szef, gospodarz szwadronu, albo, jak go nazywali „Gazda“... A potem, znaczne szarże oficerskie: podchorążowie Baran i Komorowski, porucznik Dziarski, dowódzca szwadronu zapasowego — a na samym końcu — rotmistrz Ryś, dowódzca kadry.

Uciecha była wielka. Jeżeli przedtem ochotnicy palili się do służby, przyłożyli się do niej teraz w dwójnasób.

Konie lśniły się, jak gdyby je okrył czystym jedwabiem; na maneż przychodziły plutony regularnie i nikt się sianem nie wykręcał, chociaż wiedział, że jak przyjdzie skakać na konia bez strzemion, napewno nieraz stłucze sobie... rodzinę (jak mawiano) — albo utytła się w piachu...

Dodawał bodźca ochotnikom inny jeszcze wzgląd: chociaż nie wiedzieli, kiedy im wypadnie odmaszerować na front, przeczuwali, że chwila ta jest bardzo bliska... Wszystko trzeba było robić w przyśpieszonym tempie... Uczyć się zażywania konia, robienia szabłą, strzelania, musztry...

Po skupionych spojrzeniach oficerów, które szwadron czuł na sobie podczas ćwiczeń, po wzmożonym tempie przygotowań — należało się spodziewać rychłego wymarszu na front.

O niczem też innem nie mówili ze sobą ochotnicy, gdy w rzadkich chwilach, wolnych od służby, leżeli w cieniu wysokich lip, rosnących koło strzelnicy, albo przechadzali się w obrębie koszar: wychodzić na miasto było wolno jedynie za specjalnem zezwoleniem rotmistrza Rysia... Szwadron znajdował się w ostrem pogotowiu...

.

W czasie tym dostał Stasiek Wąsik list z frontu, od kaprała Dzierżyńskiego, z plutonu.

List, jak list...

Skąpe zawierał wiadomości, zaledwie kilka zdań, skreślonych ołówkiem, niewprawną ręką.

Ale uderzył Staśka, jak grom, przypisek do tego listu, prawie zamazany, umieszczony na odwrotnej stronie ćwiartki papieru... Nie zauważył go, aż w ostatniej chwili... „Jeżeli te ochotniki rychło nie przyjdą na front — pisał Dzierżyński — już się nie na wiele zdadzą, bo będzie po wszystkim“...

— Jakto, po wszystkim?... — Jakto?

Poszedł tego wieczoru Wąsik do porucznika Dziarskiego i miał z nim długą rozmowę. Dowiedział się wtedy całej prawdy. Tego, o czem gazety wiedziały, i tego o czem nie wiedziały, albo, choć i wiedziały, to nie pisały...

— Widzicie, Wąsik — mówił do Staśka porucznik Dziarski, przechadzając się po swoim pokoju wielkim krokiem: — Powierzyłem Wam wielką tajemnicę. Wierzę, że potraficie milczeć, dlatego byłem z Wami szczery... Nie możemy się łudzić! Jesteśmy o krok od klęski: jeżeli nas ochotnicy zawio-

da, wypadnie się poddać! Wojsko jest do cna zmordowane i zniechęcone...

Przystanął i patrzył przez otwarte okno w noc. Podjął po chwili:

— Cały sęk jest w tem, że żaden prorok nie potrafi przewidzieć, jak się ci nasi nowi żołnierze będą bili?... Owszem, widzimy ich zapał, szanujemy ich ogień — ale jakąż mamy rękojmię, że ten ogień nie zgaśnie, gdy się zetkną z kolegami na froncie?

Wąsik milczał.

Porucznik mówił, posępny:

— To, co Wam pisze w dwóch wierszach Wasz kolega, kapral Dzierżyński, dobry, jak mówicie, żołnierz — zgadza się z prawdą... I my o tem wiemy! Tak jest! Front się oddawna kruszył — teraz zaczyna się łamać!

Porucznik Dziarski przeszedł się znowu po pokoju. Stał przed Staśkiem...

— Sytuacya musi się zdecydować w przeciągu kilku najbliższych tygodni! Albo wóz, albo przewóz... Albo oni, albo my!...

Znów zapanowało milczenie. Odezwał się wreszcie Stasiek, do cna ogłuszony temi wiadomościami:

— Widzę, że i Pan Porucznik zwątpił?

— Nie, nie zwątpiłem — odpowiedział porucznik Dziarski — tylko biorę rzeczy, tak, jak się one przedstawiają naprawdę. A gdy mówię o poddaniu się — (tu zaciął zęby i przełknął coś z trudem) — myślę, że nastąpić ono może, ale nie prędzej, zanim nas, starych żołnierzy, wybiją, co do nogi... Tak,

jak wybili Waszych kolegów z pierwszego szwadronu...

Staśkowi zrobiło się w oczach ciemno. Spojrzał w oczy porucznikowi Dziarskiemu i zapytał, całkiem nieswoim głosem:

— Wy-bi-li... moich... kolegów?...

— Ano, tak. — Nie wiecie jeszcze?

— Nie...

Wtedy porucznik Dziarski wyjął z kieszeni munduru jakąś kartkę i zaczął z niej czytać nazwiska...

— „W boju 20. lipca, z pierwszego szwadronu N-go pułku ułanów, polegli: dowódzca pierwszego plutonu, Kołuba...”.

— Jezus Maria!

— „Dowódzca drugiego plutonu, Janowicz...”.

— Janowicz?! Porucznik?

— „Szeregowcy...”.

I zaczął porucznik Dziarski czytać spis nazwisk poległych ułanów... Boże kochany a toż bezmała trzecia część szwadronu poszła do ziemi!...

Zastłonił sobie Stasiek oczy ręką, płacząc serdecznymi łzami... Osobliwie żałował swego porucznika Kołuby i pocziwego Bryły, z którym jeszcze tak niedawno jechał w jednej trójce... Zginęli! Mój Boże! Zginęli!...

— Ale jakże się to stało?

Porucznik Dziarski zwiesił głowę. Opowiedział dopiero po chwili:

— Jak się stało, nie wiemy, bo meldunek o bitwie przyszedł dopiero dziś, popołudniu a sama bitwa miała miejsce wczoraj, między 9 a 10 rano... Ty-
le tylko wiem, że szwadron musiał szarżować bol-

szewików, którzy byli znacznie silniejsi liczbą, przytem mieli podobno kilka karabinów maszynowych...

— A rotmistrz Zawadzki?

— Żyje.

— A reszta?...

— Wszyscy zdrowi. Porucznik Abramowicz lekko kontuzjowany.

— To może i Dzierżyński nie żyje?...

— Uspokójcie się, żyje. Przeczytałem Wam kompletną listę strat...

— Widać, Panie Poruczniku, pisał kaprał Dzierżyński ten list na krótko przed bitwą?...

— Oczywiście. Inaczej przecież byłby Wam doniósł o wszystkim...

.....

Kiedy Wąsik wyszedł do porucznika Dziarskiego, był już spokojny. Oczy miał suche, krok twardy i pewny. Dokonała się w nim jakaś dziwna przemiana. Przedtem bił się z bolszewikami, ot, tak, jak się bije uczciwy żołnierz z barbarzyńcą: bez pardonu — ale też i bez nienawiści...

Teraz jednak zaczęło w duszy kaprała Wąsika dojrzewać nowe, obce mu dotychczas uczucie: pragnienie odwetu!

Odwetu za życie towarzyszy, którzy tam padli w boju, skoszeni przez bolszewickie maszynki... Odwetu za poniewierkę i tułaczkę własną... Odwetu za Polskę, stratowaną i złupioną, za hańbę odwrotu polskiej armji!...

Nie mówił nikomu o hiobowych nowinach z frontu. Zamknął w sobie wieść o zgonie mężnych

oficerów i kochanych kolegów. Tem-ci srożej piekło go uczucie żalu i gniewu!

— Kiedyż wreszcie wyruszą na front?

.

Aż przyszedł ten dzień, zupełnie niespodziewanie!

Zrana musztrował się szwadron, jak zwykle, potem rozdano ochotnikom chleb i wydano zupeł.

Po objedzie pokładli się ułani w cieniu, gdzie któren mógł, bo skwar był straszny.

Z nieba, lazurowego, bez jednej chmurki, lały się strugi słonecznych promieni. Warszawa poprostu omdlewała z gorąca. Nawet bliska Wisła nie dawała ochłody.

Zakurzone liście zwisały martwo na drzewach...

I nagle, rzekłbyś, jakby poruszeni tokiem elektrycznym, drgnęli żołnierze!

Od gmachu, mieszczącego kancelarje pułku, naprzelaj, przez wielki plac ćwiczeń, poczęli biedz na wyścigi podoficerowie, zwołując swoich ludzi...

— Pierwszy pluton — zbiórkaaa!

— Drugi pluton, zbiórkaaa!

— Trzeci —!

— Czwarty —!

Poderwali się ułani, skoczyli, jak kto stał.

Rozkazy spadły na nich, jak uderzenia gradu, coraz szybsze, częste.

— Sekcyjni!

Rozległ się dźwięczny baryton porucznika Dziarskiego:

— Dowódcy plutonów, do mnie!

Zakotłowało się w koszarach ochotników, zaroiło, jak w ulu.

Jedni biegli do magazynów mundurowych, uzupełniać braki w ekwipunku; inni — do cekhanu, po broń; jeszcze inni, do stajen.

Ukazał się niebawem na placu rotmistrz Ryś, w towarzystwie adjutanta, obadwaj konno.

Dowódza Kadry osadził swego huntera przed stajniami. Porucznik Dziarski i podchorążowie Baran i Komorowski podbiegli z raportem. A w stajniach grzmiał już wachmistrz-szeł, Kostrzewa, aż konie strzygły uszami i przysiadły na zadach...

— Siodłać konie!

Zrozumieli ochotnicy, że ten nagły alarm zwiastuje coś niezwykłego. Podbiegła do kaprała Wąsika garść ludzi z jego plutonu:

— Panie kapralu, co jest—?

Wtenczas Wąsik odetchnął głęboko i powiedział ochotnikom:

— Panowie. Idziemy na front.

W odpowiedzi na to rozległo się ogłuszające:

— Hurra!!!

Rotmistrz Ryś dał szenkłe swojemu ogierowi i przygalopował do stajni pierwszego plutonu.

Kapral Wąsik wyciągnął się, jak struna.

— Dlaczego pierwszy pluton wiwatuje, kapralu?

Wąsik zaraportował donośnie:

— Melduję posłusznie, panie rotmistrzu, to z radości, że idziemy na front!

Rotmistrz Ryś podkręcił wąsa.

II.

Hej, hej, ułani, malowane dzieci...

Mogło być około piątej po południu, kiedy szwadron, uszykowany do marszu, przyjechali żegnać generałowie i wyższe szarże wojskowe.

Upał zelżał, ale było jeszcze bardzo gorąco.

Nad ogromnym placem, na którym stał, rozwinęty w długą linię, oddział kawalerji, mżył drobny, sypki kurz.

I z kurzu tego wyjechał w pewnej chwili niewielki komunik, cały srebrny: Sztandar pułku z eskortą.

Ruszył, stępa, na środek placu i zatrzymał się nawprost ochotników.

Zakołysał się sztandar, rozwinął i powiał amaranthem...

Jednocześnie zagrzmiały srebrne trąby orkiestry. Wesoło, radośnie odezwał się w sercach Mazurek Dąbrowskiego...

Padła krótka komenda. Ułani odsłoniли głowy...

A gdy przebrzmiały ostatnie tony polskiego Hymnu, gdy odsalutowali ułani sztandar i wysłuchali króciutkiej, ale mocnej przemowy swego kapelana, zabłysnął jednocześnie krzyż, którym ich błogosławił ksiądz — i szabla, którą im podał znak wyprostowany w strzemionach dowódzca.

Zaczem, w okamgnieniu, sprawnie, jak gdyby służyli w wojsku nie dnie, a miesiące, sformowali się młodzi ułani w trójki i ruszyli wolno z placu, defilując mimo generalicji, mimo rotmistrza Rysia i oficerów kadrowych.

Wzbił się w powietrze wielki obłok kurzu i przesłonił wszystko: konie, ułanów, koszary, ulicę...

Z głuchym turkotem ruszył tren, za trenem kucnie i ambulans.

Niebawem zadźwięknął bruk od uderzeń setek podków; pył opadł; wyłoniły się, jakoby znienacka, trójki szwadronu i zagrały w słońcu ostrza ułańskich lanc... I szedł tak szwadron pod górę, stromą ulicą, prowadzącą do Aleji Ujazdowskich, zostawiając za sobą wspiętego do skoku rumaka Sobieskiego, Łazienki, Ogród Botaniczny, stare, odwieczne drzewa...

Kiedy wjechała w Aleje szpica szwadronu, powiał lekki wiatr. Załopotały wesoło białoamaryntowe proporczyki i konie zaczęły parskać, na dobrą wróżbę.

Więc ten i ów z ochotników, chociaż miał jeszcze serce ściśnięte smutkiem rozstania i nie wiedział, czy jeszcze zobaczy kochaną Warszawę, poprawiał się w siodle i rozglądał rażniej...

Wyległa cała Warszawa, żegnać swoich ułanów.

Starcy, okryci siwizną; mężczyźni w sile wieku, ale już bliscy jesiennych szronów: w przepaskach Straży Obywatelskiej; młodzież szkolna, której jeszcze zawcześnie było iść na front; dzieci...

I kobiety!

Drące, pomarszczone babcie, pamiętające może Powstanie... Kobiety młode... Dziewczęta...

— Hej, dziewczęta!...

Jak maki, jak chabry, jak stokrocie — istny kwietny łąk, roześmiana wiosna...

Wzdłuż chodników, po obu stronach szerokiej jezdni, nieprzerwanym sznurem, witały swoich chłopaków, powiewały chusteczkami, posyłały pocałunki od ust, rzucały kwiaty — i słowa tklive, gorące, jak pocałunki, śliczne, jak te kwiaty...

— Niech was Bóg prowadzi, ułani!

— Kochani, wracajcie do nas rychło!

— Niech żyją ułani!

— Dziękujemy wam, ochotnicy!

— Cześć!

Niejedne oczy dziewczęce tonęły w łzach. Z pod długich, wstydliwych rzęs, trzepocących się, jak motyle, spadały brylantowe rosy...

— Chłopcy!... Nasi chłopcy!...

I leciały za szwadronem uskrzydłone słowa, życzenia, błogosławieństwa, zaklęcia. Dokonywał się w oczach ludzkich cud: Naród, który się był zabłąkał na jakieś obce mu manowce — odnajdywał nareszcie swoją właściwą drogę — tą samą od stuleci — a przecież niezawodną! Wszystkie stany reprezentował ten ochotniczy szwadron, wyruszający na front — żegnały go też wszystkie stany!

Nie było w tej chwili wyzyskujących i wyzyskiwanych, panów i sług, bogatych i biednych. Wszyscy byli sobie równi: oddawali Ojczyźnie życie!

I, wobec wielkości tej ofiary, zniknęły nagie barjery, dzielące społeczeństwo polskie na szereg obozów. Okazało się, że w srogiej godzinie próby, gdy zagrożony jest byt Narodu, istnieje jeden tylko obóz: Obrońców Ojczyzny!

Tedy zdało się ludziom, że ta garść młodzieży ochotniczej, która idzie zasłonić swoimi piersiami Polskę — urasta w oczach, olbrzymieje, staje się wykładnikiem jakiejś wielkiej, elementarnej siły!...

Jakoż, tak było.

.
Stasiek Wąsik jechał w pierwszej trójce, na samym czele. Widział wszystko, jak gdyby, przez mgłę. Miasto, tłumy...

Miał kwiaty za czapką, kwiaty na lancy, kwiaty na piersiach.

Sierota, który nie pamiętał matczynej pieśczo-ty, — pierwszy raz w życiu doznał dziwnego uczucia...

Oto zdało mu się, że wśród tych starych kobiet, żegnających szwadron roztrzęsionymi rękami, czyniącymi nad czołami żołnierzy znak krzyża świętego — jest także jego matka... Żywa, choć od tylu lat śpiąca na śląskim cmentarzu...

A potem — zdało mu się, że między młodem i dziewczętami, posyłającymi ułanom gorące spojrzenia — jest ta, która może kiedyś będzie jego narzeczoną...

.
Szedł szwadron Alejami, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem.

W chwili, gdy zakręcali na Zjazd, koło pcnnika Króla Zygmunta, utworzył się istny zator. Ludność staromiejska i mieszkańcy Powiśla stali głowa przy głowie. Nie było gdzie szpilki wetknąć! Między dwoma szpałkami posuwał się teraz szwadron, ale

posuwał się tak powoli, że ledwo o kilka kroków w minutę podawały się naprzód trójki ułanów.

Entuzjazm ogarnął tłumy. Okrzyki i wiwaty huczały, jak burza. Leciały w górę czapki-maciejówki, meloniki, kapelusze...

I sypały się na żołnierzy kwiaty — istnym deszczem — skromne, ubogie kwiaty polne, bo ludność w tych dzielnicach mieszka niebogata.

Matki podnosiły do góry dzieci, wołając przez łązy:

— Patrzaj, malutki, to są polscy ułani!

Kleryk jakiś, tęgi i ogorzały, przepychał się przez tłum i krzyczał:

— Panowie! Rzucam seminarjum! Jestem chłopski syn — idę do wojska!

Kilku uczniów podawało żołnierzom tabliczki czekolady.

— Nie puszczają nas, ale pójdziemy na front, zobaczycie!

Rozdawano teraz zresztą coraz więcej paczek, paczuszek, słodyczy. Jakaś młoda panna, która biegła za ochotnikami od samej Agricoli, dawała raz-po-raz nurka w tłum i ukazywała się po pewnym czasie, niosąc coraz, to coś innego... Pierniki, cukierki, bułki, butelki lemoniady... Wtykała to pośpiesznie w ręce najbliższych ułanów — i znowu znikała, aby po chwili ukazać się koło innego szeregu...

Przekupki, które mają koło mostu swoje stragany, opróżniały je w okamgnieniu, rozdając wszystkim żołnierzom...

W pewnem miejscu, przed grupą dzieci, zapewne wnuków, a może nawet prawnuków, zobaczyli ochotnicy starszuszka w czapce weterana z 1863 roku..

Starowina prostował się, jak mógł — i salutował, salutował, salutował...

A drobiazg, naśladując weterana, przeżył się, przykładając palce do płowych czupryn i wołał, ile sił starczyło:

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje!!! — podchwytywali ułani, a za nimi tłum — i czuło się, że myśl o miłej Ojczyźnie, że miłość dla Niej — jest we wszystkich sercach, we wszystkich myślach, we wszystkich duszach!

Zbliżali się ułani do mostu. Tłok tu był największy. Przez most nie sposób się było przedostać: tylko środkiem jezdni, wąziutkim pasem, mogły się z największym trudem przeciskać szeregi kawalerji, strzemię przy strzemieniu...

Błękitem i stałą zabłysła przed ułanami Wisła.

Wtedy, z czoła szwadronu, zaintonował któryś z żołnierzy znaną piosenkę... I podchwycił ją cały szwadron, młodymi piersiami, aż się odbiło echo pod murami Warszawskiego Zamku...

— Hej, hej ułani, malowane dzieci...

Tak oto opuszczali ochotnicy Warszawę w dzień piękny, pogodny, w złoty dzień lipcowy...

III.

W ogniu.

Szosa biegła wysokim, białym nasypem, między olbrzymiemi przestrzeniami łąk i zagajnikami, kryjącymi niewinnie wyglądające — w rzeczy samej bardzo zdradliwe — moczary.

— Trudny teren dla kawalerji!

W miejscu, gdzie gościniec czynił nagły zakręt, w wilgotnych zaroślach, po lewej stronie wału, zapadł szwadron ochotniczy. Zaczaił się, skrył tak dobrze, że żaden obserwator bolszewicki, szpiegujący te strony, nie mógłby odkryć nawet śladu polskiej kawalerji...

Furczały rosyjskie aeroplany, idąc nieraz tak nisko, że ułanów aż ręka swędziła:

— Ej, posłać mu parę kulek z karabinów; Toć leci, bestja, tak nisko, aż człowieka djabli biorą...

Ale porucznik Dziarski zabronił surowo strzelać do nieprzyjacielskich lotników:

— Najprzód, bardzo wątpliwe, czyby się ich udało ściągnąć ogniem karabinowym...

Pozatem, niewolno im pokazywać miejsca naszego postoju!

Jak rozkaz, to rozkaz. Trzeba się było słuchać. Zdjęto nawet z lanc barwne proporczyki o barwach pułku.

— Zabardzo widoczne!

O jakie pół kilometra od biwaku ułanów płynął Bug. Jedyne most, jaki tu był, spalono onegdaj. Drewniane przesła jeszcze się dymiły...

Po tamtej stronie rzeki, wzdłuż brzegów, żółcił się miejscami świeżo wyrzucony piach. Wiedzieli ułani, że za temi kretowiskami kryją się okopy bolszewickie, gęsto natkane karabinami maszynowymi.

— Widzicie-no, panicze, jak się moskał morowo okopał — wykladał młodym żołnierzom starszy ułan, Potocki: — rozpaprali, psiekrwie, cały brzeg i kpią sobie z nas, bo wiedzą, że nie mamy artylerji...

Do ochotników mówił Potocki zawsze: „l'ami-cze“. Zato bolszewikach wyrażał się rozmaicie, zależnie od humoru. Gdy był w dobrym usposobieniu, padały gęsto epitety takie, jak: „Psiekrwie“, „Cholery“, „Kitaje“, „Gudłaje“, „Azjaty“...

Zato, kiedy się czegoś wściekł, używał całkiem niespodziewanych i bardzo nawet czułych zwrotów.

— Ancymonki dziś nie strzelają, bo to szabes, a w szabes Trocki im kazał świętować...

Niewiadomo dlaczego tytułował ich „Ancymonkami“?

Wogóle, słownik ułana Potockiego był niesłychanie bogaty i oryginalny. Codziennie wymyślał coś nowego. Że miał przytem werwę niepospolitą, wywoływał nieraz istny ryk w szwadronie. Śmiały się nawet szarże, bo humor warszawiaka miał w sobie istotnie coś zaraźliwego.

Wogóle, od chwili, gdy się szwadron dostał na front, zginęły gdzieś bez śladu troski i niepokoje, zmartwienia i zadumy. Ludzie czuli, że spełniają swój obowiązek, a o resztę nie potrzebują się kłopotać, bo od tego jest dowództwo.

— Niech się koń martwi, bo ma duży łeb! — filozofował ułan Potocki: — Ja tam jestem spokoj-

niy, że koniec końców nabijemy tych kawalerów w butelkę...

„Kawalerowie“ — to byli znów bolszewicy.

Potocki wysławiał się dnia tego niesłychanie grzecznie, bo był wściekły. W zupie nie znalazł ani kawałeczka mięsa, a przytem wyznaczono go na łącznika do sztabu, co nie było wcale przyjemne...

— Bagatela! Trząść się w taki skwar opętana milę do Sadowna, a potem z powrotem. poto tylko, żeby zameldować, komu należy, że... niema nic nowego do zameldowania!

Nie próżnowali zresztą i inni ułani. Każdy pluton posyłał swoich ludzi na patrole i wywiady, nieraz bardzo daleko. Dopraszali się w swoim czasie ochotnicy o „Dobrą szkołę“... Oj, mieli też szkołę, mieli!

Codzień musieli tłuc się konno po pięć, po sześć mil — a jak dobrze przyszło, to i więcej, bo na całym odcinku, który zajmowali, nie było, prócz nich, kawalerji ani na lekarstwo. Więc się szwadron dwoił, troił, mnożył...

Nie wiedzieli nic, co się dzieje na froncie. Od dnia wyjazdu z Warszawy ustały wszelkie wiadomości. Poczty nie otrzymywali. Może i lepiej, że byli tak odcięci od świata?...

Kapral Wąsik miał huk roboty. Przedewszystkiem, z powodu koni. Nie można powiedzieć, lubili ochotnicy swoje wierzchowce; niejeden przecież na własnym, ulubionym koniu zgłosił się do wojska — ale nie umieli ich jeszcze zażywać.

Co innego, jazda po cywilnemu, co innego służba w kawalerji. W cywilu miał niejednego stangreta, czy chłopaka, który mu konia karmił, poił, czyścił, siodłał. A tu trzeba było wszystko robić samemu. Przytem, niełatwa to była rzecz, dobrze osiodłać młodego, kapryśnego ogierka, albo nerwową klaczkę... Siodła miał szwadron „meksykańskie“ — pożal się, Boże, co to były za dziwne aparaty!... Z przodu łęk, z tyłu łęk, w środku dwie deszczki, między deszczkami jakowaś szpara, nibyto dla wentylacji... Puśliska, jak popręgi, a popręgi, jak trzepaczki... Wszystko ciężkie, niezgrabne i zupełnie niepodobne do zwykłej polskiej montury.

Paktasze, w których ułan na froncie wiezie cały swój dobytek, przylegały źle do łopatek końskich. Jedne zapinały się, inne nie zapinały... W jednych mogłeś pomieścić dwuletniego bębna, w innych ledwo — ledwo dopinał się kawał chleba, albo puszka z konserwami...

Przy tem wszystkiem wisały strzemiona, jak wrota, bez tulejek wprawdzie, tak, że lancę miałeś w gołej garści, ale szerokie na podziw...

Śmieli się ochotnicy:

— Ci meksykańscy albo w pantoflach jeżdżą, albo mają jakieś krowie kopyta...

Z innemi częściami rynsztunku, czy umundurowania było też nietęgo.

Najgorzej z bronią. Dostali ochotnicy na dworcu Wschodnim, gdy opuszczali Warszawę, wcale grzeczne karabiny, angielskiego modelu.

— Cóż? Kiedy te karabiny, dobre zapewne do walki w okopach, nie nadawały się zupełnie dla kawalerji!

Długie, jak lichy, ciężkie i nieporęczne, tłukły żołnierzom plecy podczas marszów, nabijały rany koło krzyżów, i nie było żadnego sposobu przystosować ich, jak należy. Wzięłeś je krótko — ścisnęły piersi i tamowały swobodę jeźdźca; wzięłeś długo — było jeszcze niewygodniej. Dobrze, póki jechało się stępa. Ale w kłusie, albo w galopie, biło to z tyłu, zamek wrzynał się w łopatki.

Ano, sprzedała Polsce Koalicja, co jej było wygodniej. Wybrakowane siodła, stare koce, nieodpowiednią broń...

Mówił Wąsik do swoich kolegów:

— Z lekkim Mauzerkiem nie sztuka, proszę Panów, galopować! Nie sztuka huścić się wygodnie na rosyjskiem, czy austriackiem kawaleryjskiem siodle! W tem cała rzecz, że skoro innych siodeł i innej broni nie mamy, musimy się do takiej przyzwyczaić. Przedewszystkiem zaś — musimy chronić nasze konie, jak źrenicę oka!

Ogorzał kapral Wąsik, zmęźniał. Puścił mu się wąs, leciuchno, nad górną wargą. — Był kawalerzysta, jakich mało, znać po nim było tyle lat frontu i wielkie doświadczenie bojowe. Dlatego nie śmiał nikt pisać ani słowa, gdy kapral Wąsik marszczył brwi i strofował surowo ułanów:

— Jak konia siodłacie? Czy tak was uczyłem kłaść koc? Przecież się Wam szkapa odparzy w pół godziny!

Skarcony ochotnik próbował się tłumaczyć, ale już Wąsik grzmiał na niego ostro:

— Cicho być! Nie gadać!

Widzieli ochotnicy, że Ślązak ma rację. Więc delikwent posłusznie zdejmował z konia koc, układał go na ziemi, starannie otrzepywał z siana, albo słomy, równał i dopiero wtenczas wkładał na grzbiet swojego wierzchowca, bacząc, aby przy siodłaniu nie utworzyła się jaka fałda, czy zmarszczka...

I tak się wkładali jakoś ochotnicy do służby, rozumiejąc, że od dobrego żołnierza wymaga się przede wszystkim staranności i posłuszeństwa. Zrównali się wszyscy. Jeszcze, póki byli w kadrze, można było czasem odróżnić dziedzica na stu włókach od parobczaka, albo dyrektora departamentu od kancelisty... Minęło to, jakby wszystkich ułanów pociągnął strychnulcem.

Chyba tylko po mowie można było poznać różnicę stanu, czy wykształcenia: pozatem po niczem.

Zgrubiały ludziom ręce, zarosły paznogie. Niegoleni, ogorzali, stali się do siebie niesłychanie podobni...

I wtedy dopiero zaczęło się z ochotników robić naprawdę — wojsko!

Jeździli teraz konno wyśmienicie. Przedtem, siadając na konia, rozglądał się ochotnik, trochę niepewnie:

— Czy aby karabin wisi za plecami, jak należy? Czy szabla nie będzie tłukła szkapy po bokach? Jak tam z tym paktaszami? Z ostrogami? Ze wszystkim?...

— A teraz?

— Hop! — Jednym susem siedzi młody ułan na koniu. Pasują do siebie, jak ułał. Szabla poręcznie przytroczona do siodła, amunicja na swoim miejscu,

nawet ten nieszczęsny karabin jakoś mniej trochę dokucza. Najgorzej było z lancami... Ale i lance się jakoś przyzwyczaiły do rąk ochotników — a może odwrotnie?...

Tak oto dobrzał szwadron ochotniczy, zupełnie, jak rola, kiedy się nią zaopiekuje biegły gospodarz. Im się żołnierz pewniej czuł na koniu, im się bardziej oswajał z orężem — tem goręcej pragnął spotkania z wrogiem.

.

Przyszło nareszcie to upragnione spotkanie.

Którejś nocy, gdy szwadron, zmęczony patrolową służbą, zabierał się do snu, zawołano podoficerów do dowódcy. Krótka trwała odprawa. Niebawem wszczął się ruch na biwaku. Kilku ludzi, którzy już zdążyli byli usnąć, postawiono na nogi tęgimi szturchańcami i niecierpliwymi okrzykami:

— Nuże, wstawać!...

Wszystko odbywało się dość cicho, rozkazy były wydawane półgłosem.

Ułani uporali się błyskawicznie z siodłaniem koni. Nie minęły dwa pacierze, a ciągnął się już pociemku, ku bielejącemu mglisto nasypowi szosy, długi sznur ludzi, prowadzących konie w rękę.

Wdrapali się po stromej szkarpie, porosłej gęstą trawą, klnąc ścicha, bo rosa była okrutna a trawy po pas, więc niejednemu nalało się za cholewy... Któryś z ułanów syknął boleśnie: wierzchowiec jego, poślizgnąwszy się, nadepnął mu na nogę całą podkwa...

Zaklął siarczyście wachmistrz:

— Któren tam znów psyka?

— To ja, panie wachmistrzu — rozległ się żaloszny głos ochotnika Grodnickiego, młodzieńckiego chłopca, który dla swego wieku i dziewczęcych rysów miał w szwadronie przydomek „Panienka”: — Lala mi wlażła na odcisk...

— Uuu, Lala — burczał wachmistrz: — Patrzcie go! Na odcisk! Jaki delikatny! Może Panience pedikiura potrzeba?

W mniemaniu pocziwego wachmistrza Bilińskiego byłby taki zabieg czemś wyraźnie hańbiącym...

Wgramolili się wreszcie na szosę: konie i ułani. Utykający porządnie Grodnicki zaczął sobie właśnie masować zgniecioną stopę, gdy rozległa się cicha komenda:

— Na koń!

Rozległ się suchy chrzęst skóry, brzęk ostróg — szwadron dosiadł koni.

Wachmistrz Biliński zrzędził:

— Pantałycz się ta cywilbanda, jak szewc na huśtawkę... Kiedyz, do ciężkiej cholery, nauczycie się pocichu siadać na konia?...

Widoczne było, że wymówki wachmistrza były niesłuszne i spowodowane niezadowoleniem z powodu przerwania mu smakowitego śpika. Szwadron dosiadał koni zupełnie sprawnie, czyniąc tyle właśnie hałasu, ile koniecznie trzeba. Czuli ułani, że ich wachmistrz ruga bez powodu, ale milczeli, bo już po paru dniach pobytu na froncie zorjentowali się, że szarża musi zrzędzić choćby dlatego, że — szarża!

A wachmistrz tymczasem zeskoczył z konia z niezwykłą w jego wieku lekkością — i mruczał:

— O, tak się skacze z siodła, — poczem, znów siadłszy na konia, zaczął:

— A tak się siada...

Ale w tejsamej chwili spotkała go zasłużona w tym wypadku kara. Porucznik Dziarski, który miał kozaczka, chodzącego skrocza, jak żaden koń w szwadronie, wyleciał raptem na Bilińskiego bokiem szosy, po darni, tak cicho, że nawet kamyk nie przysnął — i zatkał gadającemu gębę, bez wielkich ceremonij:

— Co mi tu wachmistrz za cyrk odstawia?

Stropił się Biliński, a ułani mimowoli parsknęli śmiechem.

Nim się jednak opamiętali, już zniknął wśród nocy dowódzca szwadronu, i tylko Lala, narwana, jak zawsze, przedreptywała przez jakiś czas na miejscu, rwąc się za porucznikowym kozakiem. Uspakajał ją młodziutki Grodnicki, dogadując cicho:

— No... No... Warjotka...

Klaczka parskała, niezadowolona, bo jej się strasznie chciało galopować.

Nachylił się do Panienki kapral Wąsik i nucił:

— Nigdy nie ściągajcie klaczy, bo mięciutka w pysku... O, tak, dobrze... Opuście całkiem mundszuk... W kolana klacz, w kolana...

Lala widać zrozumiała, że jej jeszcze biedz nie pora — a może przyszła do wniosku, że z szere-

gowym jeszcze jako-tako, ale z kapralem napewno nie wygra — bo istotnie, uspokoiła się odrazu.

.....
Drgnął wreszcie szwadron, poruszony rozkazem, danym pocichu, i poszedł naprzód stępą, potem truchtem, aż do końca szosy, do miejsca, gdzie wedle spalonego mostu, nad rzeką, stała w zaroślach ułańska pikiet.

Tam, mocno trzymając konie, ślizgające się na zadach, spuścili się ułani w dół, na łąkę, omijając ostrożnie bagniste pła, otaczające biwak od strony rzeki.

Ciemno było, choć oko wykol. Z trudem można było rozpoznać jeźdźców, przesuwających się wśród nocy — i to dopiero z odległości paru kroków. Zresztą, wszędzie panował mrok. Na niebie nie było ani jednej gwiazdy...

Po jakimś kwadransie marszu poczuli ułani, że grunt staje się coraz twardszy, piaszczysty. Jednocześnie poczuli chłodny powiew. Tuż, blisko, usłyszeli plusk fali rzecznej...

Ten i ów uczynił nieznacznie znak krzyża:

— Pójdą wpływ przez Bug!

.....
Z niesamowitem uczuciem wjeżdżał Wasik do wody. Kuł się nie bał, nie bał najgorszego nawet ognia... — Bał się rzeki!

Od czasu owej niebezpiecznej przeprawy przed rokiem, opanowywał Wąsika jakiś lęk, gdy musiał przebywać konno strugi, albo rzeczki. Szczęśliwie zdarzyło się dotychczas, że poważniejszych przepraw nie miał...

Tym razem było gorzej, znacznie gorzej!

Zaciął zęby, nateżył całą wolę, żeby przemódz niemięski strach... Cóż, kiedy to niezdolne uczucie nie ustępowało!

Woda pluskała naokoło, szmer fali rzecznej stawał się coraz głośniejszy: Wąsik przeczuwał, że niedługo zapewne wypadnie płynąć, bo koń jego brodził już po kolana w wodzie...

Uderzyły na jeźdźca zimne poty. Wzdłuż krzyża przebiegł niezdolny dreszcz...

— Och, zawrócić, zawrócić czempędzej, póki jeszcze czas!...

Opamiętał się.

— Co? Uciekać? Onby miał uciekać? Kaprał Wąsik? — Przenigdy!

Puścił koniowi cugle zupełnie luźno, przypomniawszy sobie, że koń musi mieć swobodę ruchów... Ścisnął zato swojego kasztana kolanami, a prawą ręką, na wszelki wypadek, uchwycił się grzywy...

Był też najwyższy czas, bo koń, poczuwszy pod kopytami głębie, zebrał się w sobie i dał naraz szczupaka, któryby mniej wprawnego jeźdźca na pewno wysadził z siodła...

Zapadł się Wąsik razem z koniem w rwący nurt, zanurzył w wodzie prawie po pierś. Była sekunda, w której się już zdawało, że koń i jeździec znikną w czarnej rzece! Ale fala wypchnęła ich znów do góry, a w tej samej chwili zestraszony kasztan, widząc odzyskawszy równowagę, wiedziony doskonałym instynktem, zaczął płynąć, jak należy, pracując dzielnie, niczem maszyna...

Oprzytomniał nasz ślązak, odetchnął głęboko. Nabrał zaufania do swojego wierzchowca, choć próbę taką przechodził z nim po raz pierwszy. Starał się tylko nie przeszkadzać płynącemu koniowi, wiedząc, że jeżeliby się kasztanek zmęczył, żadna ludzka pomoc nie uratowałaby go od pewnej śmierci...

Nie wiedział Wąsik, jak długo płynęli — może minutę, może kwadrans? — ale w pewnym momencie, poczuł, że dzielny jego wierzchowiec próbuje już gruntować, mimo, że woda jeszcze głęboka, a prąd pcha z całej siły na głębiej...

Dał ostrogę koniowi. Kasztan skoczył raz, skoczył drugi, roztrącając z pluskiem fale — aż wydobyli się na mieliznę, po której rzeka ślizgała się obłudnie, udając niewiniątko...

Tu przystanęli. Dał się jeździec wysapać koniowi. Bystry Bug toczył się i tutaj wartką falą, chlupocąc o kopyta końskie. Zdawało się Wąsikowi, że mielizna, zalana wodą, coraz głębiej uchodzi pod nogi końskie: tak też było w istocie.

Niewiele zatem myśląc, dotknął ponownie ostrogami boków konia:

— Co ma być, to będzie...

Na szczęście, oddzielał ich od brzegu wązki tylko zalew. Przebyli go w mig. Nawet ani razu nie sięgnęło kasztankowi do piersi...

Kiedy Wąsik stanął na twardym gruncie, zdjął czapkę z głowy i przeciągnął dłonią po włosach... Były złane potem.

Nabrał tchu w piersi, opatrzył broń, spróbował szabli w pochwie — czy miękko chodzi... Wszystko w porządku!

.

Mimo trudności nocnej przeprawy, znalazł się cały szwadron w komplecie. Dwóch ułanów zniosło wprawdzie prądem nieco dalej, ale, że mieli doskonałe konie jakoś sobie dali radę, choć wypadło im lądować w fatalnem miejscu: prosto, na sztych, pod stromem piaszczystem uwrociem...

— Kto ma wisieć, nie utonie — zawyrokował ułan Potocki.

Prychały teraz konie i parskwały, otrząsając się z wody, jak wyżyły po polowaniu. Porucznik Dziarski dał wytchnąć ludziom i koniom, ale niedługo. Ledwo bowiem doliczył się ułanów i skonstatował, że nie brak nikogo, już też i skomenderował stłumionym głosem:

— Szwadron — za mną!

Ruszyli w głębokich ciemnościach, zrazu brzegiem, potem, naprzelaj, jakiemiś ugorami. Prowadził ich porucznik tak pewnie, jakby to był jasny dzień, nie noc!

Potocki przysunął się ukradkiem do trójki, w której jechał kapral Wąsik i zaczął szeptać, pełen podziwu:

— Ale ten prowadzi, bo prowadzi!... Oczy na loterji wygrał, czy jak? Uważcie, nic a nic się nie rozgląda, tylko prze prościutko, jakby jechał po Krakowskiem Przedmieściu... To ci morus, ten nasz Dziarski, co?

Dziwili się wszyscy, skąd ich dowódzca tak dobrze zna te strony, ale zagadka rychło się wydała. Usłyszeli ułani z pierwszego szeregu, jak porucznik mówił do wachmistrza Bilińskiego:

— ...Każdy kamień tu znam. Przecież jesteście na terytorjum mojego majątku!...

Gdy się dowiedzieli o tem ochotnicy, wstąpił w nich jeszcze lepszy duch. Oczywiście, że wierzyli i tak w swojego dowódcę i byliby za nim poszli ślepo, gdzie trzeba — aleć to zawsze lepiej wiedzieć, że się porusza po terenie doskonale znanym! Jechali pocichutku z jakie pół godziny, aż dojechali do jakiegoś lasu.

Tu porucznik Dziarski wezwał do siebie podchorążych na krótką odprawę, poczem rozdzielił ludzi: pierwszy i drugi pluton wziął ze sobą, a trzeciemu i czwartemu, pod dowództwem podchorążych Komorowskiego i Barana, kazał iść prosto, leśną drogą aż do opłotków.

Dyspozycja była jasna i zrozumiała. Podoficerowie objaśniali szeptem ułanów:

— Za lasem jest majątek, a w tym majątku, który należy do Dziarskich, ma stać sztab bolszewicki. Uderzymy na nich znienacka, z dwóch stron...

— A jak się spostrzegą? — zapytał nagle ochotnik Pyra, chłop mocny i do konia zdatny, ale najgłupszy ponoć w szwadronie.

Musiał usłyszeć to pytanie Potocki, który miał uszy w dziesięciu naraz miejscach, bo odwrócił się z konia i szepnął do Pyry:

— Jak się spostrzegą, to cię poproszą, żebyś ich pocałował w...

Na dłuższy djałog nie było czasu. Więc tylko na odjezdnym Potocki parę razy stuknął się palcem w czoło, a potem wskazał na niefortunnego Pyrę.

— Będzie rabinem, jak mamę Kocham!

Począł porucznik Dziarski, aż się skryli w lesie ostatni ludzie z drugiego oddziału, spojrzał na zegarek, który miał na ręku. poczem skomenderował:

— Ry—siał marsz!

Ostro ruszyli z miejsca. Porucznik miarkował tempo, spoglądając raz po razie na zegarek. Konie szły równo.

Wreszcie, gdy znaleźli się u jakichś rozstajnych dróg, usłyszeli:

— Stać!

Stanęli.

Porucznik wskazał na lewo:

— Chłopcy. O kwadrans stąd są bolszewicy. Niczego się nie spodziewają! Jechać jaknajciszej... Żeby mi, Boże broń, żaden pary z ust — —

Urwał. Nasłuchiwał.

Wszystko było ciche. Noc, czarna, jak atrament, las, pola... Nawet wiatr nie wiał... Ułanom waliły serca, że mało piersi nie rozsadziły... Krew pulsowała w skroniach. — Porucznik skomenderował:

— Stępa!

Czas jakiś jechali krokiem, cicho, jak duchy. Minęli kępę jakichś drzew. W oddali zamajaczyło coś — jakby dachy — —

Raptem zaszczekał blisko pies.

— Za mną — marsz!

Podawali się z miejsca tęgim klusem. Rozumieli, że tu już hałas nic nie znaczy!

Więcej — szybkość!

Porucznik wyrwał szablę z pochwy.

— Do ataku — broń! Cugle — skróć! — Marsz

— marsz!

— Ostrogi — —

Zamigotały blisko błędne światła — —

I rozległ się ogłuszający krzyk:

— Hurra!!!

Trzasnęły strzały karabinowe. Dwa. Jeden po drugim. Potem — znowu dwa. Potem jeden.

Tentent!

— Hurra!!! Hurra!!! Hurra!!!

Strzały, coraz częstsze Krzyki...

— Bij!

Strzelanina, bezładna, gorączkowa...

Wpadli na wielki dziedziniec folwarczny, jak burza. Jacyś czarni ludzie biegli na ich spotkanie —

— Błysk —

Bzzzyt — przeleciała blisko kula...

Bzzzyt — druga — trzecia — czwarta — piąta..

— Hurra!!!

Jakiś człowiek w skórzanej kurcie wołał straszliwym głosem:

— Ko mnie, towarzyszy, ko mnie!

Huk.

Człowiek w skórzanej kurcie zwał się, jak długi...

Chrzęst.

Porucznik Dziarski przejechał szablą uciekającego olbrzyma. Olbrzym runął nawznak...

— Hospodi!

Błysk... Jeszcze błysk... Jęk...

Gdzieś, z krzaków, rosnących pod murowanym gankiem, padła salwa...

Spiął się koń ułański, zachrapał, zarył nozdrzami w piach...

— Bij!

Wąsik palnął naodlew jakiegoś kozaka. Innemu podbił karabin. Strzał trzasnął w gałęzie lip...

Głuchy łomot ciała...

Tentent!

Zdała, z drugiego końca wsi...

— Hurra!!!

.....

Jadowicie, uporczywie, zaszczeakał wśród nocy karabin maszynowy. Siekł w pustą, ciemną ulicę... aż nagle umilkł!

Tryumfalny wrzask... Inny, nieludzki wrzask: mordowanych ludzi.. Cisza.

Jeszcze pojedyncze strzały... coraz rzadsze... tupot butów, gonitwa... dalekie błyski, ognie... znowu cisza.

.....

A noc, głucha, czarna noc przechadzała się po-lem...

Zagładała w twarze umarłych, ścierała z nich krzepnącą krew i szła dalej... z zamkniętymi oczyma...

.....

Wczesnym rankiem wracał szwadron przez Bug, brodem, prowadząc ze sobą zdobyte bolszewickie taczanki, sześć karabinów maszynowych, kilkanaście koni i kilku jeńców.

Sztab wycięto.

Cześć kozaków uszła, kilkunastu zostało na placu.

Z oddziału piechoty, rozkwaterowanego we wsi, uratowało się zaledwie czterech.

I ci czterej jechali teraz na swoich taczankach, pomagając gorliwie ułanom przy przeprawianiu maszyny i wozów.

Twarze bolszewików były szare, jak ziemia.

Szare były i twarze ułanów, mimo, że w oczach paliła się jeszcze dogasająca łuna zwycięstwa...

Szwadron nie miał strat. Zginął tylko jeden, jedyny koń, zabity karabinową salwą.

.
Wąsik jechał tuż za porucznikiem Dziarskim. Czuł olbrzymie znużenie. Więcej nic.

IV.

Niespodzianka.

Dwa dni odpoczywał szwadron po tak fortunnej wyprawie. Trzeciego — przyrzedł rozkaz wyłuskania z okolicznych lasów i zarośli bolszewickich podjazdów, które, jak wynikało z informacji, posiadanych przez polski sztab, myszkowały pomiędzy Wyszkowem a Brokiem.

Zanosilo się na coś poważnego. — Na co mianowicie? — Nie wiedzieli nasi ułani, ale czuli, że rozstrzygający moment jest bliski...

Wskazywały na to zresztą rozmaite oznaki, po których żołnierz na froncie orjentuje się niejako instynktem: Wpadł na miejsce postoju jakiś generał,

nie wysiadł nawet z auta, tylko porozumiał się z porucznikiem Dziarskim w trzech słowach, zawrócił, zatrąbił, zakurzył — i zniknął na zakręcie szosy... W pół godziny później rozległ się tentent od strony miasteczka Sadowna... Przycwałował nieduży oddział na zmydlonych koniach — patrol oficerski.

Pogadali z dowódcą ochotniczego szwadronu, uściśli mu rękę — i pojechali z powrotem.

Poszły małe patrole ułańskie na wszystkie strony. Pozaszywały się w lasach, pogrzęzły w nadrzecznych błotkach, zapadły w wązkich duchtach...

Zapadająca noc zebrała ich z powrotem na dawnym biwaku, pod wałem szosy, ale nie wszystkich: cały prawie czwarty pluton — i kilku ludzi z pierwszego plutonu chodziło gdzieś stronami...

Wrócili zaledwie o świcie, okrutnie zdrożeni, ale popasali tylko godzinę...

Tyle, że konie przegryzły trochę owsa, który furażer wywojował z największym trudem w oddalonej wsi.

Nadeszła niebawem jakaś piechota, zakurzona i senna. Dowodzący nią kapitan poszedł się witać z dowódcą ochotniczego szwadronu, popatrując z wielką ciekawością na młodych ułanów. Widać było, że okrutnie go interesuje te wojsko, o którym już zaczynało być głośno na froncie...

Okopała się piechota nad samiutkim Bugiem, nawprost miasteczka Brok, koło spalonego mostu.

Robiono na ten temat różne uszczypliwe uwagi w szwadronie.

— Swój do swego po swoje... Gdzieby zaś mogła leżeć piechota, jak nie wedle mostu?...

Czyniono przez to aluzję do powszechnej w owych czasach mańji palenia...

— Uważajcie tylko! — uśmiechał się Potocki: — jak tym nieborakom miny zrzedły, kiedy spostrzegli, że ten ważny wijadukt skopcili już przed nimi inni kominiarze...

Teraz, to chyba nie będą wiedzieli, jak usiąść...

Ale nie było czasu na żarty i drwiny, bo dano ułanom rozkaz — i cały szwadron siadł na koń.

Widocznie miał porucznik Dziarski dobre wiadomości, i głowę nie od parady — zaledwie bowiem ujechali kilkaset kroków, huknęło coś za nimi, trzasło, jęknęło — i posypały się gałązki z drzew, pod którymi stali przed chwilą.

— Oho!... — Granat?

Zanim jednak ochłonęli ułani z pierwszego wrażenia, rozległ się za nimi nowy huk, jeszcze bardziej ogłuszający, a zaraz potem wzbił się do góry gęsty obłok dymu, czarnego, jak sadze.

— Teraz, to już napewno granat!

Zaśmiał się wesoło Wąsik i poklepał po ramieniu małego Grodnickiego.

— A co? Morowo służyć pod takim dowódcą!

— Niech-no Panienka powie: ma nosa nasz porucznik — czy niema?

Młodziutki ułan zaczerwienił się, bo pierwszy raz znalazł się w ogniu artylerji i okropnie się bał. żeby go nie wzięli na języki... Ale nikt o nim w tej chwili nie myślał. Wszyscy patrzyli z podziwem na porucznika Dziarskiego. A porucznik, jakby ni-

gdy nic, pogwizdywał tylko wesoło i oglądał się raz-po-raz za siebie, na olszynkę, z której tak w porę wyprowadził swoich chłopaków...

— Ej, mieli widać bolszewicy dokładną informację, mieli... Tylko, że się spóźnili o parę minut. niebożęta!...

Prały teraz pociski w opuszczony przez ułanów zagaj, tak celnie, aż podziw brał! Pękały nad olszynką szrapnele, biły w nią ciężkie obusy...

Potocki nie posiadał się z radości!

— Jakem golec, bracia moi, dałbym przedwojennego rubla, żeby tylko widzieć ich głupie gęby, jak się dowiedzą, że strzelali po próżnicy... To ci szopa! Walą do pustego lasu, myśląc, że z nas zrobią bigos, a my tymczasem mamy teatr, że ha!...

Cofnął jednak porucznik swoich ułanów jeszcze dalej, bo artylerja bolszewicka zaczęła teraz strzelać na chybił-trafił, macając szrapnelami po całej szosie. Odjechali więc żołnierze dobry kilometr w bok, i dopiero tam, wśród rzadkiego sosnowego boru, na wzgórku, pozsiadali z koni.

Słońce przygrzewało; od suchego piachu pagórka, porośłego wrzosem bił upał... Pomieszały się zwykzne i miodowe wonie, że pachniał cały bór, jak wielka kadzielnica...

Z przedpoła, od Broku, słysząc było gęste bicie artylerji, ściszone w tem miejscu przez ścianę wysokich sosen.

Trwała tak kanonada blisko godzinę, aż ucichła...

Ułanom pozwolono palić, więc zaczęli sięgać chłopcy do paktaszy i kieszeni, śpiesząc się bardzo.

— A nuż rzuć ich znowu na koń i papierosa trzeba będzie schować na później?...

Zaciągali się z lubością, głębokimi haustami, bo spragniem byli bardzo paliwa.

Porucznik pozwolił popuścić koniom popręgi.

Siedział na pniaku, z ręką, opartą na łęku siodła i gwarzył z ochotnikami.

— No. Wąsik, jakże się czujecie? — zwrócił się w pewnej chwili do naszego ślázaka:

— Zdaje mi się, żeście w ostatnich czasach trochę przychudli?

— Eee, chyba nie, panie poruczniku...

— Zdrowiście?

— Tak jest!

Porucznik spojrzał z upodobaniem na dzielnego kaprała.

— Brawo. To mi się podoba! — Na wozie, czy pod wozem — ułan zawsze powinien trzymać się ostro...

Zgrupowali się dookoła swego dowódcy inni ułani, radzi, że mogą z nim chwilkę spokojnie porozmawiać. Porucznika Dziarskiego lubili wszyscy!

I radzili tak sobie, o różnych sprawach, które ich interesowały, najwięcej zaś o losach tej dziwnej wojny...

— Panie Poruczniku — zapytał nieśmiało Grodnicki: — Czy już będziemy szli naprzód?

Zmarszczył brwi porucznik, pomilczał, wreszcie podniósł głowę i odpowiedział z namysłem:

— Zdaje mi się, że jeszcze nie...

Podniosły się zaraz różne głosy. Posypały się zapytania...

Porucznik zaczął mówić dobitnie:

— Brałem już nieraz udział w wielkich ofensywach, musiałem się też cofać — zwyczajnie, jak to bywa na wojnie! Ale to Wam jedno powiem, chłopcy, że przed każdym walniejszym natarciem miałem jakiegoś osobliwego czuja... Uważacie, jakby taki osobliwy zapach szedł po froncie... — Jeszcze nic nie czuję!

Grodnicki aż zmienił się na twarzy ze wzruszenia:

— Kiedyż więc, Panie Poruczniku...

Uśmiechnął się zapytany... Jak temu dzieciakowi pilno zwyciężyć!...

— Już Was korci?

— No, przecie!... Stoimy tu bezmała dwa tygodnie, trzymamy się, zdaje się, nieźle, natłukliśmy przed trzema dniami bolszewików, jak grochu.

— Widzicie, Grodnicki, nie wystarczy na wojnie być odważnym. Trzeba też umieć być cierpliwym! Gdyby nasza armja umiała znosić równie dobrze okresy niepowodzenia, jak umie iść na nieprzyjaciela w chwilach porywu, nie byłoby się nasze wojsko zdemoralizowało... Nie stalibyśmy nad Bugiem, tylko pewnie nad Dnieprem! W tem jest cała mądrość teraźniejszej wojny, że wyrabia się w niej nasz charakter narodowy — czy nie?

Ochotnicy zaczęli potakiwać.

— Ot, widzicie — mówił porucznik: — mają Anglicy kapitalne określenie: „Moral insanity“... — To się na język polski nieda zupełnie ściśle przetłumaczyć...

— Rozumiemy, Panie Poruczniku!

— Właśnie... Zatem... zastanówcie się nad jednym: poto, żeby się dokonał wielki zwrot, poto, żeby w sercach żołnierzy obudził się znów zapal wojenny, trzeba, żeby mocna, męska wola — nie chwilowy poryw! — wypaliła docna zarazki i bak-cyle...

Wtedy się polskie wojsko naprawdę stanie zdolnem do czynu! Tymczasem — jedno nam powinno przyświecać hasło: — Wytrwać!

Po krótkiej pauzie dodał jeszcze porucznik:

— Społeczeństwo świętowało, podczas, gdy żołnierz się bił: trzeba teraz, żeby z kolei i społeczeństwo stanęło do apelu... Wy jesteście może awangardą najmłodszej, patriotycznej Polski — ale za awangardą musi iść — armja! Miejmy nadzieję, że od czasu Waszego wymarszu z Warszawy dużo się zmieniło na lepsze... Że nie jednostki — ale szerokie masy zaciągają się do szeregów... W każdym razie wierzę, że chwila zwycięstwa już jest bliska!

Zakonkludował nagle Potocki:

— W tem rzecz, żeby nie było cykorji i żeby wszystkie łaziki od Lours'a poszły na front! Wtedy im damy radę w try migi...

— Ha, ha, ha!...

Uśmiechnął się pod wąsem porucznik Dziarski, poklepał Warszawiaka po ramieniu:

— Owszem, można to i tak wyrazić, Obywatelu...

Zaczęły się prześmiechy, dowcipy, żarty.

Zwracali się pocichu do Potockiego:

— Jak się Obywatel miewa?

Inni zaś, zarażeni powszechną wesołością, ciągnęli Potockiego za język:

— Widzicie! Powiedział Wam Dziarski: Obywatelu! — To może Wy jesteście socjalista.

Ale Potocki, nie w ciemną bitą, wyczekał, aż się wszyscy wygadali, a potem dopiero oświadczył wśród powszechnej ciszy:

— Powiedział mi „Obywatelu“, bo się, jak wiadomo, bez wielu rzeczy... obywatel! — Nie lepiej, zresztą, dzieje się i Wam, tylko, że ja mam solitera, który mnie okrutnie ssie, a Wy nie... Wiadomo, soliter, to hrabska choroba... Nie każdy sobie może na tasienca pozwolić... Jak się wojna skończy, każę sobie wyjąć te paskustwo i oddam do Wilanowa, na wychowanie... Niech się nim zaopiekuje mój kuzyn Branicki, bo szkoda, żeby się marnowało takie szlacheckie zwierzę...

Plótł jeszcze trzy po trzy, choć mu wciąż śmiechem przerywali, a najgorzej przygadywał hrabiemu Branickiemu, do którego sobie widać coś upatrzył.

— Co jest? — wołał z udanym oburzeniem: — Ja tu rezykuję codziennie moje zdrowie, a tam ten zagranicą siedzi i ostygi zajada? Poczekać! Przyjdzie czas, a pomieniamy się: Ja będę trzepał dywany po Sobieskim, a on tu przyjdzie nad Bug, most reperować!...

— Ha, ha, ha!...

— Przyjdzie, jak Boga mego Kocham!

Dopiero komenda: — Podciągać poprzęgi! — położyła kres tym zbytkom. Pobiegli ułani do swoich koni, na wyścigi.

A porucznik, spojrzawszy na zegarek, włożył nogę w strzemię, sekundę się zawahał, poczem, zgrabnie, jak panna, frunął do góry...

Zatańczył pod nim kozaczek, przysiadł, wyskoczył nagle wielkim susem — i stanął, jak wryty, ściągnięty mistrzowską ręką.

— No, chłopcy — zawołał głośno porucznik Dziarski — mam dla Was niespodziankę!

— Jaka? Jaka, panie Poruczniku?...

Ułani formowali się pośpiesznie, odwracając jednocześnie głowy w stronę dowódcy.

Porucznik raz jeszcze spojrział na zegarek, potem na niebo, płonące wielką luną zachodu — i zwrócił się do najbliższej stojącego ochotnika.

— Która u Was godzina?

— Siódma za trzy minuty, Panie Poruczniku!

— Dziękuję. Dobrze...

Porucznik odjechał nieco w bok od szwadronu, który mu się przyglądał niezmiernie zaintrygowany, osadził swojego kozaka i powiedział donośnie:

— Któren ma nerwowego konia, niech na niego uważa! — Baczność!...

Szwadron zamarł.

Porucznik patrzył teraz na swoją bransoletkę i liczył sekundy...

— ...Czterdzieści, czterdzieści pięć, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt...

I naraz — zadrżała ziemia!

Straszliwy, ogłuszający huk rozdarł powietrze. Zda się, trzasła ziemia i runął las.

Przeleciała tuż, blisko, nad głowami szwadronu, jakowaś groźna, śmiertelna lawina.

— Wwwwuuuuuu — — —

Wycie oddalało się, cichło, przechodziło w warczenie, potem w jakiś niesamowity, metaliczny śpiew — potem w szmer — —

— Buch — Buch — Buch — Buch — — Buch — — — — Buch!

Hen, daleko, za Bugiem, za ciemnymi borami — eksplodowały polskie obusy, siejąc śmierć i zniszczenie!...

— Nasza Ciężka!!!

Zanim jednak oprzytomniał szwadron, zanim uporał się ze swoimi końmi, które służyły się, płoszyły, rwały wędzidła — wskazał Porucznik ręką na bliskie chojniki i zawołał ponownie:

— Baczność!

I znów, jak poprzednio, dała ognia cała bateria, salwą, bez błędu!

Ułani pasowali się z wierzchowcami, Grodnicki galopował gdzieś po lesie, daremnie usiłując poskromić oszalałą Lale, a Porucznik Dziarski stał tymczasem na wzgórku błyskał białymi zębami, odsłoniętymi w jakimś wilczym uśmiechu — i krzyczał do Wąsika, starając się zagłuszyć warczenie oddalających się pocisków:

— A co, ślazu, dobrze strzelają?

Wąsik miał konia bardzo ostrzelanego, więc sobie jakoś najprędzej dał z nim radę. Przyklusował do Porucznika cały czerwony z radości i emocji i szeptał, wciągając dym w szeroko rozdęte nozdrza:

— Ach, jak pięknie strzelają, Panie Poruczniku!

— Ach, jak pięknie!...

.

— Ech, niewie, kto nie był żołnierzem, jaka to rozkosz, jaka radość, jaka porywająca muzyka — hymn ciężkiej artylerji!

Niewie, kto nie był ułanem — jaka to duma — usłyszeć nareszcie, po tylu dniach, kiedy na całym odcinku nie grało z polskiej strony ani jedno działo — bicie całych baterji!

Nerwy naprężają się, pulsa biją! Wyobraźnia, bystrzejsza, niż pocisk, wyprzedza ten gwiżdżący, złowieszczy śpiż — i czeka nań na wrogiu brzegu, zanim jeszcze uderzyć zdoła!...

— Armaty grają!

— Nasze armaty!

.

— Szczęk przeraźliwy — jakby po granitowej płycie uderzył olbrzymim młotem —

Łoskot — Pęd powietrza —

Potem wysoki, wysoki ton, który, zda się, wświadłouje się w uszy —

Potem śpiewny warkot, jak gdyby śmigła — —

Potem coraz niższy, coraz głuchszy, coraz cichszy szum — — —

Wreszcie — Wybuchy!

— Raz — Dwa — Trzy — Cztery — Pięć — Sześć!

— Dostali!

.

Ułani wprost oszaleli z radości! Potocki aż ryczał, tak go ta muzyka wzięła... Grodnicki, błądzący ze wzruszenia, zwracał się to do tego, to do innego kolegi i szeptał, nawpół przytomny:

— To już napewno ofenzywa!... Zaczyna się! Słowo honoru daję, że się zaczyna!

Nawet na Staśku, przyzwyczajonym do frontu, uczyniła ta niespodzianka wstrząsające wrażenie...

Z każdą nową salwą, gdy koń jego kładł po sobie uszy i przysiadł na zadzie, szeptał do siebie Ślżak:

— To dopiero wał!... To wał!

...
Ale dzień ten miał widać przynieść jeszcze więcej niespodzianek, bo kiedy szwadron wyjechał o zmierzchu z lasu, pokazało się na szosie jakieś inne wojsko, także konnica.

Skinął na Wąsika porucznik Dziarski, uśmiechnął się jakoś osobliwie i rozkazał:

— Ruszcie-się-no naprzód i zobaczcie, co to za kawaleria? Może bolszewicka? Zasalutował Wąsik i dał ostrogi koniowi. W pierwszej chwili zdziwiło go trochę, że Porucznik Dziarski posyła go w pojedynek, nie dając bodaj paru ułanów do kompanii?...

Ale nawet na chwilę nie przyszło mu do głowy wahać się, albo wzdragać.

Rozpuścił kasztana galopem i rwał ku szosie, aż się kurzyło.

Gdy już był niedaleko owej kawalerji, którą okrywał mrok szybko zapadającego wieczoru, pomacał Stasiek — ot, tak, na wszelki wypadek — rękojeść szabli i pochwę rewolweru, przypiętego u pasa...

Naraz spostrzegł, że od nieznajomego oddziału, na spotkanie, ruszyło się kilku jeźdźców.

Jeszcze chwila — i zobaczył kapral Wąsik, że ma przed sobą polskich ułanów! Tylko jeszcze barw pułku nie mógł dojrzeć dobrze...

Ale po sekundzie — gdy wpatrzył się bystro w zbliżający się obok kurzu, zadrżał, puścił konia wskok, i krzyknął raz i drugi, z pełnych piersi...

Poznał Rotmistrza Zawadzkiego, porucznika Sędzimira i pocziwego Dzierżyńskiego!

V.

Decydujące chwile.

Połączyły się teraz oba szwadrony: I-szy, dawny szwadron Staśka Wąsika, i Ochotniczy, pod dowództwem porucznika Dziarskiego. Ogólną komendę objął rotmistrz Zawadzki. Trudno opowiedzieć, z jaką radością przyjęli żołnierze te zmiany! Najprzód, poczuli się rażniej, bo siła oddziału wzrosła w dwójnasób; następnie, ten i ów ze starych ułanów odnajdywał niespodzianie towarzyszków broni, których doniedawna uważał za straconych...

Na nowym biwaku, który ułani zajęli jeszcze tegosamego wieczora, zapanował taki ruch i rwetes, że aż dowódcy zmuszeni byli kilka razy posyłać po podoficerów, żeby przecież jakoś uciszyli swoich ludzi. Zapytania, odpowiedzi, okrzyki, wivaty nie miały końca: gorączkowo, piąte przez dziesiąte, opowiadali sobie dawni koledzy dzieje ostatnich tygodni, przebieg walk, które w tym czasie stoczono, szczegóły zwycięskich potyczek...

Ochotnicy zrazu milczeli, zlekka zażenowani: byli przecież dopiero odniedawna na froncie — cóż znaczyły ich boje wobec przygód tych morowych chłopów, którzy bili się z bolszewikami od tylu miesięcy?...

Ale po pewnym czasie ośmielili się i ochotnicy. Okazało się bowiem, że niektóre wiadomości o ich sprawach przedostały się już do różnych oddziałów i zjednały im powszechny szacunek: nie mieli czego wstydzić się swojej krótkiej służby! Najbardziej promieniał radością Grodnicki. Tak się bał, że go te ogorzałe, wąsate chłopcy zaczną wyśmiewać... Najgorzej byłoby z wiekiem: toć miał naprawdę dopiero szesnaście lat!

Ale „Panienka“ udała się jakoś wiarusom; więc rychło zapanowała zupełna harmonja w szeregach. Częstowano się wzajemnie rumem i papierosami, konserwami i chlebem. Ochotnicy, lepiej zaopatrzeni, popisali się kilkoma butelkami autentycznego koñjaku, co wywołało u ułanów I-go szwadronu szmer zdumienia a następnie wielki krzyk:

— Oho!...

W zamian zato dali starzy żołnierze próbkę swych umiejętności z zakresu „Terenoznawstwa“: poszeptało kilku z Wąsikiem, opowiedziało się Dzierżyńskiemu, dosiadło koni — i znikło. Stawili się jednak przed upływem pół godziny, wyłaniając się z gęstego nocnego mroku, jak widma. Nie znali okolicy, nie mieli żadnych map... Ale zafasowali kilka gęsi, coś ze dwie kopy jaj i pełne menażki... śmietały. Podniósł się istny ryk. Wyrzwał na chwilę z chaty, w której nocowali oficerowie, porucznik

Dziarski, udał bardzo srogiego, mruczał coś o maruderach — ale w końcu roześmiał się, machnął ręką i zniknął. Oczywiście, spytał się przedtem Wąsika, czy ułani za gęsi zapłacili?...

Wąsik odpowiedział półgłosem, że tak, tylko bardzo tanio... Na co Porucznik mrugnął wesoło, wcisnął Wąsikowi w rękę banknot i szepnął tak, żeby żołnierze nie słyszeli:

— Pojedźcie do tych chłopów o świcie i dopłaćcie im odemnie kilka marek, boby im była krzywda...

Gęsi upieczono wśród powszechnej radości i wielkich ceremonij. Co prawda, trochę je przyswędzono, trochę przypalono... Ale i tak smakowały chłopcom nadzwyczajnie. Osobna deputacya udała się do kwatery oficerów, niosąc jakieś nadzwyczajne gęsie piersi i podróbka: wręczono to wszystko ze stosowną wesołą oracją, na co znów odpowiedzieli oficerowie niemniej ozdobnie, odwdzięczając się kilkoma flaszkami wódki... I tak przebaraszkowano całą prawie noc, ciesząc się gawędą przy ogniach, które tym razem pozwolono palić.

Wróg był blisko. Ale nie na tyle blisko, żeby nie można było pofolgować sobie po tyłu, tyłu nocach, spędzonych na siodle...

Konie ułanów miały również święto. Uwiązane w opłotkach, chrupały obroki. Niektóre pokładły się i spały, postępując, zupełnie, jak ludzie, ciężko utrudzeni...

.
O świcie rozległy się trąbki.

Po krótkim, ale mocnym śnie, wstawali ułani, przecierali oczy i ziewali potężnie. Pociągnęli póź-

niej do wodopoju — i skrzypiały długo żórawie studzienne, windując z cembrowin wodę trochę mętną, zimną, jak lód. Ludzie pluskali się w korytach i kuźbach, konie parskały...

Wytoczyło się wreszcie słońce zza boru, świat poweselał, zadymił się kuchnie polowe, pociągnęły plutony gęsiego, po kawę...

Wąsik jeździł od samego rana do sąsiedniej wioski, spełniając rozkaz porucznika Dziarskiego. Chłopi, którym przywiózł był pieniądze za wczorajszą rekwizycję, przyjęli go z wielkim respektem. Nasłuchiwał się komplementów o polskim wojsku, dowiedział się, że „Żołnierz nasz jest bardzo honorowy“ w końcu miał prawdziwy kłopot z kobietami, bo ani rusz nie chciały brać pieniędzy za swoje gęsi, uniósłszy się też tak częstą u polskiego ludu — ambicją.

— Mam rozkaz od dowódcy szwadronu — zniecierpliwił się wreszcie Wąsik: — Co się wam słusznie należy, bierzcie!

Więc po długich ceregielach przyjęły wreszcie gosposie porucznikowe marki. Wracając, zamyslił się kapral Wąsik... Przypomniawszy sobie rodzinne Górszowice, zapamiętane z dzieciennych lat postacie tamtejszych gospodarzy — i pomyślał w pewnej chwili z rozrzewnieniem, że wszędzie, gdzie rozbrzmiewa polska mowa — jak Polska długa i szeroka — lud jest właściwie takisam: gdy się doń odnieść uczciwie a rzetelnie — odsłaniają ci się naraz wnętrza serc, nie takie, jakie bywają po świecie, nie! Stokroć, tysiąckroć lepsze, życzliwsze, gościnniej-

sze! — Przezimowała przecież Piastowa cnota wśród srogiej zimy, przetrwała tyle, tyle lat!

Ot, choćby w takich drobiazgach: przyjrzyj się powierzchownie śląskim kobietom po wsiach... Toćby się zdawało, że za markę gotowa pójść do piekła, taka na pieniądz łakoma... Ale to właściwie tylko pozór. Gdy się otworzą wrota polskiej gościnności, ludzkości, niewiesz, jak masz dziękować...

Jechał Wąsik drożyną polną, błyszczała na trawach ranna rosa. Myślał sobie, jak to będzie pięknie, gdy się wreszcie skończą wszystkie wojny, cały polski kraj odetchnie, ludzie będą mogli pracować spokojnie i bezpiecznie, nie będzie ucisku, ucimieżenia, wszystko się poprawi, wydobrzeje...

Wyrwał go jednak z tych rozmyślań nagły, głuchy grzmot dział...

Dał ostrogi koniowi i pogalopował w stronę biwaku. Zdążył w sam czas. Właśnie już wyciągnęły się oba szwadrony za wsią i miały ruszać w pochód. Więc dopadł porucznika Dziarskiego, zdał mu raport ze swej wycieczki, poczem, klusem, wrócił do swojego plutonu i zajął zwykłe miejsce w pierwszej trójce.

Mieli żołnierze sposobność przekonać się, że nie mylił się porucznik Dziarski, mówiąc im o swoim czuju... Chociaż wszyscy pragnęli ofenzywy, jak zbawienia duszy, trzeba się było cofać w dalszym ciągu... Jeszcze i jeszcze... Widać godzina odwetu jeszcze nie wybiła!

Poszli bokiem, wzdłuż frontu, aż wydostali się na gościniec Mińsko-Warszawski. Tu zatrzymały ich na krótko jakieś rozkazy; po krótkim postoju

ruszyli jednak dalej, kierując się na linję rzeki Liwca, a stamtąd dużym marszem — na Radzymiń. Nie mieli w tych czasach żadnych potyczek z nieprzyjacielem, utracili z nim nawet kontakt.

W Radzyminie zanosilo się widać na walną bitwę, bo po raz pierwszy od wielu dni zobaczyli ułani większe masy wojska i cały obóz artyleryjski. Kręcili się również po miasteczku francuscy oficerowie, przykomenderowani do polskiego sztabu. Ale i tu nie zagrzali miejsca.

Ruszono ułanów dalej, pod samą Warszawę, pod Jabłonnę.

Cieszyli się ochotnicy, że może na kilka dni dadzą im wypoczynek w stolicy, do której niejeden wyrwał się, jak do Ziemi Obiecanej — ale próżne to były nadzieje: otarli się tylko o osady podmiejskie, z daleka powąchali dymy rogatek, poczem zaraz zakomenderowano im w pochód — i poszły oba szwadrony dalej, jeszcze dalej obchodząc miasto w wielkiem promieniu...

Już nie wróżono w szeregach w te czasy. Zaniechano horoskopów. Każdy rozumiał, że zbliża się chwila ostatnia, decydująca, że wszystko rozstrzygnię się za kilka dni — że cofanie się — rychło musi mieć swój kres — taki, czy inny — ale musi! Jeżeli czuwa nad polskiem wojskiem bystra, męska myśl — jeżeli tam, w górze, nie osłabła wola i nie zadrżała ręka — wszystko się jeszcze zmieni!...

— Jeżeli nie...

W tych dniach odwrotu, w ostatecznych momentach, poprzedzających rozstrzygnięcie kampa-

nji, żołnierz na froncie zupełnie przycichł: nie rozmawiał... nie dopytywał się... nie skarżył...

Czekał.

Wąsik pełnił służbę, jak maszyna. Był spokojny. Tylko chwilami — chwilami — zamyślał się, zapamiętywał w sobie...

Wtedy trzeba było mówić do Kaprała bardzo głośno, powtarzając nieraz słowo po kilka razy. Zresztą, z innymi bywało taksamo. Zda się, drzemali na jawie...

.
Tymczasem gromadziło się pod Warszawą coraz więcej wojsk, coraz więcej pułków, bateryj, trenów, lazaretów... Chwilami zdawało się, że gościńce nie będą mogły pomieścić tych mas ludzi, koni, furgonów, dział, samochodów...

Robiło się strasznie ciasno.

Ułani nie wiedzieli, co się teraz dzieje w stolicy — ale oddech stolicy, niespokojny, nerwowy, strawiony gorączką oczekiwania — szedł po froncie, jak gorący powiew, zwiastujący srogą burzę...

Zbliżała się chwila — czuli to wszyscy — w której nie minuty już, ale sekundy — będą decydowały o wszystkim!

.
Do sadu, w którym stał pluton Wąsika, wpadł pewnego popołudnia oficer łącznikowy, przystany ze Sztabu. Osadził zmydlonego konia na miejscu — i wyrzucił ze zdyszanej piersi zapytanie.

— Oddział rotmistrza Zawadzkiego?

Kapral Wąsik podbiegł czempredzej i odpowiedział:

— Tak jest, panie poruczniku!

Zmordowany oficer zaczerpnął powietrza — raz i drugi — rozejrzał się dookoła, uśmiechnął i powiedział:

— Macie tu jabłka?

— Mamy!

— To dawajcie prędko!

Rzuciła się wiara z czapkami, bo stojąc od dwóch dni w sadzie, nic innego, prawdę mówiąc, nie robili. tylko objadali wszystkie drzewa — prosił ich o to zresztą sadowy, stary żyd, mówiąc:

— Jedzcie, panowie — i tak się zmaruują...

Poskoczyło tedy kilku, podając Oficerowi pełne czapki owocu. Porucznik zaśmiał się, podziękował, wziął jedno jabłko, zmiotł kilkoma kęsami, otarł usta, zebrał cugle — i już go nie było.

Ale w kilka minut później kotłowało się w małym sadzie. Pluton wyjeżdżał rysią, tak pośpieszenie, że stare jabłonie, dźwigające resztki dojrzałego owocu, raz-po-raz upuszczały na ziemię jabłka... Szorowały po gałęziach ostrza lanc, podkowy końskie wytlaczały w ziemię rumiane Aporty i winkowate Antonówki...

Na gościńcu, idącym z Jabłonny do Warszawy, ścigały się tumany kurzu... Jakaś nieznajoma kawalerja, która wzięła się niewiedomo skąd, mijała ułanów wyciągniętym kłusem...

Upadła w szeregi Ochotników komenda:

— Bacność!

Zaraz potem:

— Prawa wolna!

Ledwo się trójki umknęły trochę na bok — nadleciały od strony Warszawy dwa ogromne, zakurzone auta. Mignęły szosą, obok szwadronów, wzbijając obłoki pyłu... W pierwszym samochodzie siedziało dwóch generałów. W drugim — zatulony w szary płaszcz — w czapce, nasuniętej na oczy — jechał...

— Czy się ułanom zdawało, czy rozpoznali naprawdę chmurne rysy Komendanta?... Auta dawno zginęły w tumanie kurzu — a szwadrony stały nieruchomo, jak zahypnotyzowane... Ludziom tłukły się serca...

Poderwały ułanów z miejsca nowe, ostre rozkazy...

I pomknęli naprzód, w spiekocie, pod palącymi promieniami słońca, marsz-marsz!...

Prosto na Płońsk!

CZĘŚĆ IV.

I.

Naprzód!

Rozniosła się wieść po szerokim świecie, że Polska już dogorywa.

Szerzyli tę wieść z przedziwną skwapliwością różni politycy z pod ciemnej gwiazdy, jawni, albo trochę zakapturzeni nieprzyjaciele polskiego narodu... Grzmiały wiwaty w prasie bolszewickiej; tryumfowali Niemcy; różnice w zachowaniu się poszczególnych krajów nie były znów tak wielkie... Nawet Anglja, rzekomo bardzo poprawna i neutralna, wypisywała o Polsce cierpko-kwaśne bzdury, a politycy tej wielkiej nacji doradzali naszym politykom w drodze dyplomatycznej, żeby się Polska oddała bolszewikom na łaskę i niełaskę...

Podziemna propaganda sowietów robiła swoje: każdy transport amunicyi dla Polski, każdy wagon środków opatrunkowych, czy mundurów, czy broni — trzeba było wywalczać osobno, uciekając się do interwencji mocarstw Polsce życzliwych — i płacąc, płacąc, płacąc...

Wybuchwały wciąż dziwne strajki w portach, gdzie ładowano transporty dla Polski. Im dalej wdzierali się w głąb naszego kraju krasnoarmiejcy, im wyraźniej zaczęli mówić bolszewicy o poźboju Polski — tym więcej słyszało się zagranicą o... polskim militaryzmie, imperjalizmie — i t. d.

Mili nasi pobratymcy, czesi, poczułi naraz wyrzuty sumienia: — Jakto? Przepuszczać amunicję do Polski? Ależ to równałoby się popieraniu polityki wojen! Przenigdy! W Gdańsku ustawicznie demonstrowali robotnicy portowi...

W taki oto sposób przeprowadzali bolszewicy niezmiernie podle i niezmiernie sprytnie obmyślony plan: Osamotnienia Polski.

.
Cudów waleczności w tej zakonspirowanej walce z Polską dokazywali — żydzi. Posiadając olbrzymie wpływy zagranicą, trzymając w ręku setki wpływowych dzienników — rozpowszechniali — już to sami, już to — przez zaprzędanych sobie ludzi — wiadomości tendencyjne i kłamliwe. Czytało się w Ameryce i Anglii wstrząsające artykuły o „Polskich okrucieństwach“, o „Pogromach“ — a wreszcie, w wiadomościach z placu boju — bardzo sensacyjne szczegóły o... „Upadku Warszawy“.

Im sroższą była niedola ludu polskiego w zagarniętych przez Czerwoną armję połaciach kraju — im większą kośba śmierci — im liczniejsze ofiary wśród Bogu ducha winnej ludności cywilnej — tem głośniej trąbiono na cały świat, że Polska jest sama wszystkiemu winna, że Europa powinna zająć

się zlikwidowaniem tego konfliktu — innemi słowy, że najlepiej byłoby, gdyby koncert mocarstw zlikwidował samą Polskę...

Uczciwi, lojalni i patriotyczni żydzi byli w tych czasach w Polsce niezmierną rzadkością. Zresztą — i oni zupełnie stracili ducha — doradzając miarodajnym czynnikom: układy... ugodę... pokorę...

.

Istotnie, zdawało się, że ostatnia godzina wybiła.

Wojska bolszewickie załaziły pół Polski, poczem, bardzo sprytnym manewrem, obeszły Warszawę, wbijając się potężnym klinem pomiędzy Płock a Mławę. Upadek Włocławka, a co za tem idzie, przecięcie linii kolejowej, łączącej stolicę z Gdańskiem, zdawały się być rzeczą nieuniknioną... Oznaczałoby to przerwanie transportów, w konsekwencji — oddanie lewego brzegu Wisły...

— Dokąd mógłby się cofać żołnierz polski? W Poznańskie? Do Małopolski?

I co dalej?

.

W takim oto momencie spoczął cały, olbrzymi, przeraźliwy ciężar odpowiedzialności na barkach jednego człowieka.

Człowiekiem tym był Józef Piłsudski, wódz polskiej siły zbrojnej i naczelnik państwa — w jednej osobie.

Dyskutowano później namiętnie nad tem, czy jest rzeczą właściwą, aby obie najważniejsze funkcje — złączone były w jednym ręku...

Wówczas nie dyskutowano!

Rada Obrony Państwa, powołana za zgodą Sejmu, przyjęła do wiadomości życzenie Józefa Piłsudskiego:

— Żądam zaufania i... trochę czasu.

.

Dzień, w którym się miało okazać, że zaufanie swe umieściła Rada Obrony Państwa wcale trafnie — a czas, potrzebny dla przeprowadzenia pewnych przygotowań i pewnych przegrupowań — nie był znow tak bardzo długim — dzień ten zaświtał niebawem.

Był podobny do innych dni.

Nie zwiastowały go żadne szczególne znaki na niebie, czy na ziemi: cios został przygotowany dokładnie, ale pocichu...

Taksamo, jak kiedyindziej, tonęły gościńce polskie w tumanach kurzu, któremi lato roku 1920, niezwykle upalne i znojne, znaczyło wszelkie poruszenia się wojsk... Taksamo, jak kiedyindziej, zagrzmiąły o świcie armaty, zasię stolica kraju, zagrożona przez nieprzyjaciela, obudziła się ze snu z ciężkiem sercem...

I zatrzeszczały gęste salwy, któremi zasypywał wróg codnia wojska polskie... Polała się pierwsza krew — jak codnia — i poszła wzdłuż frontu śmierć, nieodłączna towarzysząca żołnierza...

I działy się na różnych odcinkach, fronicach, rzeczy zwyczajne: piechota szła naprzód, cofała się, rozwijała się w tyraljerę, nacierała, wstawiała, padała, ginęła. Baterje zajeżdżały na pozycje,

wstrzeliwały się przez czas pewien, a potem, aż do nowych, zmienionych rozkazów, prały w nieprzyjaciela ogniem i żelazem...

Furczały gdzieś wysoko, w górze, aeroplany — a w dole, w setkach chałup przydrożnych, w ziemiankach, w doraźnych schronach — terkotały telefonów polowe...

Galopowała kawalerja, przechodziła z cwału w kłus, z kłusa w stępa. Spieszyła się i szła do ognia — potem znów pędziła do koni, dosiadała ich — i ruszyła naprzód, albo wstecz — posłuszna rozkazom...

Opatrywano rannych, zamykano oczy poległym.

Na setkach kilometrów strzelano, kłuto, nacierało, dobywszy szabel, nastawiwszy żądła bagnetów.

Porywało się czasami skrzydlate: „Hurra“! — Czasem: „Rubiii!“ — Czasem: „Koliiii!“

Lotne oddziały ułanów, lub szwoleżerów, ugaśniały po polach, to tu, to tam — a każdy myślał, że ośrodkiem bitwy, że ośrodkiem tej wojny — jest on! I każdy miał rację...

Ocierali żołnierze pot z czoła, posilali się pośpiesznie byleczem, pili, chciwie wodę z podejrzanych studzien, odpoczywali, gonili...

Wszystko, jak codzień, jak kiedyindziej...

Jedni maszerowali naprzód i myśleli, że idą na ostateczny bój — okazywało się potem, że szli na stację kolei, aby odjechać o sto kilometrów od frontu... Inni maszerowali w przeciwnym kierunku i pogwizdywali wesoło, sądząc, że na dziś — a może i na dłużej dadzą im spokój? Po kwadransie je-

dnak znajdował się nieraz taki oddział w piekielnym ogniu — i nieraz ginął...

Los wojny, tajemniczy, śmiesznie nieobliczalny, przypadkowy, robił z jednych tchórzów — z innych prawdziwych bohaterów!

Ale nikt nie słyszał, nikt nie widział, jak się obrzynie ramię polskiego Naczelnego Dowództwa podniosło do góry... Wolno, mozolne... Jak zamigotała nad ziemiami polskimi niesamowita broń — i jak spadł nagle cios!

• • • • •

Miało się dobrze ku wieczorowi, gdy rotmistrz Zawadzki otrzymał jakieś dziwne rozkazy... Miał uderzyć dwoma swoimi szwadronami na bolszewików, okopanych na skraju pobliskiego lasu, odrzucić ich wstecz, a potem nawiązać łączność z grupą kawalerji i piechoty, która — jakby wynikało z dyspozycji — powinna była jednogłośnie podejść z lewego flanku. Nie to było dziwne w rozkazach, że nakazywały zaatakowanie nieprzyjaciela, rozporządzającego wielokrotnie przeważającymi siłami — ale dziwne określono domniemany punkt zetknięcia się obu operujących polskich grup: głęboko za linjami bolszewickimi.

Jedno z dwojga — albo w sztabie dywizji pomylili nazwy miejscowości — albo z bolszewikami zaczęło się dziać coś niedobrego...

Na długie namysły nie było czasu. Pchnął tylko rotmistrz łącznika — na chybił-trafił — z rozkazem odnalezienia sztabu i zasiągnięcia jakichś wiadomości — poczem czempredzej dosiadł konia i wy-

jechał za wieś. Towarzyszyło mu dwóch ułanów i kapral Wąsik, pełniący dnia tego służbę łączności pomiędzy I-m szwadronem a dowódcą grupy, Zawadzki. O tej „Grupie“ mówili zresztą ułani z respektem, mimo, że składała się wszystkiego z dwóch szwadronów... (Ale to w nawiasie).

Wyjechał na wzgórek rotmistrz Zawadzki, rozejrzał się po polach — i zamyślił...

— Miły Boże... Tyle czasu prowadził swoich chłopaków między zagonami bolszewickimi... Oszczędzał ich, szanował... Od samego Dniepru, przez Ukrainę, przez Berezynę, Niemen, Wilję, Bug — szedł ze swoimi żołnierzami, żałując każdego młodego życia.

— Miałże by teraz dać ich wytracić koło samej Warszawy?...

Sytuacja była jasna. Rozkaz należało spełnić niezwłocznie. — Ale jak? — W tem była właśnie zagadka!

Od wsi, w której kwaterowały oba szwadrony, do pierwszych drzew lasów, zajętych przez bolszewików, mogło być ze dwa kilometry — może więcej. Ranne meldunki określały siły bolszewików na dwa pułki piechoty i kilka sotni kozaków. Teren — fatalny! Kartofliska, kartofliska — wszystko lekko zbiega ku pozycjom nieprzyjaciela — ledwo się ułani pokażą — będzie ich widać, jak na dłoni... O tem, że mieli bolszewicy kilkanaście karabinów maszynowych, wiadomo było od rana. Toć prali po tych kartoflach maszynkami, dla kurażu, aż się ziemia kurzyła...

Rotmistrz Zawadzki spojrzał na zegarek. Szósta. Atak musiał się rozpocząć zaraz — inaczej mogli nie zdążyć...

Skinął na Wąsika.

— Kapralu. Skoczcie do porucznika Dziarskiego. Niech zaraz wyśle spieszony pierwszy pluton i niech go rozwinie w tyraljerę. Jakby bardzo grzali, mają się zaraz cofać: rozumiecie?

— Tak jest, Panie Rotmistrzu!

Rotmistrz spojrzał uważnie na Wąsika, poczem dodał:

— Chcę spróbować, co tam mają. Niech porucznik Dziarski swoich ludzi nie naraża.

— Rozkaz.

Zawrócił konia Wąsik, ruszył galopem w opłotki. Krótco go było widać, ale wnet z jadowitem bykaniem pogoniło za ułanem kilka kulek... Rotmistrz skinął na eskortujących go ułanów. Zjechali nieco w bok, za wielki, stary krzyż. Czekali.

Nie przeszło dwa pacierze, a wybiegła już z poza chałup szczupła tyraljera ochotnicza. Wzięła się z prawej, od drugiego końca wsi, prosto w kartofli-ska. Ledwo się jednak pokazali, ożył ciemny bór. Z sykiem, gęsto, poczęły padać kulki karabinowe... Tu, tam... Kilka uderzyło w krzyż, za którym stał Rotmistrz i obaj ułani...

— Pac — Pac — Pac — —

Dowódzca przyłożył do oczu lornetę. Przyglądał się pilnie biegnącej naprzód tyraljerze.

— Ta-ta-ta-ta-ta — —

Z prawej.

— Ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta — —

Z lewej.

Tyraljera upadła.

Rotmistrz kiwnął z zadowoleniem głową.

— Dobrze...

Poderwali się znów, ubiegli kilkanaście kroków...

— Ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta.

Jeden, drugi, trzeci, czwarty karabin maszynowy... Hm... Coś za dużo tych karabinów mają łajdaki...

— A, psiakrew! — Rotmistrz przyłożył znów lornetę do oczu. Patrzył, patrzył... W kartoflisku coś się kotłowało... Przez ostrego Zeissa widać było, jak się wysoki ułan przewraca, pasuje z czemś niewidzialnem, a złowrogiem — zastygl...

Usłyszał Rotmistrz, jak jeden z ułanów, stojących za nim, mówi do drugiego:

— Gotów...

Obejrzał się. Kapral Wąsik nadlatywał, co koń wyskoczy.

— Kapralu!

— Rozkaz!

— Cofnąć tych ludzi. Szwadron na koń — i do mnie. Wynieść mi tylko zabitego!

— Rozkaz!

Znów zawrócił Wąsik, dał ostrogi koniowi, poskoczył. Rotmistrz przybladł trochę; zmarszczył surowo brwi. Pionowa, głęboka bruzda na czole znamionowała głęboką walkę wewnętrzną. Westchnął cicho, bardzo cicho, tak, żeby tego ułani nie słyszeli. Odwrócił się do jednego z nich:

— Skoczcie do Porucznika Sędzimira. Szwadron na koń, do mnie!

— Rozkaz!

Rotmistrz Zawadzki zwrócił się znów w stronę ognia. Widział, jak się chłopcy podnoszą, jak kilku klęka obok zabitego kolegi, jak go z wysiłkiem dźwigają... Zaciśnął mocno wargi.

Boiszewicy podwoili ogień. Tyraljera cofała się pośpiesznie. Och, jak wolno... Za wolno!

— Kto tam znów upadł?

Przez lornetę widać było, jak zataczającego się ułana podtrzymują dwaj najbliżsi...

— Bzzyt — Bzzyt — Bzzyt...

— Panie Rotmistrzu... Tu trochę za gorąco...

Rotmistrz udał, że nie słyszy.

Wreszcie ochotnicy skryli się za wystającymi węglami chat.

Rotmistrz skinął na obu ułanów i ruszył wolno na rozstajne drogi. Koń Dowódcy kładł po sobie uszy i drżał nerwowo, ilekroć nadlatujące kulki świstały zbyt blisko...

Strzelanina ucichła.

Po chwili wyłonił się z opłotków szwadron ochotniczy. Rotmistrz Zawadzki odjechał trochę na bok i zapytał porucznika Dziarskiego:

— Jeden zabity?

— Tak jest. — Dwóch rannych... (C. d. n.).

Porucznik Dziarski spojrzał na Rotmistrza pytająco. Zda się, mówił oczami:

— POCO to było potrzebne?...

Wyczuł niemy wyrzut Dowódcy, popatrzał głęboko w oczy oficera, powiedział cicho:

— Musiałem...

Zaczem zapytał jeszcze:

— Nazwisko zabitego?

— Piotrowski. Z Warszawy. Student...

— A tamci —?

— Lekko...

— Dobrze.

Rotmistrz zatrzymał przy sobie Dziarskiego, a że w tym samym czasie nadjechał i Sędzimir ze swoimi ludźmi, zebrali się w gromadkę wszyscy oficerowie, z obu szwadronów.

Wtedy Rotmistrz przemówił do nich krótko:

— Panowie. W tej chwili zaatakujemy nieprzyjaciela. Będzie to trudne, powiem otwarcie — nawet bardzo trudne — ale mam wyraźny rozkaz, więc niema o czym gadać! Wiemy, że mamy przed sobą sporo karabinów maszynowych: powodzenie szarży będzie zależało wyłącznie od tempa! Proszę powiedzieć to ludziom...

Poczem rozporządził:

— Pierwszy szwadron szarżuje na lewo. Prowadzę osobiście. Ochotnicy — na prawo: na ten wysoki sosnowy bór. Prowadzi porucznik Dziarski. Pardonu nie dawać!

Wyjął szablę z pochwy i zwrócił się do ułanów:

— Szwadron — Do szarży!

Zgrzytnęła broń.

— Za mną — Marsz-marsz!

Zakurzyło się w opłótkach. Wypadli na pole.

Słychać było jasny, donośny głos porucznika Dziarskiego.

— Ochotnicy! Za mną! — W nich! — Pomścimy śmierć kolegi!

Wybiegł z wsi szwadron porucznika Dziarskiego, i ruszył, jak burza, za pierwszym, biorąc się od razu nieco w prawo.

Wąsik usłyszał:

— Kapral Wąsik, za mną —

Dał szczupaka kasztan Ślązaka, mocno ukłuty ostrogami i znalazł się obok konia porucznika. Dowódca szwadronu rzucił zdyszonym głosem:

— Niech się chłopaki trochę szerzej roz...

Resztę słów porwał pęd, i tentent szalonej jazdy..

Zachodzące słońce oblało krwawą czerwienią pole, po którym rwali polscy ułani. Kopyta koni grzęzły w pulchnej, żyznej roli, a nieskończone zagony kartofli hamowały pęd szarży. Niemniej, gdy już raz nabrali rozpędu, zbliżali się do czarnej ściany lasów z szaloną szybkością... Obliczył był sobie rotmistrz Zawadzki, że jeśli się ułani dobrze wezmą, przeskoczą te fatalne pole w jakieś pięć do sześciu minut... Ba! Aż zawiele czasu na wykoszenie dobrej połowy szarżujących...

Ale karabiny maszynowe jakoś zaniemowały... Psykały kule tu — i tam — Paru ułanów zaryło nosami w miękką rolę — nie byli jednak widać ciężiej ranni, bo się zaraz zaczęli gramolić na nogi... Zaszczekał zniecierpliwiony samotny karabin maszynowy, ale, czy to, że strzelał źle, czy to z jakiegoś innego powodu, nie trafił ani jednego ułana...

Nabrali otuchy polscy ułani, przekonani jeszcze przed chwilą, że to jest ich ostatnia szarża...

Stawało się coraz oczywistszem, że gdyby ich nawet tam, pod samym lasem, miał powitać nie-
zwykle morderczy ogień — dojadą!

— Dojadą!

Plunęło już zbliżka, z grupy chojniaków, które mogły być oddalone o kilkaset metrów — salwą — raz, drugi...

Jeden koń upadł, inny poszedł wskok, bez jeźdźca...

Tylko, że pierwsi jeźdźcy dojeżdżali już lasu — i w tej samej chwili wyrwał się ze zdyszanych, ściśniętych piersi niesamowity, nieludzki okrzyk:

— Hurra!...

Nie poznali ułani brzmienia własnych głosów. Było coś dzikiego w tem „Hurra“!

Jednocześnie — po kilku, po kilkunastu, zaczęli wybiegać z lasu piechurzy bolszewiccy, przerażeni i zupełnie zgłupiali. Ktoś ryknął: „Sdawajsia!“ — i panika, jak ogień, ogarnęła moskali. Podnosili ręce. Rzucali broń na ziemię. Próbował zbliżka strzelać karabin maszynowy, zaczajony w jałowcach, ale go przewrócono, strzaskano, zmieciono w pierwszej furji ataku — a żołnierzy przy maszynce wyrąbano w sekundę — mało kto zdążył jęknąć...

Las pełen był łomotu, tupotu uciekających i dzikiego wrzasku. Ogromną, bo może kilkuset chłopów liczącą gromadę żołdatów oganiał kapral Wąsik z paroma zaledwie ułanami, płazując poddających się bolszewików nietyłe z okrucieństwa, ile ze szczątkowej jakiejś furji...

W rzeczy samej — ręce wzniesione do cięcia — i ramiona, naprężone, jak cięciwy — oczy, pełne

piachu, załzawione od pędu i przekrwione — ciała ludzkie — przez dobrą chwilę miały się jeszcze konwulsyjnymi skurczami, zanim wreszcie powracająca świadomość opanowała rozdygotane ludzkie ciała...

Pogrom bolszewików był zupełny.

Stało ich teraz pod lasem, w szeregach, blisko półtora tysiąca zdrowego i nietkniętego chłopca, a wciąż przybywali nowi... Wywłoczyli ich ulani zza krzaków, wyprowadzali z lasu...

Zmierzch położył wreszcie kres temu polowaniu, a i tak już pocierał sobie czoło rotmistrz Zawadzki, szczerze zafrasowany...

— Co robić z tą hałastą?

Wreszcie wszystko się uspokoiło. Jeńców odprowadził pierwszy pluton do wsi, gdzie się nimi miał opiekować pierwszy oddział, jaki tam zawita. Nie było zresztą strachu o tych ludzi: cieszyli się z tego, że ich wzięto do niewoli, dosyć mieli walki, błagali tylko, żeby ich ulokowano jaknajdalej od frontu, bo — „A nuż nas jeszcze odbiją nasi?”

Zżymali się szczerze na komisarzy bolszewickich i powtarzali, jak jeden, że coś się od samego rana popsulo, bo podczas bitwy umknęli wszyscy prawie, co do jednego, nieproszeni ich opiekunowie...

Niezrozumiała panika bolszewików, nadspodziewane powodzenie szarży, minimalne straty, jakie poniósł jego oddział — wszystko to dało do myślenia rotmistrzowi Zawadzkiemu:

— Czyżby się istotnie coś zmieniło na froncie?

Nie miał co do tego wątpliwości tylko porucznik Dziarski. Mówił wesoło do swoich ochotników:

— Teraz, moi kochani, teraz to ja mam „Czuja”. Z bolszewikami jest niewyraźnie! Niebawem dowiemy się, że nie tylko my, ale że inne oddziały także ich tego sprząły...

.
Mieli się przekonać ułani jeszcze tej samej nocy, że porucznik Dziarski dobrze rozumiał się na wojnie.

Zaledwie bowiem wyruszyły oba szwadrony w dalszy marsz, aby, stosownie do rozkazów, nawiązać łączność z grupą, oznaczoną dosyć niewyraźnie w dyspozycji — otrzymał jednocześnie rotmistrz Zawadzki dwa meldunki: jeden od własnej patroli, wysłanej w ślad za uchodzącym nieprzyjacielem, wnet po szarży — a drugi od wachmistrza II-go pułku szwoleżerów, który natknął się na naszych ułanów.

— Bolszewicy uciekają!

Wiadomość ta, jak ogień, obiegła szeregi, wzbudzając powszechną radość. Wszyscy zapomnieli o zmęczeniu. Niewiadomo, gdzie się podziały trudy i wysiłki tego pamiętnego dnia...

Ludzi ogarnął entuzjazm.

— Ach, żeby tak móżdż isć teraz naprzód!

Rotmistrz Zawadzki odbył pro forma naradę ze swoimi oficerami: oczywiście, że wobec tak pomyślnych wiadomości i wyraźnego zapału ludzi nie było co się długo namyślać.

Gdy chłopcy usłyszeli komendę: „Na koń!” — nie posiadali się z radości...

— Nareszcie! Nareszcie! Po tylu miesiącach — Naprzód!

.

Dopiero koło północy, uszedłszy głęboko w lasy, zatrzymali się ułani na postój. Marny to był nocleg, ale nie o nocleg tym razem chodziło: gdyby nie wzgląd na konie, szalenie zdrożone, gotowiby ułani maszerować jeszcze przez całą noc.

I tak nie spał właściwie nikt. Około piątej nad ranem, w zimne, zupełnie zimne rano, ruszyli dalej, wśród borów, sperlonych rześistą rosą.

Wioski, przez które przejeżdżali, były już na nogach. Chłopi cisnęli się z okrzykami radości do rotmistrza Zawadzkiego i opowiadali mu, że widzieli bolszewików przed trzema — dwoma — godzinami...

Kobiety wybuchały płaczem i obejmowały polskich żołnierzy za nogi.

Najwięcej kłopotu i konfuzji miał z niemi mały Grodnicki, bo widząc go takiego młodziutkiego i różowego, roztkliwiały się pocziwe wieśniaczki:

— A Boże, Boże, jakiż to paniczek śliczny z naszymi ułanami!... Patrzaj-no Werońcia — (Maryśka, Zośka, Nastka...) — toż to dziecko prawie! A usteczka, jak u panienki!...

Nie sposób się było obronić roztkliwiającej i żywiołowej gościnności kobiet. Z doszczętnie nieomal ogłodzonych i ograbionych chat wynosiły, co tylko mogły, aby uraczyć strudzonych żołnierzyków.

— Jedzcież panowie, jedzcież najmiłsi... Niech Wam Bóg nagrodi i Najświętsza Panna, żeście przegnali precz tych zbójów!

Paradował ułan Potocki, jak paw, okrutnie kontent z tych powitań — a więcej może jeszcze z po-

częstunków, bo apetyt miał wilczy, a najgorzej zrana...

— Tak — ono tak, kobietki — kiwał z powagą głową. — Daliśmy radę tym psubratom, ale okrutnieśmy się przy tem zmordowali... Matko — a nie ma tam gdzie we wsi twarogu?

Znajdował się i twaróg, więc Potocki, stary wyga, obżerał się, ile wlezie kpinkując przy tem z dziewczętami, pogadując ze starymi i jednając sobie wielki mir wśród chłopstwa.

— Pan pewnie starszy? — dopytywały się wiejskie kumoszki.

— Pewnie, że starszy — potwierdzał z powagą Potocki: — Sześcioro nas jest rodzeństwa ale mnie matka pierwszego na świat wydała, bom się jej najlepiej udał!

Nie pozwalał na zbyt długie żarty rotmistrz Zawadzki, bo i jego paliła gorączka:

— Dowiedzieć się przecież nareszcie, jak rzeczy stoją!...

Idąc tak wślad za uciekającymi bolszewikami, niejako po gorących jeszcze śladach wilczych, zetknęły się wreszcie oba szwadrony z pierwszymi maruderami nieprzyjaciela...

Po jednym, po dwóch, po trzech wyciągali ich ułani z lasów i zarośli. Przyprowadzali też jeńców i chłopci, choć, prawdę mówiąc, tacy jeńcy niebardzo szli o własnych siłach, bo ich pocziwi kmiotkowie za zagrabione konie i porżnięte krowy dobrze najprzód macali po żebrach...

Twarze bolszewików były zupełnie pokorne, mundury porwane; większość zjawiała się bez butów, bez broni... Do niedawna jeszcze dzicy i okrutni, spokornieli, upadli ostatecznie na duchu...

Wszyscy zeznawali jedno i to samo: Że pan generał Piłsudski, jak słysząc, przebił im samą „centrę“ a sztab kilku dywizyj wziął do niewoli... Że podobno zaszły im polskie wojska z tyłu, komisarze ratowali się ucieczką — a oni, ot, prości żołdaci proszą o litość...

.

I szli ułani naprzód, naprzód, ciągle naprzód — z sercami, wezbranami jakąś wielką, niezwykłą radością. Jasne już było, że odniesione zwycięstwo nie zamknie się w ramach epizodu wojennego — jeno, że odwróciła się nowa, odmienna, karta dziejów!

II.

Pogrom Bolszewików.

Atak, rozpoczęty przez wojska polskie w dniu 16. sierpnia 1920 roku, atak śmiały, zdecydowany, przez Naczelne Dowództwo niejako in articulo mortis, w przededniu zapowiadanego upadku Warszawy, zupełnie zaskoczył bolszewików.

Przygotowani byli na zacięty opór w ściślejszym rejonie stolicy — nie liczyli się jednak zupełnie z możliwością energicznej kontrofensywy; jednocześnie, zaślepieni dotychczasowymi zwycięstwami, zaawanturowali niektóre swoje dywizje tak

daleko, że przy pierwszym popłochu i połączonym z tym chaosie — urwała się łączność, tysiące żołnierzy sowieckich zawisły niejako w powietrzu — a dowódcy bolszewicy potracili głowy...

Wojska, pozostające pod osobistym dowództwem Józefa Piłsudskiego, uderzyły błyskawicznie od Dębłina i rzeki Wieprza, w kierunku północnym. Znosząc tak zwaną Grupę Mozyrską, zapoczątkowały cały szereg ataków, które w rezultacie spowodowały zachwianie się frontu bolszewickiego i bezładny odwrót nieprzyjaciela.

Już nazajutrz wieczorem, niespełna w 36 godzin po rozpoczęciu polskiej kontrofensywy, sytuacja na froncie zmieniła się nie do poznania: 15-a, 3-a i 16-a armje bolszewickie, które zagrażały bezpośrednio Warszawie, znajdowały się w pośpiesznym marszu... wstecz. Stolica odetchnęła!

Awanturnicza armja 4-ta, pustosząca przez kilka dni ziemię Płocką, Sierpecką i Lipnowską, podchodząca pod sam Włocławek i zagrażająca naszemu połączeniu z Gdańskiem — musiała na łeb, na szyję uchościć na Mławę...

Wobec tego jednak, że wojska bolszewickie, wchodzące w skład Grupy Mozyrskiej nie kwapiły się z meldunkiem o odniesionej klęsce — spóźniały się wszędzie dyspozycje odwrotu i w ten sposób poszczególne jednostki bolszewickie dowiadywały się o grożącym im niebezpieczeństwie... zbyt późno!

Wpadła więc w ręce polskie olbrzymia ilość jeńców, poddawały się tabory, baterje, sztaby...

Epilogiem tych krwawych zapasów była porażka bolszewickiej armji 4-ej, która po bezowocnych

próbach przedarcia się przez otaczający ją pierścień wojsk pościgowych, zmuszona była przejść granice Prus Wschodnich — i złożyć tam broń.

.

Okazało się więc jeszcze raz, jaknajdowodniej, że rzeczą stokroć ważniejszą od zaopatrzenia i uzbrojenia — jest na wojnie śmiałość dowództwa i duch żołnierzy! Przecież to były tesame oddziały, ci sami ludzie, którzy jeszcze tak niedawno cofali się przed bolszewikami... Cóż się więc stało?

Stała się rzecz bardzo zwyczajna: zdemoralizowany żołnierz poczuł nagle nad sobą baczne oko Naczelnego Wodza! Zrozumiał, że uciekać niema powodu! Więcej: zrozumiał, że Ojczyzna wymaga od niego jeszcze jednego, ostatniego wysiłku — i że ten wysiłek musi być zrobiony, bo żąda tego człowiek żelazny, nie znający lęku! A później — potoczyła się lawina polskich wojsk, jak się toczą w górach potężne druzgoczące wały śnieżne... Zmiatając po drodze napotykaną przeszkodę, żywiołowo coraz prędzej, naprzód, naprzód, naprzód!

Każdy dzień przynosił nowe zwycięstwa, każdy dzień posuwał naprzód awangardy wojsk polskich. W tydzień niespełna po rozpoczęciu ogólnej ofensywy dochodziły polskie przednie strażę do granicy ziem litewsko-białoruskich...

Los kampanji 1920 roku był ostatecznie przesądzony.

.

Szumiały poważnie odwieczne drzewa Łazienek, odświeżone pierwszym wrześnieowym deszczem. Na ulicach Warszawy panował ruch niedoopisania. Od

Zjazdu, od Starego Miasta, ciągnęły w stronę Belwederu niezliczone pojazdy. Pędziły automobile. Z głośnym warczeniem przelatwały wojskowe motocykle, rozwożąc rozkazy do koszar i oddziałów Warszawskiego garnizonu. Na ulicach było rojno. Tłumy przechodniów snuły się gwarnie, upojone wiadomościami z frontu. Pomyślne wiadomości podawano sobie z ust do ust. Chłopcy, sprzedający gazety, byli oblegani...

Stolica odzyskiwała powoli normalny, europejski wygląd. Złe, niespokojne dni sierpniowe poszły prawie całkowicie w niepamięć!

Taki już los wielkich spraw, że się przy nich kręca zawsze drobne rybki, najczęściej sprawiające zamęt... Więc i tym razem, po wydobyciu się z śmiertelnych terminów, zobaczyła Warszawa różnych ludków, którzy zjawili się, jak grzyby po deszczu.

Próżno byłoby dopytywać się, gdzie ci jegoinoście podziewali się w ostatnich tygodniach, kiedy wróg dobijał się do wrót polskiej stolicy, grząc pod samemi rogatekami salwami dział, jakby na wiat...

Nie było ich. Wsiąkli gdzieś w ziemię — przepadli!

Teraz zato mieli swe żniwo.

Od plotek i anegdot trzęsły się cukiernie i kawiarnie. Niejeden taki pan, który przesiedział, niebezpieczny okres zdala od frontu, albo dekował się bardzo dowcipnie w jakiejś instytucji filantropijnej — gromadził koło siebie licznych słuchaczy, komentując te, lub inne rozporządzenie władzy wojskowej,

rezonując niezwykle gęsto o bitwach, potyczkach, atakach, i temu podobnych rzeczach.

Pocieszni ci ludzie wygrywali przy filiżance czarnej kawy bitwy, stokroć krwawsze od bitwy Warszawskiej... Zapędzali się już za Wilno i Dźwińsk, zagrażając nie na żarty bolszewikom i zapowiadając rychłe zdobycie... Piotrogradu.

Inni woleli unikać niebezpiecznego bądź-co-bądź terenu wojny i poświęcali swą uwagę dyplomacji: podróżowali po całej Europie łyżeczką od lodów — i żądali oddania Polsce Odessy, Krymu, Sewastopola... Niewiele brakowało, a zażądali by od Sowietów... Archangielska, Uralu, obu Syberyj: Wschodniej i Zachodniej...

Przysłuchiwali się tym bzdurom nieliczni oficerowie frontowi, bawiący przejazdem w Warszawie...

Niejednen uśmiechał się pod wąsem, kiwał głową...

— Oj, gdyby ten błazen wiedział, ile krwawego potu kosztuje nieraz żołnierza zdobycie jednego kilometra terenu... Ile ludzkich żyć płaci się za zdobycie przeprawy przez jedną parszywą rzeczkę!...

Ale cóż? — Gada? — Niech sobie gada zdrów! — Co to komu szkodzi?...

.

Inną zupełnie kategorię stanowili ludzie, dla jakiegobądź przyczyny obdarzeni zagranicznymi paszportami dyplomatycznymi.

Przed paroma tygodniami kiwali nad Polską głowami, jak nad nieuleczalnie chorym. Niejednen z nich zacierał w sekrecie ręce i telegrafował za pomocą wszelkich możliwych i niemożliwych szyfrów, że upadek Polski jest kwestją nie dni — a godzin —

że wzywa więc wobec tego swój Wysoki Rząd, aby zaopatrzył go w porę w instrukcye. Ot, tak, na wypadek sprzedaży masy upadłości...

Zawsze Polska — to łakomy kęs... Przy likwidacji da się sporo chapnąć... No, powiedzmy, tanio kupić...

Osoby te, piastujące tytuły i noszące ordery, składały teraz skwapliwie... gratulacje Dowództwu Polskiemu.

.

Nic nie wiedzieli o tem wszystkim nasi ułani, posuwając się naprzód, lasami, polami, krajem coraz bardziej szarym, głuchym.

Spełniali swój obowiązek żołnierski. Nic więcej. Ale, że widzieli już, że ich trudy i znoje, ich rany i przelana krew — nie poszły na marne — szli ułani wesoło, raźnie, śpiewając sobie stare piosenki...

Kurzyły się gościńce, dałą głucho tętniała ziemia, którą deptał uchodzący w popłochu wróg — a chłopcy jechali coraz dalej i dalej, niosąc w sercach żywy, jasny płomień:

— Miłości Ojczyzny!

III.

W szpitalu.

Ranny na wylot w piersi podczas nocnego wywiadu — daleko, bo aż het, pod Korosteniem — leżał Wąsik od trzech przeszło tygodni w wojskowym szpitalu Warszawskim, walcząc ze śmiercią.

Początkowo zdawało się, że silny organizm młodego żołnierza łatwo da sobie radę z tą raną, tembardziej, że kula przeszła nawylot...

Ale, czy to, że zaszкодziła Wąsikowi przydługa podróż w wagonie lazaretowym, czy to z przyczyny niedość czystego opatrunku, który mu nałożono względnie późno, bo ranny został koło północy, a dostał się w ręce sanitariuszy dopiero nad ranem — dość, że wdał się wysięk, a potem szalona gorączka.

— Gdybyż koledzy i dowódcy wiedzieli, jak złą wyświadczyli przysługę Staśkowi Wąsikowi, przemycając go ukradkiem do pociągu sanitarnego, idącego do Warszawy!...

Cóż? Chcieli jaknajlepiej... Myśleli, że będzie miał w stolicy lepszą opiekę i większe wygody... Tymczasem ta podróż właśnie, trwająca blisko dwie doby, trzęsienie się w pociągu, upływ krwi, zakażenie rany — wszystko skomplikowało sprawę jaknajfatalniej...

Pasował się tedy ze skonem ślázak — chwilami już bladł, już sztywniał, — tak, że pocziwe, doglądające go siostry ocierały ukradkiem oczy, szepcąc:

— Już nic nie będzie z chłopaka...

Ale się jeszcze nie dał, jeszcze bronił!

Los, który mu dał nad wyraz ciężką młodość, nie oszczędził także tych ciężkich, zda się, ostatnich cierpień. Nie byłoż-bo kuli trafić odrazu w serce, kładąc kres wszystkiemu?... Byłby ot — jak ochotnik Piotrowski — zginął pięknie, na polu bitwy, pod gradem kul, na rękach dobrych kolegów...

— A tak?

Przebiła mu zła, zdradziecka kula płuco, powaliła go na ziemię w ostatniej chwili, nieomal u samego kresu wyprawy, gdy spodziewano się zawieszenia broni z dnia na dzień, z godziny na godzinę!...

Wojował tyle lat, zawsze jakoś wychodząc obronnie z opresji — a oto raptem, ni stąd, ni zowąd — dostał!

Jak to się mówi:

„Przez morze przepłynął — przy brzegu utonął...”

Nic o tem wszystkiem nie wiedział Stasiek Wąsik, nie czuł, co się z nim dzieje, bo leżał nieprzytomny.

Rankiem zajrzał do niego dyżurny lekarz — po południu przyszedł w towarzystwie lekarza naczelnego — zbadali puls chorego, zmierzylili gorączkę — zadali kilka zapytań siostram, będącym na sali — pokiwali beznadziejnie głowami — i odeszli. Było oczywiście, że chyba tylko cud jakiś może uzdrowić chorego — wiedza ludzka nic nie pomoże, bo niema na śmierć żadnego lekarstwa...

A że śmierć przyjść musi — i to lada chwila — przekonani byli obaj doktorzy: zarówno młody, jak i stary...

Więc jedna z sióstr, młode stworzenie, mało jeszcze obyta z takimi rzeczami — siadła obok łóżka szpitalnego, na którym leżał Stasiek Wąsik — i zaczęła płakać. Mało wiedziała, kto zacz jest ten kapral Wąsik — i nie domyślała się nawet, jaki to dzielny, prawy żołnierz zabiera się odejść na tamten świat...

Ot, za! jej było młodego życia — i tych oczu — teraz nieprzytomnych, dalekich — kiedyindziej jednak — takich wesołych, śmiałych i jasnych...

Starsza siostra przeszła na palcach przez cichą w tej chwili salę, zatrzymała się przy drzwiach, powiedziała półgłosem:

— Jakby co... jestem obok...

I wyszła.

Zapadał zmierzch.

Że się już na świecie uczyniła głęboka jesień. szumiał żałośnie wiatr za oknami i leciały z gałęzi starych drzew, okalających wielki budynek, ostatnie, pożółkłe liście...

Chwilami wiatr mocniej uderzał w szyby i wtedy zdawało się, że ktoś bardzo srogi i bardzo straszny dobija się do okien tej sali:

— Otwórzcie! Idę tu po kogoś!...

Siostra, siedząca obok wezgłowia Staśka, poczuła nagły strach.

Więc, cała skulona w sobie, drżąca i rozdygotana jakimś głębokim wewnętrznym dreszczem, zamknęła oczy... Za nic nie spojrzała by teraz w okno — za nic!

Zrozumiała, że powinna zacząć odmawiać modlitwy za konających — ale nie pamiętała już w tej chwili, jakimi słowami trzeba się modlić za tych, którzy odchodzą.

Wtedy usta jej poczęły szeptać pierwszą modlitwę jaką podszeptało serce:

— Mój Boże... Mój Boże... Mój dobry Boże!... Spraw w niezmiernem miłosierdziu swoim, żeby ten żołnierz nie umarł!...

I tak się modliła siostra, płacząc rzewnymi łzami, podczas, gdy wiatr jesienny, lecący od Wisły, uderzał w coraz to inne okno, pasował się z zawiasami Ujazdowskiego szpitala i jęczał żałośnie...

Zrobiło się w sali ciemno zupełnie. Nie widać było nic, tylko białą plamę pośłania — a na niem — zupełnie niewyraźny zarys nieruchomego ciała kaprała Wąsika.

. , , , , , . .

— Boże!... Czyżby nie żył?...

Siostra nachyliła się przerażona nad łóżkiem, przewyciężając całą siłą woli śmiertelny lęk.

Wówczas usłyszała niespodzianie słowa, wypowiedziane niezmiernie słabym i cichym głosem:

— Wody...

Zerwała się, jak strzała, i wpadła do sąsiedniej sali. Paliły się tam lampy elektryczne, więc na sekundę oślepił ją blask. Wyrzuciła z siebie, zdyszana:

— Mówi!

Starsza siostra i sanitariusz, siedzący przy stole zerwali się jednocześnie.

— Wąsik?

— Tak!

— Niepodobna! Odzyskał przytomność?

— Tak! Powiedział: wody!

Wbiegli teraz wszyscy troje do sali, w której leżał Wąsik i podeszli do jego łóżka śpiesznie, na palcach.

Wąsik poruszał wargami.

Więc starsza siostra czempredzej zaświeciła niedużą lampkę, znajdującą się w pobliżu i zwróciła się do sanitariusza:

— Biegnij pan po doktora, żywo!

Tymczasem Wąsik spojrział zupełnie przytomnie — raz i drugi — coś z trudem przełknął — poczem, z widocznym trudem, wyszeptał znowu:

— Pić!...

Zamęt się uczynił na piętrze niesłychany.

Sanitarjusz spotkał, biegnąc do dyżurnego, samego naczelnego lekarza, który właśnie przybył na wieczorną inspekcję, jak to czasem robił, chcąc skontrolować co się dzieje w szpitalu, kiedy się go nikt nie spodziewa.

Generał był zdumiony.

— Wąsik? — Czekaście-no! Który to Wąsik? Ten, na trzeciej sali, kapral?

— Tak jest, Panie Generale!

Stary pan był bardzo ostry dla podwładnych, choć serce miał dobre. Więc i teraz wsiadł na biednego sierżanta sanitarnego, jak gdyby to on spowodował całe zamieszanie:

— Zamiast latać po kurytarzach, jak głupi, powinien był sierżant zaraz się zająć chorym! Jeszcze się wam umrzyk rozmyśli i na dobre umrze, wśród tej waszej bieganiny!...

— Już nie umrze, Panie Generale! — palnął bez zastanowienia sanitariusz, poczem, przeraziwszy się własnej śmiałości, urwał.

Generał szedł, posapując, na piętro, do sali trzeciej. Zatrzymał się na sekundę, spojrział jadownicie na subalterna i zapytał go nie bez ironji:

— Od kiedy djagnozy stawiacie?

Sanitarjusz zaczął się jakać:

— Melduję posłusznie... Był podobny wypadek... Też ułan... Oni wszyscy tacy...

Generał parsknął śmiechem.

— Nie chcą umierać, jak co do czego przyjdzie, he?

— Tak jest, Panie Generale!

— Idiota!

.....
Koło kaprała Wąsika zebrało się całe konsylium: Naczelny lekarz, lekarz dyżurny, obie siostry, kilku sanitariuszy.

Ale niebawem doktorzy usunęli z sali resztę personelu i wzięli się we dwóch do badania chorego, który, po napiciu się kilku łyżek ocukrzoney, chłodnej wody, wyglądał coraz bardziej przytomnie.

Wcale długo trwało te badanie.

Już się młoda siostra, szczególnie zainteresowana losami Wąsika, zaczęła naprawdę niepokoić...

Ale oto nagle rozwarły się drzwi, obaj doktorzy wyszli z sali, rozpromienieni i lekarz naczelny zwrócił się do gromadki, czekającej na kurytarzu:

— Wyjdzie...

Więcej nic nie powiedział.

Ale gdyby był nawet zapowiedział, że rekonwalescent Wąsik będzie jutro, o godzinie 12-tej w południe, jeździł konno na menażu, — nie uczyniłoby to większego, zarazem, radośniejszego wrażenia na zebranych!

— Wyjdzie! Więc jednak — wyjdzie!

Generał był niezaprzeczenie pierwszorzędnym chirurgiem i wogóle autorytetem. Pozatem — był generałem!

Jasne było, że sprawa jest murowana! Śmierć też zna mores i wie, że z przełożonymi niema żartów...

Podczas tego wszystkiego młoda siostra wśliznęła się ukradkiem do sali trzeciej i podeszła do leżącego Wąsika.

Widać mu lekarze dali jakiś mocny środek nasenny, bo kleiły mu się oczy.

Ale zniknął gdzieś bez śladu błędny i nieprzytomny wyraz twarzy... Wąsik usypiał tym razem, jak człowiek, któremu się chce spać — nie umierać!

Jeszcze raz, przed zapadnięciem w krzepiący sen, otworzył oczy — spojrzał na siostrę — uśmiechnął się blado — i znów przywarł powieki.

* * * * *

Po przebyciu kryzysu, poprawiał się Wąsik w oczach. Rekonwalescencja szła szybko. Zanim minął tydzień, zaczął ustępować stan zapalny, stanowiący najgorsze niebezpieczeństwo. Rana również zaczęła się goić, wyglądając „wcale przystojnie“, jak się wyraził lekarz wojskowy, opiekujący się chorym.

Wąsik nabrał apetytu. Wróciły mu kolory. Zaczynał być podobny do ludzi!

Dogadzano mu w tym czasie w szpitalu strasznie!

Dawano różne potrawki i kaszki, kury gotowane i jajka na miękko, okarmiano w sekrecie słodyczami — dość, że miał życie całkiem generalskie... Rej wodziła w tem wszystkim siostra Marta (tak się nazywała młoda dziewczyna, dogladająca rannych na sali III-ciej) — a opiekowała się młodym

uianem nietylko dlatego, że miała dobre serce, ale i dlatego, że jej Wąsik szczególnie jakoś był bliskim...

Może być, że to ów posępny, jesienny wieczór, podczas którego modliła się tak żarliwie o wyzdrowienie chłopca, zadzierzgnął między nimi jakieś mocne, trwałe nici. Siostra Marta gotowa była skoczyć do oczu każdemu, ktoby się odważył powiedzieć, że kapral Wąsik niedługo będzie miał dość kuracji i będzie mógł powrócić do swojego szwadronu...

— Także coś!... Przecież widać, że chłopaczyna ledwo się ślania na nogach...

Tymczasem „chłopaczyna“ chodził już wcale nieźle, a choć miewał jeszcze czasami zawroty głowy i osobliwe jakieś duszności, było to zupełnie naturalnem po tak długiej i ciężkiej niemocy.

Wąsik utył w szpitalu porządnie, a prócz tego, dzięki niezwykle troskliwej opiece zacnych sanitariuszek, odzyskał równowagę ducha i nerwów...

Niewiele wiedział wprawdzie dawniej o „nerwach“, myślał, że to są babskie wymysły — ale okazało się, że te wszystkie lata frontu roztrzęsły jednak chłopaka porządnie.

Teraz, zasypiając, nie zrywał się już co chwila, nie wołał: „Rozkaz, panie poruczniku“ — nie szukał koło siebie gorączkowo szabli i rewolweru...

Spał, jak zabity, a budząc się, doznawał wrażenia, jak gdyby mu przez noc wlano w piersi pełną butlę tęgiego, musującego wina...

Temu winu było zresztą: Młodość — na imię!

Razem ze zdrowiem, wracała szalona ciekawość życia.

Nie mógł się wprost Wąsik doczekać godziny piątej po południu, kiedy siostra Marta obszedłszy wszystkich chorych, zapalała lampę przy łóżku młodego kaprała i siadała na kwadransik, żeby mu przeczytać najnowsze wiadomości z gazet.

Mógł sobie później czytać dowoli, sam, ale ten kwadrans lektury był dla Wásika największą przyjemnością dnia!

Zresztą, czytanie gazet było w owych czasach bardzo przyjemnem zajęciem: widoki pokojowe były doskonałe, bolszewicy dostali tak tęgiego łupnia, że, jak się okazywało, dawali ze sobą gadać całkiem rozsądnie...

A i Polacy, widać pod wpływem niedawnych przejsć, zaprzestali jakoś swarów, i jeśli nawet skakali sobie do oczu — czynili to bez złości — ot, tak, dla wprawy...

.

Miał któregoś dnia rekonwalescent bardzo przyjemne odwiedziny.

Przyszli do niego obaj ulubieni dowódcy: Zawadzki i Dziarski.

Zerwał się Stasiek Wąsik na równe nogi i stanął na baczność, zapominając, że ma na sobie jeszcze chałat szpitalny i że postawa wojskowa przy długim szlafroku wypada niebardzo świetnie... Spostrzegł się poniewczasie i zaczerwienił...

— Jak się macie, Wąsik?! — przywitał go niezmiernie serdecznie starszy przełożony: — Wygrzebujecie się, jak słyszę, co?

— Tak jest, Panie Rotmistrzu! — buchnął Wąsik dawnym, mocnym głosem — i przeraził się...

Spojrzał na dystynkcje oficera... Toć z majorem gada, nie z rotmistrzem... Więc, zmieszany, poprawił się pośpiesznie:

— Tak jest, Panie Majorze!

Oficerowie usiedli.

— Czy Wam już rana zupełnie nie dolega?

Wąsik zwrócił się szybko do drugiego oficera.

— Nie, nie dolega, Panie Poruczu...

Urwał, zupełnie skonfundowany... Tam, do diabła! Porucznik Dziarski także awansował! Przecież ma trzy gwiazdki, nie dwie!

Tedy skończył Wąsik, chrząknawszy:

— Nie dolega, Panie Rotmistrzu!

Obadwaj oficerowie wybuchnęli śmiechem.

— Ano, widzicie, Wąsik — mówił major Zawadzki, klepiąc go po ramieniu: — Zastajecie zmiany, prawda? Poczekajcie, o innych się jeszcze zmianach dowiecie...

Mówiąc te słowa, major mrugnął na rotmistrza Dziarskiego: ten mrugnął znów na Zawadzkiego, ogromnie z czegoś kontent...

— Dużo oficerów ostatnio awansowało — ciągnął dalej major Zawadzki: — i kolegów Waszych też: Dzierżyński dostał wachmistrza...

— Wachmistrza!... — wyrwało się mimowoli Staśkowi Wąsikowi: — Dawno, Panie Majorze?

— Przed dwoma tygodniami. — Inni także nie zostali w tyle... Ale o tem wszystkiem dowiecie się, jak wrócicie do szwadronu.

— Ba, to Wy może nie wiecie, Wąsik, że my stoimy teraz w Warszawie? — zapytał Rotmistrz Dziarski.

— Pierwszy raz słyszę...

— Patrzcie! Myślałem, że Was już który z kolegów odwiedził i że Wam tę nowość zakomunikował?

— Nikt u mnie nie był, Panie Rotmistrzu — odpowiedział Wąsik nieco zmienionym głosem.

Markotno mu się zrobiło, że tak o nim widać wszyscy zapomnieli... No, widocznie nie wszyscy, skoro widzi przed sobą obu dowódców... Ale zawsze... Wolałby był, żeby i koledzy ze szwadronu dali mu jakiś znak życia...

Major Zawadzki dostrzegł cień smutku na twarzy chłopaka, ale udał, że nic nie spostrzega. Mrugnął tylko niewidocznie, jeszcze raz, na rotmistrza Dziarskiego, uśmiechnął się pod wąsem, zaczęł, jakby odniechcenia, oparł rękę na krześle, stojącem obok...

Wisiała na tem krześle już od paru dni kurtka Wąsika, bo miał się lada dzień wypisywać ze szpitala — czekał tylko na pozwolenie...

Nie zauważył Wąsik, co major robi, bo zajął go w tym czasie pilną rozmową rotmistrz Dziarski, pociągając ku oknu i rozpytując się o sto naraz rzeczy: Jak się Wąsikowi leżało w szpitalu, i czy byli tu dobrzy dla niego, jak go leczono, kiedy odzyskał przytomność, kiedy się rana zaczęła goić, jak się teraz czuje, co fasuje?... — Tyle pytań naraz! Musiał Wąsik na nie po kolei odpowiadać, chociaż go korciło, że starszy przełożony tak na boku siedzi, jak gdyby o nim obaj zapomnieli... Chciał się nawet zwrócić w stronę majora Zawadzkiego, ale wówczas rotmistrz Dziarski wziął go bez cere-

monji pod ramię i siłą prawie z powrotem przycisnął do okna...

Aż wreszcie chrząknął pan major Zawadzki w sposób szczególnie znaczący — i rotmistrz zaraz odszedł od okna, gawędząc, jakby nigdy nic...

— Masz tobie! — pomyślał sobie Stasiek: — obraził się Pan Major!

Czuł trochę urazy do Dziarskiego: No, bo jakżeż!... Trzymał go prawie siłą i gadał, jakby tylko we dwóch byli na sali, a tam przecież siedział jeszcze jeden gość Wąsika — i w dodatku — starszy rangą!

Stała się jednak w tej samej chwili rzecz całkiem niespodziana.

Major Zawadzki wstał, rozpromieniony, widocznie w jaknajlepszym humorze, i powiedział:

— Wiecie Wy, Wąsik, co? — Tak-em przywykł Was zawsze widzieć w mundurze, prostym, jak świeca — że mnie ten Wasz szpitalny chałat mierzi! Przebierzcie się prędko, bo mi okropnie na cywila wyglądacie... Nic się nas nie krępujcie: jesteście jeszcze na prawach chorego...

Stasiek sięgnął czempredzej po swoją kurtkę — i zamarł.

To, co zobaczył, zupełnie odjęło mu głos i podcięło nogi: zamiast dwóch naszewek kaprałskich miał teraz przypięte do ramion dystynkcje — wachmistrza!

Nie dowierzał swoim oczom!... Nie, to niemożliwe... Chyba jakiś żart... A może mu się w oczach ćmi?...

Był tak bardzo wzruszony, że aż usiadł.

Tymczasem, rotmistrz Dziarski, stojący tuż za Wąsikiem, odezwał się znienacka:

— No, wachmistrzu, cóż się tak długo grzebiecie?

Wtedy Wąsik, szybko, drżącymi ze wzruszenia i emocji palcami, zaczął zapinać guziki i haftki swojego starego, spłowiałego frencza...

A rotmistrz, porozumiawszy się wzrokiem z majorem, podszedł do Staśka i powiedział dobroduszenie:

— Jakże tam, wachmistrzu — lepiej w mundurze, niż w chałacie, prawda?

Stał Wąsik niemy i kręciły mu się łzy w oczach. Był jeszcze osłabiony, więc ta niespodziana, nagle, wielka radość zupełnie go oszołomiła.

Kiedy nareszcie oprzytomniał, opamiętał się i wziął w kupę, przemówił doń jeszcze raz major Zawadzki, tonem zupełnie ojcowskim, z jakimiś szczególnymi akcentami w głosie:

— Wąsik. Winszuję Wam awansu. Zasłużyliście na niego uczciwie i rzetelnie. Przez cały czas odwrotu, jakoteż i podczas ostatniej ofensywy, sprawowaliście się wzorowo. Widziałem Was w boju. Okazaliście dużo odwagi i przytomności umysłu. Wobec tego — uznałem za rzecz słuszną przedstawić Was do awansu...

— Ale ja byłem — melduję posłusznie — dopiero kapralem — zaczął się jękać naraz Stasiak, niepewny, czy czasem to wszystko nie jest omyłką i czy mu jeszcze nie wypadnie oddać wachmistrzowskich szlif...

— Nie gadać! — huknął na niego major. — Co to znowu?

Zamilkł Wasik, strasznie zawstydzony.

Wtedy major Zawadzki ciągnął dalej:

— Plutonowego mieliście już wtedy, kiedyście dostali Waszą kulkę: pod Korosteniem. Ale, że to był jeszcze czas gorący, a Wyście akurat jeździli ciągle na patrole, tak się jakoś stało, że nie można było Was zawiadomić... Potem poszliście do szpitala. Więc na wniosek rotmistrza Dziarskiego, któremu głównie zawdzięczacie ten drugi awans, przedstawiłem Was na wachmistrza. Teraz wiecie!

Pasował się długo ze sobą Stasiak, zanim o tyle się opanował, że mógł spojrzeć w oczy obu przełożonych... Wciąż mu jeszcze głupia jakaś wilgotna mgła przesłaniała powieki...

— Macie teraz wytłumaczenie, czemu żaden z kolegów nie odwiedził Was dotychczas w szpitalu — powiedział porucznik Dziarski: — Wiedzieli o wszystkim i byliby Wam wypapłali zawczasie... A już ja to sobie zastrzegłem u Pana Majora, że osobiście Wam to zakomunikujemy... Jakże to? Uważałem Was przecież zawsze za swojego chrześniaka! Pamiętacie wtedy, pod Mołodecznem?...

Ale teraz Stasiak już nie wytrzymał!

Rozpłakał się, jak bóbr — i rzucił się w ramiona rotmistrza Dziarskiego, zupełnie zapominając o dyscyplinie wojskowej...

IV.

Zakończenie.

Był jasny, suchy, mroźny dzień grudniowy.

Niezmierne łąki nadbużańskie okrył śnieg. Niktby się nie domyślił, że pod miękkimi okrywami, pod puszystym kobiercem, zaścielającym całą okolicę, śpią wiecznym snem żołnierze, którzy jeszcze tego lata przelewali swą krew, broniąc polskiej ziemi — i polskiego honoru...

Zamarzły strugi i jeziorka, zamarzły dopływy rzek, stanął wreszcie sam bystry Bug — i zapiął na sobie lodowy pancerz — aż do wiosny!

Nad zaroślami, w których tętniał nie tak dawno puls bitwy — nad gościńcami, po których mknęła kawalerja — zapanowała wielka cisza.

Cisza ogarnęła lasy i pola, drogi, ścieżki, niegdyś pełne zasadzek... Tylko hen, w głębi borów, odzywały się od czasu do czasu jakieś dalekie huki — ni to echa strzałów... Krzepnący zamróz ścisnął potężnym uściskiem pnie i konary drzew.

.

W taki czas, wysokim, białym od śniegu nasympem szosy, prowadzącej od miasteczka Sadowna do miasteczka Brok — mknęły dworskie, szerokie sannie, zaprzężone w parę dobrych ogierów.

Zaprząg był djabli, konie warjaty! Nie dziwota: ułańska jazda!

Powoził sam rotmistrz Dziarski. Obok rotmistrza siedział wachmistrz Wąsik — a w tyle or-

dynans rotmistrza i gospodyni, która jechała z Warszawy, prowadzić kawalerskie gospodarstwo młodego oficera.

Ilekoć ogiery zaczynały zarywać w galop, albo zbyt kować, usiłując (jeden drugiego) — jak to się mówi — chwycić za kołnier — piszczała gruba pani Gąsiorowska ciekawym głosem, jakby ją kto ze skóry obdzierał...

— Chryste Panie! Zabijają nas te hamany!...

Na co rotmistrz Dziarski odwracał nieco twarz, zaczerwienioną od mrozu i pędu i mitygował gospodynię:

— Moja Pani Gąsiorowska... Tylko się niczym nie przejmować!

A ordynans kończył szeptem, bo się trochę bał rotmistrza:

— ... dobrze się odżywiać i uważać na zakrętach.

Kończyło się na tem, że wszyscy wybuchali śmiechem — prócz pani Gąsiorowskiej, która biała w dalszym ciągu!

— Ach, ci wojskowi, ci wojskowi!... Słyszana-ż to rzecz parę ogierów razem sprzęgać?... Jak-em służyła w Kolankowie, u pana Zajączkowskiego, to nawet na całym folwarku nie było ani jednego ogiera...

Nie zwracano jednak zbyt wiele uwagi na narzekania leciwej gosposi, bo oto dojeżdżano już do Bugu.

Most, spalony w lecie, jeszcze nie był odbudowany, więc należało przejeżdżać rzekę po łodzi. Łód ponoć był dobry, na pół łokcia — ale zawsze

ostrożność w takich wypadkach nie zawadzi... Więc zaczęli się spuszczać z ośnieżonego uwrocia pomałutku, pocichutku, kierując się za śladem chłopskich bosych sań, które widać niedawno tędy przejeżdżały, bo koleje widać było na śniegu całkiem wyraźnie.

— A niema tu gdzie przereblów, proszę Pana Rotmistrza? — zaczęła znów niepokoić się pani Gąsiorowska: — W Kolankowskiej parafji był taki wypadek...

Ale rotmistrz Dziarski tylko parsknął śmiechem:

— Niech Pani aby uważa, żeby jej się czasem mak z koszyka nie wysypał — zawołał wesoło: — O Kolankowskiej parafji pogadamy po Wilji!

Westchnęła gospodyni i zamilkła.

— Poznajecie? — zwrócił się Rotmistrz do Wąsika: — Pamiętne strony, co?

Wąsik roześmiał się.

— Oj, pamiętne, Panie Rotmistrzu... Pamiętne! Toć mniejwięcej tutaj, o, pod tą górka, przepływa-
liśmy wtenczas w nocy Bóg... Niebardzo mi było
rażno na duszy, nie!

— Ale wszystko, Chwała Bogu, jakoś szczęśliwie minęło, prawda?

— Minęło!

Wydostali się wreszcie na brzeg, ominęli zniszczone miasteczko, wzięli się trochę w górę — aż wyjechali na równą, gładką drogę między ugorami, po której konie, czując bliskość domu, pomknęły, jak strzała.

— A teraz? — zajrzał w oczy Wąsika rotmistrz Dziarski: — Powiedzcie, gdzie jesteśmy?

Stasiek Wąsik przypominał sobie... Odpowiedział po pewnej chwili:

— Zdaje mi się, że tu za tą kępą drzew powinny być rozstajne drogi... A stamtąd zaraz na lewo trakt do dworu...

— Brawo! — ożywił się Rotmistrz — Brawo, Wachmistrzu! Raz jeden byliście tutaj, przytem, w nocy, ale wszystko dobrze pamiętacie... Tak jest. Niedługo zajedziemy przed dwór...

Była to pierwsza wilja od niepamiętnych czasów, jaką Stasiek Wąsik przeżył w prywatnym domu...

Zaproszony poczciwie przez rotmistrza Dziarskiego, który wiedział dobrze, że Ślżak jest na świecie sam, jak palec, wybrał się Wąsik razem z rotmistrzem, do jego majątku, położonego tuż za Bugiem.

Dwór był strasznie zniszczony, bo rotmistrz od kilku lat wojował, a folwark, oddany rządcom, niebardzo dobrze na ich opiece wyszedł... Reszty dokoła lato ostatnie... Zawsze jednak był to dwór, wykazujący resztki dawnych dóbr, przestronny, a choć doszczętnie prawie z mebli ogołocony, jakiś dziwnie swój i przyjazny...

Bitwa, która się toczyła w nocy, nie zostawiła żadnych szczególnych śladów. Białe, ciche, stał sobie ten polski dwór w zapadającym zmierzchu gru-

dniowym, błyszcząc zaledwie kilkoma oknami, w których się paliło światło.

Niemniej, po paru godzinach pobytu pod tym dachem, poczuł się Stasiek Wąsik strasznie dobrze... Rozłokowali się i roztasowali ze zwykłą u żołnierzy szybkością... Przy pomocy przywiezionych koców i tych kilku sprzętów, które wstawił do pokoiów gospodarujący czasowo ekonom — uczyniło się naraz w paru pokojach zupełnie znośne mieszkanie.

Zapalili na kominku.

Dawno nie przepalany, zaczął zrazu kaprysić. Ale po jakimś kwadransie, gdy drzewo się wysuszyło, a dym, dobrze wyszczypawszy ich w oczy, uznał za właściwe pójść przepisaną drogą — to znaczy — kominem — zaczęło się na kominku buzować, strzelać, kotłować rozkosznie...

I przy ogniu tego kominka spożyli wędrowcy skromną wilgę, zakropioną kilkoma kieliszkami miodu, który rotmistrz Dziarski miał ukryty w jakiejś głębokiej, sobie tylko wiadomej, skrytce.

Została po ugotowaniu wieczery przykomenderowana do towarzystwa i Jejmość pani Gąsiorowska.

Próbowała robić ceregiele — że to niby nie wypada, żeby Pan Dziedzic razem ze służbą... ale rotmistrz najprzód parsknął śmiechem, a potem sunął na nią z góry:

— Nie gadać!

Dziwowała się pani Gąsiorowska, kręciła głowę, aż usiadła.

Wtedy, siedząc przy ogniu, zamilkli wszyscy — każdy pograżył się we własnych wspomnieniach, w przeszłości...

Nagle rotmistrz uderzył się ręką w czoło, wstał szybko i zakrzyknął na ordynansa:

— A opłatek?! Co to? Albośmy to dzicy? Zjedliśmy wieczerzę wigilijną i nie podzieliliśmy się opłatkiem?

Skoczył ordynans do sąsiedniej izby, długo coś szukał w walizie rotmistrza — ale nic nie znalazł. Wrócił bardzo skonfundowany:

— Melduję posłusznie, Panie Rotmistrzu — zapomnieliśmy...

Rotmistrz Dziarski westchnął.

— Tak, to prawda... Moja własna вина...

Wstała wówczas Pani Gąsiorowska, wypłynęła z pokoju z wielkim szumem nakrochmalonych spódnic — i wróciła niebawem z kuchni, niosąc tryumfalnie na spodeczku — opłatek!

— Niech żyje Pani Gąsiorowska! — zakrzyknął wesoło rotmistrz: — Dawać!

I zaczął się łamać ze wszystkimi.

Gdy stanął przed Wąsikiem — objął go najprzód serdecznie za szyję, ucałował w oba policzki, a potem tak powiedział:

— Jakeśmy wyszli obronnie z wojennych oparów — życzę Wam, towarzyszu broni, żebyście zawsze w życiu pomyślnie wydobywali się z biedy... A potem — życzę Wam, żebyście doczekali się rychło własnego domu...

Wachmistrz Wąsik spuścił oczy. Spojrzał na pierścionek, który mu nie tak dawno włożyła na palec siostra Marta — i zarumienił się, jak panna...

K O N I E C.



DOM
KSIĄZKI
DOM

300

Nr 952357 F

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000267126



I 420602

doublet

I

doublet